

PISMA
ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO

Z PORTRETEM AUTORA.

TOM II.

MIKOŁÓW — CZĘSTOCHOWA.
NAKŁADEM KAROLA MIARKI, SP. Z OGR. POR.
1912.

IRYDION.



Et cuncta terrarum subacta. —

LUCANUS.

. Aestuat ingens.

Uno in corde pudor mixtoque insania luctu,

Et Furiis agitatus amor et conscia virtus

Aeneidos, lib. X.

WSTĘP.

Już się ma pod koniec starożytnemu światu — wszystko co w nim żyło psuje się, rozprzęga i szaleje — bogi i ludzie szaleją.

A jako Jowisz pan na niebie, tak Rzym pan na ziemi kona i szaleje. Fatum jedno spokojne, niewzruszone, *rozum* nieubłagany świata, patrzy z wysoka na wiry ziemi i nieba.

Wśród zamętu wznoszę pieśń, która mi gwałtem z piersi się dobywa. — Niechaj duch zniszczenia ku pomocy mi będzie, — niech moje natchnienie kręci się i toczy się i rozlega na wsze strony jako piorun burzy, która grzmi teraz nad wiekami przeszłości i wszelkie życie strąca do otchłani — a potem niech umiera jako on po dokonaniu dzieła. Tam nowy świt na wschodzie! Ale mnie już nic do niego.

Gdzie postacie, które tak dumnie i wzniośle kroczyły dawniej po twoich siedmiu wzgórzach, o Rzymie? — Gdzie patrycyusze twoi z nożem ofiarnym i włócznią w rękę, z sercem pełnem tajemnic, z chmurą zgrozy na czole, ojcowie rodzin, ciemieży plebejanów, ukrócciele Włoch i Kartagi? Gdzie Westalka wstępująca w milczeniu z ogniem świętym na schody Kapitolu?

Gdzie mówce twoi, panowie dusz tysięcy, stojący po nad falami ludu, gwarem poszeptów obwiani i burzą poklasków? — Gdzie żołnierze legionów bezsenni, ogromni, z twarzą spiekłą od słońca, ochładzaną znojem, rozjaśnianą połyskami mieczów? — Wszyscy zniknęli jedni po drugich — przeszłość ich zagarnęła

i jak matka tuli do łona. — Nikt ich nie wydrze przeszłości!

Miasto nich podnoszą się nieznane dotąd kształty, ni piękne jak półbogi, ni silne jak olbrzymy tytańskich czasów, ale dziwaczne, migające złotem, z wiankami na czole, z puhami w dłoni, a wśród kwiecica sztylety, a wśród biesiad trucizny, a w ich tańcach konwulsyjne podrzuty — niby to życie bez granic wśród pieśni i jęków, ryku hyen i nawoływań gladyatorów. — Śmiech z takiej wiosny umajonej krwią i woniami spiekłych kadzidel! — Śmiech z takiego życia! — Ono przejściem tylko, ono nic nie utworzy, nic nie zostawi po sobie, prócz krzyków kilku i sławy marnego skonania!

Motłoch i Cezar — oto jest Rzym cały!

Izydo, matko wiadomości i milczenia, stopy twoje zbryzgane pianą morza, okryte pyłem długiej podróży, obca mowa brzmi naokoło ciebie — i stoisz na *forum romanum* i dotąd się rozpatrzyć nie możesz, kędy sama jesteś, kędy brzegi Nilu.

Z pagórków Armenii, z nizin Chaldei, Mitra też pan młodości i śmierci ciągnie ku Rzymowi i już stanął w lochach Kapitolu i nożem ofiarnym potrząsa wśród głuchej nocy nad trupami ofiar.

W portykach greckich, w słodkim cieniu korynckich filarów barbarzyńskim chodem stąpa syn północy — stanie czasami i na toporze wsparty szuka błękitnemi oczyma, czy gdzie nie spotka Odyna, boga ludów swoich.

Odyn Cymbrycki dotąd się nie zjawił — żal mu borów sosnianych i śnieżnej pościeli i szarego nieba i chórów Walhalli. — Ale chwil kilka jeszcze — i on puści się na pielgrzymkę do Rzymu!

Naprzód, bogi i ludzie! — Drogi wasze się pokrzyżują od wschodu na zachód, od północy na południe. — Miejsca dla was nie będzie. — Idźcie więc i kołujcie, bądźcie i wracajcie potem.

Tak zwykle przed śmiercią bywa.

Naprzód, bogi i ludzie! — szalejcie do woli — ostatni to szal, ostatnia to gonitwa wasza — a Fatum z was się urąga, krzyż godłem swoim wzięło i wy wszyscy wcześniej czy później padniecie przed krzyżem.

Z tego świata co się zżyma i kona wycisnę myśl jedną jeszcze — w niej będzie miłość moja, choć ona jest córą szaleństwa i zwiastunką zguby!

Naprzód w szal, naprzód w tan, bogi i ludzie, w około myśli mojej — bądźcie muzyką, co przyśpiewuje jej marzeniom — burzą, pośród której ona się przedziera jak błyskawica — bo imię jej nadam, postać nadam, i choć poczęta w Rzymie, dzień w którym Rzym zginie nie będzie jej ostatnim. — Ona trwa dopóki ziemia i ziemskie narody — ale za to w niebie dla niej miejsca nie masz?

Gdzież jesteś, synu zemsty — w jakiej ziemi leżą zwłoki twoje? — Duch twój pomiędzy jakimi duchami?

Ze świata gruzów wywołałem cienie umarłych — w nocy na forum stanął senat przedemną — schylone widma, obarczone pamięcią podłości i między nimi nie było ciebie!

Gladiator powstał z lochów cyrku i szedł na czele swoich przy świetle księżyca — przebici wszyscy — usta sine powtarzały w śnie śmierci: „*Morituri te salutant, Caesar!*“ — ale pomiędzy nimi nie odkryłem ciebie.

Na Palatynie, na wzgórzu ruin i kwiatów, panów świata dla mnie wzruszyły się prochy — płynęli przedemną — diadema krwią zlutowane trzymało się ich czoła — każdy na czole niżej miał znak potępienia — purpura na ich barkach powiewała, a z za niej świeciły gwiazdy przez otwory wydarte sztyletami zabójców — ale i tam nie ujrzałem ciebie.

Męczenników Chrystusa słyszałem śpiewy i modły. — Dźwięki te wlatywały z katakomb i szły prosto ku niebu — był tam głos jeden niewieści, smutniejszy,

piękniejszy nad inne — znany tobie kiedyś, ale teraz sam jeden nie związany z twoim.

Gdzież jesteś, synu zemsty, synu pieśni mojej! Już czas zmartwychwstać by deptać po zwłokach olbrzyma... pamiętasz — przysięgłeś. — Wyrzekłeś się nadziei, wiary, miłości, by raz tylko, raz jeden spojrzeć, a potem zanurzyć się tam, gdzie miliony...

Godzina dobija — bo kędy miasto wieczne panowało, dziś grób szeroki, rozwarty, napełniony kośćmi i gruzem, opleciony pełzającym i bluszczem i ludem. — Powstań — chodź — wzywam cię. — Ja i straszniejszą potęgą jeszcze od której cię wybawić nie zdołam, ale imię twoje oderwę od ciała twego i ono na zgubę nie pójdzie wraz z tobą!

Zdała odemnie! — nie dla was te dzikie manowce — w kampanii rzymskiej zostańcie u stóp Appeninów, towarzysze moi. — Ja pójdę, ja go raz jeszcze chcę ujrzeć przed zgonem, przed śmiercią na wieki!

W tej jaskini leżącej wśród zmroków przepaści, on na marmurowem łożu rozciągnięty, bez oddechu, bez sennych poruszeń, bez żadnego marzenia, czeka na przebudzenie — obiecane — straszne, i na dzień sądu bliższy dla niego, niż dla reszty świata!

Starożytne próchna świecą naokoło jak oczy sfinksów — wąż z łuską promienistą spi od wieków przy stopach jego — rysy zasępiione, spalone gorączką, sen tak długi chłodu po nich rozlać nie potrafił.

Kształty jego ciała podobne do kształtów greckiego posągu i takich już dzisiaj nie ma na tej ziemi — nogi białe jak marmur paryjski, w czarnych koturnach, złożone na czarnej pościeli. — Stąd i z owąd, pod niemi, nad niemi, mchy i bluszcze się wiją.

Tunika biała na piersiach spoczywa — odłamek lampy w dłoni i miecz rdzą stoczony u boku spoczywa — a druga ręka opuszczona, martwa i palce jej skurczone, jak gdyby zasnął w rozpacz.

On cały zawieszony leży między snem a śmiercią — między ostatnią myślą, którą pomyślał przed wiekami a tą, która niedługo w nim się obudzi, między potępieniem życia całego a potępieniem wieczności.

Nim powstaniesz, opowiem twe dzieje.

W Chersonesie Cymbrów, w ziemi srebrnej potoków, ojciec twój niegdyś stapał brat za brat z królami morza, choć przybył z odległych stron, choć cudzą miał grecką mowę i twarz greckiego półboga.

Ale polubiły go niewiasty i męże, bo powieściami długie słodził noce, a we dnie pierwszy był do walki i biesiady. — Manowce szarego oceanu bitą drogą mu były — w połysku gwiazd niebieskich wyczytywał pogody i burze — najcięższą włócznią przerzucał najwyższe maszty i za wichrami goniąc spokojne miał czoło.

Na lądzie róg jego dzwonił po dolinach i skałach. — Niedźwiedź nigdy mu się nie potrafił odjąć a kiedy wrócił z łowów lub rozbicia, kładł się na mech, na paprocie, i spełniając gęste puhary opowiadał gonitwy, zapasy, rozboje. — Na dalekich wodach dom jego nabijany kością słoniową i złotem — sługi niewolniki stojąc na progu pod lasem filarów patrzą na morze, zasiane wyspami błyszczącymi jak gwiazdy i wyzierają jego powrotu — ale on się nie spieszy, bo polubił dźwięk trąb konchowych i śpiew kapłanek Odyna — bo młodość swoją puścił na błędy i zmienne losy, by później dokonać wielkiego zamiaru — i puhar podnosi do ust, i pije zdrowie króla mężów, starego Sigurda.

„Grimhildo, córo Sigurda, lud mój od wieków nosi kajdany i jęczy — wraz z ludem moim sto innych ludów po wszystkich brzegach mórz południowych usiadło na żwirze i płacze.“

„Żeby ich wyzwolić trzeba mi twojej piersi natechnionej! Ja sam rodem jestem niewolnik, ale duchem mściciel — wrogi moje silne jak tytany — żeby ich

podkopać i obalić trzeba mi twojej piersi natchnionej! — Dziewico poświęcona Odynowi, ty wejdiesz w progi moje, ty będziesz towarzyszką moich trudów, i dzieci nasze kończyć będą dzieło moje — a ono się przeciągnie w późne wieki wieków!“

Tu ojciec twój umilkł i stopniami ogarniał ją potęgą wzroku i milczenia swego — ona stojąc na skale, spoziera na szarą nieskończoność morza, z rozpuszczonym włosen, z zamglonemi oczyma, bezsilna, szalona miłością. — Już Odyna pawęż jej nie zasłoni, porzuci stopy ołtarza i pójdzie z obcym na dalekie brzegi.

„Hermesie! dawniej wojownicy nasze nie śmieli spojrzeć na czoło moje. — Tyś się zjawił jak bohater zstępujący z Walhalli, tyś rzekł: „Grimhildo“ i patrz, ja muszę być niewolnicą twoją.“

„Nie znam ojczyzny twojej, wrogów twoich nie znam, kraj do którego mnie ciągniesz nigdy we śnie nawet nie ukazał się przedemną, a pójdę, pójdę nie-szczęśliwa — shańbiona pośród dziewic — przeklęta gniewem Odyna — tylko pozwól raz jeszcze mi zasiąść na świętym głazie i odśpiewać pieśń ostatnią!“

Amfloch Hermes szedł za dziewicą na pokładach mchu, na warstwach granitu, przez święte bory szronem obwisłe, wśród ryku wodospadów — sosny tłumem cisnęły się wszędzie; z ich tłumu czasem szkielet dębu się wydostanie uwieńczon jemiolą. — Wyżej niebo gorzkie, ołowiane — po bokach tysiąc manowców krąży i woła za sobą na puszcze — ale dziewczyna zna ścieżki wiodące do Boga, z którym idzie żegnać się na wieki.

Wodzowie hord, panowie gruntów, królowie morza, majtki i ich towarzysze stoją w półkolu przed posągiem Odyna i czekają na kapłankę. — Jeden tylko Sigurd z pokolenia bogów, król wszystkich, usiadł na pniu ściętej sosny i ogromną dłonią zakrył czoło — pierś jego nadyma się pod pancerzem z łusk rybich —

ale milczy i wszyscy za nim milczą — słychać tylko szum morza bijącego o skały za borem.

Grimhilda przeszła pośród nich z oczyma wlepionymi w posąg Odyna, ku któremu stąpała w groźnej powadze. — A cudzoziemiec pozostał z tyłu, wśród orszaku swoich, z założonymi rękoma na korynckiej zbroi, oparty o drzewo.

Pod występującem sklepieniem jaskini, na głazie tajemnicami zapisanym, usiadła i zdała się marzyć. — Bóg północnych plemion stoi nad nią, broda jego i włosy skrzepłe lodem, przypruszone śniegiem, oczy szklanne, rażące, w olbrzymiej dłoni maczuga krwią ofiar zboczona, a w piersi głęboka rana, którą zadał sobie, kiedy dopełniwszy ziemskiego wcielenia zażądał wrócić do biesiad Walhalli.

Sen jej trwał długo i teraz powoli z niego się budzi, zwolna podnosi ramiona, mówi jeszcze tłumionym głosem: „Znam cię, Panie, wśród bohaterów twoich. — Duch twój czarnym strumieniem zbliża się do łona mego — huczy w około mnie jak potok co rozrywa głazy. — Ja tam gdzie wiry twoje. — Ja tam wszechmocność gniewu twego — siła twoja moją — słuchajcie mnie wszyscy.“

Odrzuciła nagle powieki z po nad pałających źrenic — ręce wywarła ku tłumowi i ręce jej drżały jak w chwili konania — w głosie jej były dźwięki zarwane z mowy bohaterów, co wstąpili na chmury i teraz wśród burzy przelatując wołają na dzieci swoje:

„Po co biegniecie dniem i nocą, bracia moi. — Syny ludu mego, kto was pędzi z tyłu? — Kto wam kazał porzucić ziemię srebrną potoków?“

„Olbrzymy przykute podnieśli się z śniegów, na których leżeć mają aż do końca świata, podnieśli się na pół i bijąc łańcuchami o szczyty z lodu w nozdrza chwyatają zapach krwi z oddali.“

„Czy słyszycie jak młot Thora w pył druzgoce hełmy i puklerze, czaszki i piersi ludzkie? — Śmiech

karłów rozlega się w przestrzeni — włócznia Horgebrudy zawieszona nad ziemią całą!“

„Kto wam podoba, o potomki moje? — Coraz dalej pędzicie ku miastu wielkiemu. — Tam czeka na was biesiada — puławy pełne krwi nieprzyjaciół. — Każdemu z was przygotowane jest miejsce. — Zasiądźcie w chwale, syny moje!“

Głos jej upadł nagle i w szmer się zamienił — oczy szukają czegoś w świecie widzeń, który się przed nią roztacza — usta wysilają się na słowo jakieś. — To słowo powstaje, rośnie w głębinach jej duszy, jak wąż okrąża jej serce i jak wąż ucieka, kryje się znowu — ona darmo za nim goni, cała blada, nie-szczęśliwa, mdlejąca. — Jeszcze chwila — może go wyrwie z łona, bo wzrok jej płonie, twarz nowym za-jaśniała szalem:

„Miasto, miasto na siedmiu wzgórzach pali się pożarem — kruszce drogie, przejrzyste kamienie, topią się i płyną. — Ciała topią się na krew i płyną. — Zamek wielki i Bóg wielki na nim runął!... na pomoc, Odynie — umrę jeśli nie wypowiem tajemnicy twojej — imię jego — kto mi powie imię jego.“

I odpadła głowa matki twojej i zawarły się jej usta — król dotąd trzyma dłoń na twarzy, ani razu nie spojrzął na córkę i wszyscy stoją niewzruszeni, bo nikt nie śmie przystąpić do świętego głazu.

A więc Bóg twój oniemiał i ty z nim umilkłaś na wieki — po nad twojemi ustami cisza grobowa — na czole twojem lodowatość śmierci. — Ale ten, który ci inną Ojczyznę obiecał, nie opuści ciebie — ruszył się z pod cieniów dębu i sam natchniony stąpa ku tobie. — Krzyk oburzenia powstał w tłumie, królowie morza włóczniami uderzyli w puklerze. — Siwe Skaldy wyrzekli przekleństwo. — Ale on już przeszedł straszną zagrodę, już nachyla się nad Tobą, podaje ci rękę i rzecze:

Przez imię Roma, imię wrogów moich i twoich wołam cię do życia, powstań, Grimhildo!... I odwrócił

się i krzyknął trzy razy: ROMA — a dziewica obudzona podniosła się, powtórzyła raz jeszcze słowo tajemnicze, powtórzyła głosem pożegnania cichym i niewieścim, i poszła za cudzoziemcem jak żona za mężem.

Teraz ojciec twój senny młodzieńcze, stoi na pokładzie i z uśmiechem niedowiarstwa w ocean pełne wylewa kielichy na cześć Posejdonu, potem ku majtkom się odwraca i mówi: „Silniej żagle, dzielniej wiosła trzymajcie, a Bóg Trójzęba wnet uśmierzy te fale.“

Pod ich stopami drży każda belka jak ciało niewiasty, u widnokręgu ciemności warstwami się pokładły — z ich łona płyną bałwany zbierające się w kłęby, to rozpuszczając się w nurty, jak niegdyś wąż Piton nim legł pod strzałami słońca — naprzemian pękają tonie i spajają się białymi pianami — naprzemian w szumie wiatrów głuche oddechy i przeźliwe jęki.

Pod dachem wspartym stękającymi słupami usiadł Hermes na futrach wywiezionych z Chersonesu Cymbrów, i spokojnym głosem tłumaczył dziewicy świat, do którego się zbliżała — opisywał jej wyspę o winnicach i gajach w pobliżu wielkiego lądu — on tam ma swoich oraczy i kupców, dom i okręty swoje. — Tam skarbee jego pełne kosztowności i broni — i ta broń zda się kiedyś! bo w tamtych stronach ród ludzki nie hasa pod wodzą bohaterów — ale ujarzmiony, hańbę swoją ubiera w złoto, marmury, jedwabie i liże stopy miasta wznoszącego się na między-morzu.

To miasto niegdyś w obliczu świata stało się Bogiem kłamstwa i ucisku — pod jego tchnieniem śmiertelnem brat powstał na braci, syn na ojca, zdrajca na ojczyznę, i jako czas nieużyty, ono pożarło wszystkich królów ziemi! Tu pogoda zesłała z czoła ojca twego i stał się podobnym do burzy, która statkiem miotala.

Hellada moja była niegdyś duszą narodów — pieśni jej były pieniami świata. — Barbarzyńców zachwalałych co przyszli od wschodu, odpędziła szczękiem szabel i dźwiękiem strun swoich.

Ogień niebieski wydarty bogom, jej tylko jednej, jej tylko dostał się w udziale — nieszczęśliwa zaufała miastu przekłętemu. — Dicz z między-morza przyplłynęła do jej wysp szczęśliwych, do jej mirtowych nadbrzeżów. — Nie zdobyli jej bronią; ale rozdzielili jadem pochlebstwa, upoili nektarem obietnic!

W tej chwili rozejdą się chmury — wiatr je rozpruł na zachodzie i kilka gwiazd zamignęło — Hermes raz tylko rzucił okiem i kiedy znów tonęły w wyziewach, krzyknął do sternika: „na prawe całą noc na prawo, a o tej samej porze jutro przepłynięm Gadesu cieśninę!“ — I dalej tuląc ją do łona rozpowiada o przodku Filopomenie, przedostatnim z ludzi, którzy walczyli przeciw miastu podłacemu — po nim raz jeszcze król barbarzyniec wyszedł w pole i przegrzywał lat trzydzieści, aż legł własną ręką przebity — od dnia tego nikt już trzeci się nie zdarzył na obronę ziemi!

Chwilą milczenia, chwilą rozpamiętywania ucził pamięć wielkiego Mitrydata, poczem wrócił do smutnej powieści — ona słuchała z niewzruszonymi, palającymi oczyma. — „Grimhildo, Bóg twój dał ci zgadnąć natchnieniem to co sam wydobywałem nie raz pracą nienawiści, domysłem nadziei, z nocy przyszłych wieków — cieszmy się, królewska córo — bo miasto nieprawości po zabiciu wszystkich żyjących i wolnych, rozpoczęło teraz samobójstwo swoje!

Skarby wyssane z całej ziemi już im wkrótce nie wystarczą — niedługo oręż z ich rąk się wysunie — wśród rzezi i festynów dobijają im ostatnie chwile. — O żono moja, śmieję się z tych fal i wichrów, bo my tu nie zginiemy, my będziemy częścią wielkiego zniszczenia.

Po tych słowach głos bohatera przybrał jeszcze bardziej gorzkie i szyderskie dźwięki — wspomniał o bogach Hellady potężnych kiedyś, którym dzisiaj już rzadko kto wierzy; wyrocznie ich oniemiały oddawna, ale posągi stoją dotąd, bo świat stary odzwyczaić się nie może od nałogów młodości — wszystkie bogi ziemi objawiły się w mieście przeklęstwa. — Jedne piękne, podobne nieśmiertelnym, bo greckiego dłuta — inne potworne, wyrosłe na piaskach pustyni, po szczytach gór dalekich — ale on wie, że jest tylko Bóg jeden, który przed wiekami położył dłonie na wirach chaosu i zwyciężył go na wieki!

Imię jego? zapyta kapłanka Odyna.

-- Przeznaczenie — i poszedł ku sterowi łodzi bo podwajała się burza.

Czy pamiętasz wyspę Chiare, na której wzrosłeś, ty i siostra twoja, boska Elsinoe? — Czy pamiętasz wyprawy ojca, kiedy na maszty zarzucał żagle nie trójkątne greckie, ale barbarzyńskie podługne, sam w dackim kołpaku, z toporem Cymbrów w dłoni, z zatoki wymykał się nocą i puszczał na manowce archipelagu?

Wszystkie myśli Jugurthy i Mitrydata odżywały w jego duszy — ku dzikim plemionom latały nieustannie chęci jego i prace. — To gdzie błota meockie, gdzie pustynie i wiatronogie rumaki, to gdzie Syrty w głębiach Afryki i jadem zaprawione strzały, błąkał się na przemian szukając nieprzyjaciół nieprzyjacielowi swemu — dłonie królów dzikich ściskając, ucząc się ich mowy, broń ich zatykając na piersi swojej, sypiąc im dary i rozżarzając ich chucie obietnicą rozkoszy i łupów.

Wtedy matce twojej bolesno schodziły dnie i nocy. Ale niewolnik żaden, obcy żaden, nie wyczytał cierpienia z jej rysów; usta jej nie drżały kiedy rozkazywała.

Czasem tylko, wzięwszy was oboje za ręce, wiodła przez długie portyki w głąb pałacu. Tam w framudze nabijanej mchem i konchami, stał wojownik z głazu.

Dzikość nieśmiertelna marszczy mu skronie — w ręce trzyma czaszkę zabitego wroga, a u stóp Jego bryły lodu wykute z paryjskiego marmuru.

Przed nim schyla głowę matka twoja i duma nad ubiegłą ojczyzną: — Irydionie mój, Sigurdzie mój! ty ziemi srebrnej nie obaczysz nigdy, ni dziada twego, króla męzów. — Patrz: — oto Bóg mój święty — natchnienie moje straszne, to Pan Walhalli, niezwalczony Odyn. — I córkę przyciskając do piersi: — Gdzie ojciec, Elsinoe, mów, gdzie Hermes w tej chwili? słyszę wiatrów szumy i fal żałobne jęki. — Okręt jego pośród wód nieskończonych, nachylony, odarty z żagłów, lub może na bezbożne wyrzucony brzegi... ale nie — on zwycięży burze, on odejmie się dzikim i wróci do nas z chwałą pół-boga.

A kiedy róg przybywającego odezwał się od morza, kiedy bliżej zagrzemiał wśród gajów cytrynowych, kiedy nocną rosą obwisły, spiekły słońcem i dżdżami szerniony, rzucał się Hermes w objęcia żony i oko jego czarne, namiętne, blaskiem nadziei pałało — wtedy znów bywały dni pogodne i szczęśliwe na Chiarze; zapomniała kapłanka o gorzkich przeczuciach, a wy biegaliście swobodnie, rozkosznie, po trawnikach, wśród kwiatów, po nadbrzeżach wśród muszli, po salach marmurowych wśród trojnogów i kadzideł, odpoczywając na łonie matki, na ojca kolanach; a on co wieczór błogosławiąc wasze głowy do snu pochylone: — Pamiętajcie powtarzał, nienawidzieć Romy. — Dorósłszy, niech każdy z was ściga ją przekleństwem swoim. — Ty żelazem i ogniem — ty natchnieniem i niewiasty zdradą.

Czasem też do Chiary prokonsul lub pretor, lub wyzwoleniec jaki Cezara przybywali w goście — wtedy Hermes kazał zastawiać długie łoża i stoły. — Lesbijskie wino płynęło strugami — brzmiały głosy niewolnic,

niewolników lutnie, pieśniami starego Homera. — Anakreonta, Anakreonta, wołali Rzymianie. — Wtedy z szyderskim uśmiechem ojciec twój, skinąwszy na śpiewaków, Rzymianom pełniejsze nalewał kielichy, świeże rozdawał wieńce, a kiedy wpadli w szum i żarty, znienacka mówił o dziejach przeszłości, o chwale państwa, wspominał z Kartagą przewalczone boje, wycięte Varrusa legiony i Hiszpańskie Sertoriusza bunty — i pił zdrowie Imperatora, aż puhar pękał w palcach jego!

Już zbliża się trzynasta rocznica dnia, w którym kapłanka opuściła bogów. — Głos jej dziczeje, kiedy woła na dzieci swoje — wzrok jej dziczeje, kiedy je tuli do łona — wspomina ojca, siostry, wodzów ludu, i na pół przerywane słowo pożegnania z ust jej wypada. — Przed jednym Hermezem upokarza się jej obłąkanie: — Czego ci niedostaje, Grimhildo moja, królewska córo? — Czy słyszałeś o zemście duchów nieśmiertelnych? — na czas tylko ja byłam twoją — u krańców ziemi leży wyspa okuta lodami — góra na niej buchająca płomieniem. — Tam przykuty olbrzym śmierci już ramię wyciągnął, już nachyla dłoń ku otchłani by rzucić kłębek śnieżny życia mego.

Hermes dłoń rozciąga nad jej skroniami. — Cień jego rąk, gdyby strumień pokoju spada na jej czoło, wlewa się do duszy: — Patrz na to niebo gorejące, na to morze iskier, gdzie chmury twej północy i nieużyte bogi twoje — gwiazda Amfilocha cię broni — ona cię nie wyda złym duchom. — Ale i jemu ciężar jakiś serce przyćiskać zaczyna.

Jakiż to krzyk uderzył o wnętrze sklepienia i rozbił się aż na filarach portyku? — Spieszą niewolnicy w głębie pałacowe do komnaty Pana. — Tam na porfirowem łożu rozciągnięta kapłanka, a wódz grecki stoi u wezgłowia z pochyloną głową i depce czarę, na której brzegach ostatnie krople się sączą. — Oni spuścili oczy, słuchają, czekają, a kiedy się od-

wrócił, zadrżeli wszyscy — bo pierwszy raz w życiu boleść wyższa nad siły rysy mu kaziła; — odwrócił się — wskazał by mu syna przyprowadzić i córkę.

— Grimhildo! teraz ja twego Pana wyzywam — tam gdzie wśród bohaterów krew pije na najwyższym tronie pałacu swego, tam niechaj dojdzie przekleństwo Amfilocha Greka. — O żono! nie opuszczaj mnie — daremno — daremno — kilka kropel tylko zostało — cały puchar trucizny wrze w piersiach twoich, o Grimhildo moja!

Podniosła się i bladą była jak posąg na sarkofagu: — Widziałam go po trzykroć w nocy — szedł z Walhalli podobny do czarnego oceanu i wołał na mnie: o kapłanko moja.

— Nad śpiącym Irydionem, nad śpiącą Elsinoe zawiesił ramiona ciężkim odziane żelazem i groził im w potęgze swojej — przeklinał ich życie ziemskie jeśli nie pójdę do niego.

— Na czas tylko byłam twoją. — Tam pod jego stopami leży nóż ofiarniczy i zasłona czarna, wieniec pogrzebny kapłanek. — Ty go złożysz przy mnie, ty mi ją rzucisz na skronie po śmierci.

I schodzi ku niemu po stopniach z marmuru — kibić wyniosła podana naprzód, śnieżne ręce wyciągnięte, drżące jak gdyby cienie śmierci rozgarnąć chciała, a fałdy szaty białej wloką się za jej stopami. — Zeszła, na mężu się oparła — on ją opasał ramieniem i ku przybytkowi stąpać zaczynają. — On idzie krok za krokiem, walczy z nieznaną potęgą, zatrzymał się i wzrok cisnął ku niebu jakim Prometeusz ze skały, Laokoon z nadbrzeżów morza wyrzucał, bogom nędze tej ziemi; ale do jęków się nie zniża, milczy i znów idzie dalej. — Przeznaczenie ich oboje porywa za sobą.

Wzrok jej zlał się wtedy ostatni raz na głowę twoją Irydionie — u stóp Odyne żegnała cię imieniem dziadowskiem: — Sigurdzie, bądź mi kiedyś postrachem dumnych. — Elsinoe, duch mój będzie zawždy z tobą

— pamiętajcie o ziemi potoków i o Bogu moim — o dzieci moje, ja dla was umieram, — usta jej zbiegły — sine cienie łamią się po twarzy i naprzemian to woła, to odpiera was od zatrutego łona.

Nagle myśl jej porzuci przytomnych i wraca w inne strony i czasy. — Tam ojciec duma stary — tam ją królowie przeklinają — wyciągnęła rękę — umierając, prorokować będzie: — Bracia moi, do boju — na siedmiu wzgórzach namioty wasze — na szczycie Kapitolu biesiada wasza — a tam nizko w dołę zgrzyta i płacze w łańcuchy spętana, zdeptana Roma, Roma, Roma!

I upadła przed Bogiem swoim. — Amfiloch podniósł ją w objęcia — chciała ramieniem obwiązać mu szyję — opadło ramię. Sama na wznak się chyli, włosy jej zlewają się na dół coraz niżej i niżej, aż z jego rąk drętwiejących na marmur stoczyło się ciało.

Przykląkł i czarną zasłonę, wieniec pogrzebny kapłanek złożył na jej czole — potem wstaje w dzięk obłąkaniu i woła: — Gdzie topór z Cherzonesu Cymbrów, niewolniki? — Podali mu go drżące niewolniki — on go wziął, ścisnął i zbierając wszystkie siły śmiertelne przeciw nieśmiertelnym, stąpa ku posągowi. — Żelazo podniósł, trzy razy błyskawicę ważył po nad głową, a za czwartym razem obalił Boga, wroga swego i zdeptał w milczeniu rozpaczy!

Taki ród twój, taka przeszłość twoja, potomku Filopomona, wnuku króla mężów, senny Irydionie! — A teraz ojciec twój porzucił dom przodków na Chiarze i z urną Grimhildy płynie ku Rzymowi. — On stracił tę, którą kochał — osiędzie więc pośród wrogów i przynajmniej pełnem sercem nienawidzić będzie, a dzień przepowiedziany, dzień zniszczenia, nadciągnie tymczasem.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Sala w pałacu Irydiona w Rzymie. — Z obu stron rzędy kolumn ginące w głębi. — Pośrodku fontanna i kadzidła palące się w trójnogach. — Irydion pod posągami ojca swego. — Niewolniki zapalają światła w lampach z alabastru.

Pierwszy niewolnik.

Syn Amflocha oparł głowę o nogi umarłego —

Drugi niewolnik.

O zimne stopy z marmuru i zasnął —

Trzeci niewolnik.

A tymczasem w Gineceum siostra jego, pani nasza, mdleje i płacze.

Czwarty niewolnik.

Przez Polluxa, słyszałem z ust pewnych, że porwą ją dziś wieczorem murzyny Heliogabala.

Niewolnik pierwszy.

Pokój Jemu — wychodźmy, bracia, wychodźmy.
(Przechodzą.)

Irydion.

Przesunęli się jak cienie, szanując spokój ducha mojego. — O Ojczy, dla nich i dla wszystkich dotąd we śnie leżę — ty jeden wiesz, że ja czuwam.

(Wstaje i idzie do tarczy bronzowej, na której puginął zawieszony.)

Zmierzch zapada, godzina już bliska. — Oni przyjdą zaraz — w podobną godzinę stary Brutus musiał własnych synów zabijać.

(Uderza o tarczę.)

Elsinoe — Elsinoe!

Ot! idzie ku mnie jak widmo nieszczęścia — wieniec cyprysowy włożyła na skronie — matka jej niegdyś tak stąpała pod gniewem Odyna.

Elsinoe (wchodząc.)

Czy już przybyli służalcy, czy już zaszedł rydwan przeklętego?

Irydion.

Nie jeszcze — ale chciałem raz ostatni cię natchnąć duchem ojca mego.

Elsinoe.

O Bracie...

Irydion.

Wiesz sama, że Cezar nalega w szale — że senat przezwiał cię już boską i posągi twoje stawiać rozkazał po świątyniach miasta — wiesz sama, żeś nie siostra moja, żeś ty nie jasnowłosa *Elsinoe*, nadzieja domu rodzinnego, pieszczota serca mego. — Tyś ofiarą naznaczoną za cierpienia wielu i za hańbę ojców twoich!

Elsinoe.

Tak — uczyliście mnie tego od dzieciństwa i gotowa jestem. — Ale jeszcze nie dzisiaj, nie jutro — trochę później, aż sił nabiorę, aż nasłucham się nauk *Masinissy* i rozkazów twoich — aż do dna puhar waszej trucizny wypiję!

Irydion.

Wybrana, gotuj się do losów twoich. — Spieszno nam po drodze, na której stąpamy.

Elsinoe.

Przypomnij sobie, kiedyśmy igrali na trawnikach *Chiary*, jam cię tak kochała, o bracie, jam zawsze skronie twoje różami wieńczyła i mirtem. — Oh! zmiłuj się nademną!

Irydion.

Niewiasto, ty mnie kusisz do litości, — daremno, daremno!

Elsinoe.

Na co prośb i żalów tyle. — Zdarzało się za dawnych czasów, że można było śmiercią okupić się ludziom i bogom — patrz — tam błyszczący twój sztylet, Irydionie — przyspieszmy sobie nicość Irydionie!

Irydion.

Bluźnisz myślom ojca mego. — Trza żyć i cierpieć by wielki duch Amfilocha rozradował się pośród ceniów. — O siostró! dawniej dla zbawienia narodów dosyć było życia jednego człowieka — dziś inne czasy, dziś cześć poświęcić trzeba.

(Obejmuje ją ramieniem.)

Dziś w róże się uwieńczysz, w uśmiechy się wystroisz, o biedna, złóż tu głowę skazaną — ostatni raz w domu ojcowskim brat cię przyciska do łona. — Żegnaj mi w całej urodzie świeżości dziewiczej — już ja ciebie nie ujrzę młodą — nigdy, nigdy już. — On cię przepsuje tchnieniem zatrutem, on... ale on zginie; czy ty rozumiesz, siostró, on zginie wraz z całym państwem swoim!

Elsinoe.

Teraz na twojej piersi, o bracie, a za chwil kilka na czyjej?

Irydion.

Te filary drżą na podstawach swoich, plamy jakieś czarne biegają między niemi. — Bogi, nie dajcie mi upaść u wejścia do areny. — Masinisso, przybywaj.

Głos z za filarów.

Kto się waha, ten urodził się do słów nie do czynów. — Śmiechem go witać i śmiechem go żegnać będę.

(Wchodzi) *Masinissa.*

Posłanniki Cezara już idą ku twojemu pałacowi.

Irydion.

Ty, na którego czole napisane słowo — potęga!
Ty, co stoisz nad grobem tak wyniosły jak za dni
twojej młodości, natchnij mnie siłą w tej wyrocznej chwili!

Masinissa.

Gdzie dziewice wybrane — gdzie wieniec z kwia-
tów dla oblubienicy Cezara?

(Zrzuca cyprysy z głowy Elsinoi.)

Dzisiaj zaczyna się dzieło nasze!

(Z głębi sali wchodzi służebnice z drogiemi szaty.)

Chór służebnic.

Jaką była Afrodyta wstając błękitnego Oceanu,
pośród tęcz piany morskiej, pośród woni Zefirów, taką
ty będziesz, — niesiemy ci róże, kadzidła i perły.

Irydion.

Weź jej ramie, starcze.

(Prowadzi siostrę pod posąg Amfilocha.)

Słuchaj mnie, niewiasto, jak gdybym umierał, jak
gdybyś już głosu mego nigdy usłyszeć nie miała.

Wejdiesz w progi nienawistne, będziesz żyła
wśród przeklętych, ciało twoje oddasz synowi sprośności —
ale duch twój niech czystym i wolnym zostanie; —
osłoń go tajemnicą, uczyn go niedostępnym jako niegdyś
był przybytek, w którym matka nasza prorokowała!

Elsinoe.

Biada, biada sierocie!

Irydion.

Nie daj nigdy Cezarowi zasnąć na piersi two-
jej — niechaj wszędzie słyszy pretorianów wołających
do broni, Patrycyuszów knujących spiski, lud cały wa-
lący do bram pałacowych — a to czynić będziesz
powoli, dniem po dniu, kroplą po kropli, aż go szalem
otoczysz i wysiesz całe życie z serca Jego. — Teraz
powstań — zbliż głowę.

(Kładzie ręce na jej włosach.)

Poczęta w pragnieniu zemsty, wzrosła w nadziei zemsty, przeznaczona niesławie i zagubie, poświęcam cię bogom Manom Amfilocha Greka!

Elsinoe.

Głosy Erebu odzywają się zewsząd — o matko moja!

Chór niewiast (otaczając ją.)

Czemu drżą członki twoje pod śnieżną zasłoną, pod wstęgami z purpury, któremi obowiązuje ci piersi? — czemu bledniesz pod wieńcem, który splotłyśmy dla ozdoby czoła twojego?

Irydion.

Patrz — mdleje nieszczęśliwa!

Masinissa.

Nie — ona żyć zaczyna jako żyć jej trzeba. — Czy widzisz jak te usta spienione pracują?

Elsinoe.

Rzucam próg ojcowski, bogów domowych nie wynoszę z sobą, wieniec mój święty, nieskażony cisnęłam między popioły rodzinnego ogniska. — Ojciec mnie skazał, brat mnie skazał. — O ja nie wrócę nigdy, ja idę na męki i długą żalobę!

Matko! do Odyna w prośby za córą twoją. — Spiesz się, matko — nie proś o długie życie. — Natchnienia, tylko natchnienia! Dzieci śmiertelnych piersi moja nigdy nie wyda, ale przyszłość poczynąć się będzie w mem łonie!

Roma zaufa miłości mojej. — Roma zaśnie w objęciach moich.

(Eutychian wchodzi na czele Etiopów niosących dary.)

Eutychian.

Trzy razy święty, po trzykroć fortunny, Imperator, Cezar i August i Kapłan najwyższy i Trybun

i Konsul, przysyła synowi Amfilocha pozdrowienie, a boskiej siostrze Jego sto konch purpurowych, sto kubków ametystowych...

Elsinoe.

Natchnienia, natchnienia wśród męczarni!

Irydion.

Stało się.

(Chwyta ją za ramię i prowadzi do Eutychiana.)

Masz jasnowłosą.

Eutychian.

Rydwan z kości słoniowej czeka na córę szczęścia?

Irydion.

Pięćdziesięciu Gladiatorów moich daruję Cezarowi — ona lubiła patrzeć na ich gonitwy. Idźcie — (oni pospieszą za wami.

Uderza w tarczę. — Orszak niewiast i Etiopów wychodzi z Elsinoą.)

Chór Gladiatorów (w głębi.)

Czy natrzeć na zwierza, czy wroga obalić, czy twoją siostrę obronić?

(Wchodzą.)

Irydion.

Bracia Grecy i barbarzyńcy, wykupieni przeze mnie z paszczy ludu Rzymskiego! bądźcie mi wiernymi aż do dnia łupów!

Chór Gladiatorów.

Dopóki nie ugrzęzną ciała nasze w mule w krwi i piasku, sprężyste, nagie, gibkie ciała nasze!

Irydion.

Słyszycie jeszcze ich kroki i głosy — w ślady za nimi — krótkim mieczom waszym powierzam głowę Elsinoi; a kiedy staniecie w obliczu Imperatora głęboki pokłon oddajcie nowemu panu!

Chór Gladiatorów.

Niech zginie — niech zginie przed czasem!

(Przechodzą.)

Irydion.

Stare gnębciele świata — zdziercy Hellady — syny fałszu i wiarołomstwa, poświęciłem wam nie-
tkniętą dziewicę. — Nieśmiertelne bogi, gdziekolwiek
jesteście, wysłuchajcie prośbę moją — niech ona będzie
przedostatnią ofiarą wydaną na pastwę Rzymowi; a ja
z tyłu nieszczęśliwych, wybranych po wszystkich stro-
nach ziemi, wydartych groźbą i mękami, zapomnianych
po mękach i zgonie, niechaj będę ostatni!

Masinissa.

Sigurdzie!

Irydion.

Nie nazywaj mnie takim imieniem — lub daj
mi królów morza, otocz mnie ludem dziada mojego,
a z purpury Cezarów nici jednej nie zostanie! Ale
droga moja wytknięta wśród ciemności — gdziekol-
wiek wyteżę ramiona, tam zapory twarde jak żelazo,
ruchome jak węże, i wśród nich czołgam się bez
bytu, bez życia!

Masinissa.

W nędzach i miernościach ludzkich niechaj bę-
dzie twoja nadzieja i wiara, bo los postawił cię u bram
walącego się miasta — otoczył cię wiekiem przesilenia
i zgrzybiałości, którego sam częścią nie jesteś — na
skargi będzie czas kiedyś później, kiedyś... kiedyś...

Irydion.

Ah! hańba tym Nazareńczykom, co wolą ginąć
jak bydło, niżeli bić się jak męże — oni, oni to mnie
wstrzymują!

Masinissa.

Aleksyjan syn Mammei codziennie do nich zstępuje
i naradza się z pierwszymi kapłanymi. — Jeśli go nie

uprzedzisz, on szalę przeważy, on zmiecie Heliogabala, on swoje państwo nazareńskim uczyni i Rzym trwać będzie w późne wieki wieków!

Irydion.

Nie — przez Thora, ja mu przyrzekam, że nie będzie Cezarem!

Masinissa.

W katakombach los Rzymu cię rozstrzygnie. — Idź — znamię ich na twoich piersiach, woda ich na twojem czole, niech tajemnice ich w twoich ustach będą. — Zaszczepiaj zemstę w imieniu Boga nie zemszczonego dotąd. — Gdzie Jego ołtarze, gdzie Jego chwała na powierzchni ziemi? — A kiedy będziesz ich wiódł i uzbrajał, kiedy w ich ręce kłaść będziesz zakazane miecze, o wtedy, synu mój, duch mój będzie z tobą!

(Zbliża się i opiera się na jego ramieniu.)

Czy pamiętasz noc, w której ojciec twój umierając, wołał: — Masinisso, powierzam ci syna i myśl moją. — Ja wtedy nachyliwszy się nad nim jak teraz nachyłam się nad tobą: O Hermesie! tam wśród cieniów, do których zstępujesz zapytaj się o Masinissę, a one ci odpowiedzą — on nigdy nie opuszcza komu przyrzekł towarzyszyć do końca!

O Hermesie, duchy nasze trójcą połączone i nie ich rozerwać nie zdoła.

Irydion.

To się działo o podobnej godzinie — tylko że Elsinoe była przy mnie i płakała w moich objęciach!

Masinissa.

Dziś to samo powtarzam. Wierz mi i ufaj do końca razem na ziemi — razem przed zgonem i po zgonie Rzymu — o dziecię moje wybrane, nie rozłączym się nigdy, nigdy...

Irydion.

Z twojej wyschłej piersi nurty siły płyną. — Daj rękę, starcze. — Tak, razem przed zgonem i po zgonie Rzymu!

(Pada na krzesło przed posągiem.)

To się działo o podobnej godzinie. — Wzrok umierającego płonął jak wschodząca gwiazda — wtedy przysiągłem... Czy słyszysz te wściekle okrzyki? — Cezar rozdał ludowi puginały i sesterce, a lud się raduje z rozkoszy Cezara.

(Togę zarzuca na głowę.)

Zostaw mnie sam na sam z piekłem serca mego!

Świątynia w lochach pod Kapitołem. — Olbrzymi posąg Mityry w głębi — słychać oddalającą się muzykę — wychodzą kapłani i wieszczbiarze. — Heliogabal w szatach Arcykapłana i Elsinoe się rozstają.

Heliogabal.

Widziałś moją potęgę, jasnowłosa Greczynko. — Rozmawiałem z bogiem światła i geniuszami nocy, a pierwsi kapłani wschodu dziwili się moim słowom i ofierze.

Elsinoe.

W pogardzie u córy ludów miękkie, rozwiązłe bogi w dymach kadzidlanych tonące, dźwiękami fletów obwiane, oblane krwią trwożliwych jeleni lub niemowląt — i słońce dyamentowe co na twoich piersiach jedwabnych połyska, nie wyrówna słońcu po nad śniegami północy.

Heliogabal.

Żmijo, którą kocham, czegoż żądasz więcej?

Elsinoe.

Gdzie Odyn, pan matki mojej, kuty ze stali i dębu, na dżdże, szrony i wichry spokojny, niewzruszony, z czarą, w której krew bohaterów się pieni —

od południa skały ścielą mu się w poręcze tronu, i on oparty o skały patrzy na morze północy, które szymbami lodu u stóp jego pryska.

(Podnosi wieniec hyacyntów i rzuca na Heliogabala.)

Zwiędłe kwiaty, idźcie do mdłego kwiecica — ale córa kapłanki Cymbrów nie dotknie się puchu.

(Odchodzi.)

Heliogabal.

Zostań się, przez tajemnice Baala zostań się, nimfo. — Jam Arcykapłan, jam piękny, jam Apollo Delijski — niegdyś legia cała okrzyknęła mnie Cezarem dla gładkości liców moich. — Nimfo, zostań, rozkazuję tobie. — Jam August, Antonin, Aurelius, pan Rzymu, Afryki, Indyi — czego milczysz? czemu spojżenia twoje tak zimne i przebijające? Obsypałem cię zausznikami, naramiennikami, purpurą, drogimi szafiry, zastawiłem ci biesiady o jakich nie marzyło się kochankom Sardanapala — stu lwów zagryzło się wczoraj przed tobą — wyгнаłem wszystkie nałożnice, a ty zawsze jak marmur nieugięty, połyskujący i mroźny!

Elsinoe.

Przeszkadzasz mi, przeszkadzasz, dziecino karmiona mózdkami ptasząt. — Byłam wśród Walhalli, wśród naddziadów moich siedzących na tronach, każdy z trumną wroga pod stopami — gwar słów twoich przerwał myśli moje dalekie — niepojęte. — Co ty chcesz — czego pragniesz odemnie? pora już późna — bogów moich najlepiej mi wzywać o takiej porze. — Żegnam cię, Auguście — Cezarze — Aureliusz...

Heliogabal.

Jasnowłosa najurodziwsza, najkształtniejsza, zaklinam cię, błagam ciebie, patrz jak drzę cały, jak umieram przed tobą. — Bogi i boginie! — w całej Azyi takiej głowy, takiego łona, takich oczu lazurowych żaden z was nie stworzył!

Elsinoe.

Ciszej — tam głos matki mojej wśród wichrów się przedziera!

Heliogabal.

Położę się na stopnich ołtarza i całować będę palce białych nóg twoich.

(Zbliża się do niej.)

Elsinoe.

Na mnie trza żelaznych ramion i ust brzmiących pieśnią, straszną pieśnią bitew. — Idź do pretorianów, sługo pretorianów!

Heliogabal (padając przed ołtarzem.)

Przekłęta! Ty zginiesz zawczasie — przed całym ludem każę cię rozbić na krzyżu. — O urodziwa! — słuchaj: — Jeśli ci nie dosyć Cezara dam ci Mitrę. — Każę cię ogłosić Mitry kochanką. — Ja wszystko mogę.

Chwilę jeszcze bądź przy mnie — lepiej mi kiedy stoisz choć z daleka. — Ja biedny, ja tak młody, a już otoczony spiskami i śmiercią. — Nudno mi, nudno, i wszystkie strony świata nic mi nie pomogą. — Krew ludzi i zwierząt, woń kadzideł i kwiatów nie służy już Heliogabalowi. — Czy słyszysz? Czy chcesz bym skończył z wściekłości? — Nimfo — *Elsinoe!* — Tu razem obok siebie z dłonią w dłoń, skronie oparłszy o skronie, zaśnijmy!

Elsinoe.

Tak — śpij, dopóki nie przyjdzie Centurion i nie zamorduje Cezara. — Nieszczęśliwy, powiedz mi gdzie zbroja twoja? Nieszczęśliwy, temi palcami z wosku tej rękojeści miecza utrzymać nie potrafisz! — Czekaj. — Ja pójdę i bogów moich się zapytam, czy został jeszcze ratunek dla ciebie. —

(Wychodzi.)

Heliogabal.

Na pomoc Imperatorowi, na pomoc!

(Wchodzą wieszczbiarze, kapłany, Eutylian.)

Chór kapłanów.

Co się stało synowi słońca, panu tajemnic i ofiary?
Usta jego pianą zroszone, gwiazda przepychu pękła na
jego piersiach — a wzrok w obłędach swoich, w koło-
waniach swoich zda się żądać krwi, zda się żądać roz-
koszy, to znów słabiej i zda się żądać snu wiecznego.

Heliogabal.

Furye rozdierają członki moje. — Ja wiem, ja
wiem.

Eutylian.

Evoe Bachche! Uczeń mój pijany na wzór ciebie,
kiedyś Indye po pijanemu zdobywał.

Heliogabal.

Aleksyan przytknie mi stal zimną do szyi: — daj
gardło, Cezarze — brońcie mnie — każdemu z was
dziesięć talentów.

Eutylian.

Sam pierwszy za dziesięć talentów przebiję Cezara.

Heliogabal.

Litości nademną! — Słońce mścić się będzie nad
wami.

Chór.

Powstań, boski Cezarze. — Tyś naszym panem
i ziemia cała poddana woli twojej — bogi nieprzyja-
zne zazdroszcząc ci chwały, trapią cię zgubnem widze-
niem — ale ta mara się rozplynie w ogniu wiekuistym,
w świetle przenajczystszym Mitry — jak fala mętna
w oceanu lazurach, jak ciało Semeli w potędze Jowisza.

Heliogabal. (podnosząc się).

Podajcie mi ręce, niewolniki — kto was tu sprowadził? — Ja chcę by ona weszła do łoża mego — czy słyszycie? by ciało jej drżało w moich ramionach — inaczej wszyscy, ilu was tu stoi przede mną, zginiecie pod kłami lampartów?

Eutyhian.

Me hercule! Jam na lwa zasłużył.

Heliogabal.

Milcz — dziś żartów nie chcę — gdzie ona?

Chór.

Jej postać wschodzi z pośród ciemności. — Jej Bóg cudzy walczy z naszym Bogiem!

Heliogabal.

Milczcie — słuchajcie!

Elsinoe (w głębi na głazie hieroglyfami okrytym.)

Pytałam się wszystkich. — Oni zrazu milczeli siedząc na tronach swoich, każdy jak zasnął po odbytej biesiadzie.

Pytałam się ich wszystkich. — Jednego czarna zbroja chrzęśla. Jeden tylko się przebudził i wznosił niedopitą czarę ku ustom spokojnym.

Pytałam się ich wszystkich — a tam gdzie czara ust się dotknęła, kropla krwi się wyśliźnie i lecąc przez niebiosą spada mi na czoło.

Heliogabal.

Mów, boska moja! — wszak jeszcze nie potępiony — wszak nie zginę przed czasem?

Elsinoe.

Wszyscy na kolana. — Wyrok bogów grzmi w duszy mojej.

Heliogabal (przyklękając.)

Przebacz, wielki Mitro.

Eutychian (przyklękając.)

Dobranoc, wielki Mitro.

Chór (przyklękając.)

Niech przepadnie cudzoziemka, święty, potrójny, szybkołotny Mitro!

Elsinoe.

Wtedy ujrzałam na ziemskich równinach męża zbrojnego w żelazo i zgrozę — czoło jego było spokojne jak powierzchnia wód głębokich — w prawicy jaśniał miecz zwycięstwa.

Poznałam — nie rozumiałam — nie ufałam sobie. — Ale imię jego powtórzyły wichry nocne i głos zleciał od szczytów Walhalli: — On zbawi Cezara.

Heliogabal.

Imię, imię?

Elsinoe.

Sigurd, syn kapłanki.

(Schodzi z głazu i zbliża się do Heliogabala.)

Nie tarzaj się więcej w prochu — powstań, a wy oddalcie się wszyscy!

(Wychodzą.)

Nędzny! gdyby ci przyszło wsiąść na kark bałwanom i jeździć po nich jak na koniu bez wędzidła — a gdybyś musiał leżeć na śniegu otoczony stadami kruków i całą noc patrzeć w lodowate oko księżyca — biedny ty z purpurą twoją i bogami twemi! Ale nie drzyj, nie rozpaczaj, bo cię wyrwie z toni syn Amfilocha, Greka.

Heliogabal.

Kto? brat twój — Irydion — prawda! czarna jego żrenica dziwne sieje połyski. — O gdyby ten lud

cały nosił jedną głowę tylko, którąby zwalić można jednym cięciem! Wtedy jabym zasnął na twoich pierśsiach, zasnął spokojnie! Irydion Amfilochides!

On będzie moim dobrym gieniuszem — powtórz raz jeszcze!

Elsinoe.

Daj rękę, dziecko, i nie lękaj się dopóki moje bogi czuwają nad tobą.

(Wyprowadza go.)

Inna część pałacu Cezarów. — Perystyl. W środku jego przed ołtarzem ofiary siedzi MAMMEA. — ALEXANDER SEWERUS przed nią. — W głębi przysionek oddzielony ciasnym przejściem.

Mammea.

Kilka razy widzieli łzy w jego oczach, ale nikt nigdy nie dostrzegł uśmiechu na jego twarzy — rykami mówią, że przypominał Platona, tylko, że coś surowszego panowało mu z czoła. — Podania najsroźszych nawet nieprzyjacioł jego w tem się zgadzają.

Aleksander.

Codzień bardziej serce moje lgnie do jego nauki.

Mammea.

Wierz słowom moim — w niej jedyna mądrość na ziemi i jedyna nadzieja po zgonie.

(Ulpianus ukazuje się w przysionku.)

(Wstając.)

Toś ty, Domicyanie?

Aleksander.

On sam, mój Domicianus, najukochańszy z ludzi, mistrz mojego dzieciństwa.

(Idzie i rzuca się w jego objęcia.)

Ulpianus.

Bądź dobrej myśli — i ty Augusto, bo fortunne przynoszę wam wieści.

Mammea.

Ah! jakże długo milczałeś! jakich smutnych przeżyć nabawiłeś mnie! — chwała nieśmiertelnym bogom, że się nie ziściły.

Ulpianus.

Nie odpisywałem z Antiochii, bo lękałem się żeby kto moich listów nie przejął. — Im dzieło bliższe celu, tem ciszej pielęgnować je trzeba, a nasze już wkrótce pono dojdzie upragnionego końca!

Mammea.

Mów, mów.

Ulpianus (obzierając się.)

Czy te ściany głuche i nieme?

Aleksander.

Nuż śmiało patrz — ja głośno wołam, że pod tem jarzmem krótkie życie mi już obmierzło. — Wczoraj jeszcze karzeł Imperatora, ten garbaty Roboam, przyniósł mi kosz pełen zatrutych owoców, który odechnąłem nogą!

Ulpianus.

Nie unosi się Aleksyanie, — jeszcze cierpliwość niech panuje w tobie — skromność niech ci z oczu wyziera lękliwie i wrogi twoje niech cię nazwą dzieckiem.

Pokojem myśli i powagą ciała dzieją się wielkie czyny. — Cóżby z tego wynikło, gdybym był wpadł do Antiochii, do Laodycei, do Efezu, do Smirny i zaczął wołać o pomstę, świadcząc się bogami, że Heliogabal tronu i życia nie godzien? — byłem ja tam wszędzie ale milczącem okiem obejrzałem naprzód tłumy ludu i kohorty legionów. Każdego skargi wysłuchiłem na pozór obojętnem uchem, a dopiero kiedy się przekonałem, że dojrzewa ziarno nienawiści, że wszyscy równie pragną zmiany, rzekłem w sobie: — Czas nadszedł. — Iskra rzucona, pożar w całej Azji wznieci — i z try-

bunami, z kwestorami, z pretorami tu i owdzie rozmawiając, tu i owdzie zawierając ugody, tym ukazałem zyski, innym wyższe urzędy, każdemu z twojego wyniesienia poczyniłem cel i nadzieję zgodną z jego własnymi chęciami. — W tem nadeszła wiadomość, że cię brat mianował Konsulem Cezarem — przeczuwając że w tej łasce czarny podstęp ukryty, natychmiast przybiegłem do Rzymu w imieniu legionów przynosząc ci obietnicę świetniejszego losu. — Dozwól tylko czasowi jeszcze nieco upłynąć, a uderzy o brzeg naszego zbawienia!

Aleksander.

Czemuż odkładać do jutra?

Ulpianus.

Bo w Rzymie Imperator otoczony ludem, który go za Naumachię kocha i pretorianami, którzy czczą w nim rozrzutność Boga. — Wiem ja wprawdzie, że lud kocha Cezara dopóki go nie zamorduje — wiem także, że pretorianie obozujący za miastem oddawna sprzyjają naszym zamiarom.

Aleksander.

Trybun Arystommachus kazał mi oznajmić dzisiaj jeszcze, że w każdej chwili gotów odważyć życie za mnie i Mammeę.

Ulpianus.

Arystommachus jedyny w godzinie wybuchu — ale przedtem niechaj milczy jeśli może, bo tę jedyną tylko przysługę nam wyświadczyć zdoła. — Są tam inni rozważniejsi i sprawniejsi od niego. A straży pałacowej, a żołnierzy rozsypanych w mieście czyż że nic nie liczysz? czyż nie wiesz, że codzień kąpią się w łaskach Cezara? — Alexyanie, i wschód cały jeszcze nie do nas należy. — Syryjczycy nie zapomnieli, że znali Heliogabala dzieckiem w Emezie — później Arcykapłanem w świątyni słońca. — Zresztą pamiętaj,

że ten który włada, samem imieniem władcy stoi długo jeszcze, choć podpory jego mocy spruchniały — u ludzi marne słowo jest także potęgą!

Mammea.

Nie zaprzeczam prawdy słów twoich, ale spiesz się o ile możesz, bo stoimy nad grobem, otoczeni naslannikami jego szaleństwa i złości — w każdej chwili na tych licach roztoczyć się mogą znaki trucizny — i biedne to dziecię moje, chwała moja, przyszłość moja przyjdzie głowę pochylić i skonać na łonie matki!

Ulpianus.

Dziś jeszcze będę w namiocie Arystommacha i u Lucjusza Tubero.

(Zbliża się do Aleksandra).

Następco Augusta, nie lękaj się by parka dni twoje przecięła nim dostąpisz władzy nad ludźmi — nie — bogi zmiłują się nad tem miastem znękanem — ale kiedy ją osiągniesz, strzeż się jadu ukrytego w tunice Dejaniry — w purpurze Cezarów!

Mammea.

Czyż nie wiesz, że w synu moim ostatnia nadzieja i ostatnia chluba Rzymu? Z myśli Platona, z słów Chrystusa uczyłam go miłości ludzi — on znieważonym i uciśnionym poda rękę brata!

Ulpianus.

Ale niech wie zarazem, że niesfornych wygubić trzeba. — Po wszystkich targach Azyi widziałem rzymskich rycerzy pobratanych z wyzwolencami. Tam w krzesłach kurulnych rządzą światem, łokieć i szalę trzymając w dłoniach — stamtąd rozsyłają gońców z udanemi wieści, by się ceny wznosiły lub zniżały — tam konfiskują dobra a odwołujących się do senatu wtrącają w czarne lochy, lub przybijają do krzyża — widziałem — i w zgrozie odwróciłem oczy!

Aleksander.

Potomki wielkich konsulów i dyktatorów!

Ulpianus.

Ich okrucieństwa dziś nam wiernie posłużą. — Po nich jak po szczeblach ja cię do tronu powiodę — ale kiedy na nim zasądzisz, niech te wschody runą w otchłań nogą twoją zrzucone — a na to trza więcej niż nauk Chrystusa!

Aleksander.

Znam trudy, które mi się dostały w udziale — nocy schodzą mi na rozpamiętywaniu czynów Dackiego Trajana — albo mu wyrównam, albo zginę młody!

Ulpianus.

Aleksyanie, wspomnij także na Rzeczpospolitą i tam przypatrz się mężom, którzy w togach chadzali. — Ach! cóż nam zostało z ich świętych przykładów — gdzie lud rzymski, którego prawa brzmią mi dźwięczniej niż pieśni Homera, niż marzenia Platona? Kto dziś obaczy w tem mieście twarz bez skazy, kto usłyszy śmiech szczerego wesela? Wszystkie czoła przyprószone siwizną bez czynów — marną starością strachu lub znudzenia! Wróżbiarze, sofisty, śpiewacy, tancerki zalegają Forum — i wieki już przeszły od dnia w którym Juliusz pchnął konia w bród Rabikonu. Wstecz nie podobna się wrócić. — Za dni Kassiusza już za późno było — bogów tylko o Pana prosimy w którego prawicy odmłodnieje państwo, choćby miasto różeczki oliwnej zabłysnąć w niej miało żelazo liktorów.

Mammaea.

Znałam na wschodzie ludzi posępnych i świętych — oni mówili, że nadchodzą czasy i lepsze i nowe, że po tylu nędzach zjawi się Cezar, który uzna ich Boga!

Ulpianus.

Nazareńczycy! — Augusto, strawiłem życie na myśleniu o rzeczach boskich i ludzkich i nie dbam o te krety nurtujące starą ziemię naszą!

Mammea.

Z ślepego przesądu nie otrząśles się jeszcze.

Ulpianus.

Jowiszu kapitolijski nie słuchaj jej słów bezbożnych. — Jam stary Rzymianin. — Jam wyrósł wśród pamiątek wolności i chwały, choć ich za dni życia mego już nie było na ziemi. — Państwo chylące się do upadku wydało tych mdłych gorszycieli, ale za sprawą jego musi nastąpić ich zguba!

(Chwytając Aleksandra za rękę.)

Tem tylko czem wzrosło, odbudujesz miasto — nieugiętem męstwem i tajemniczymi obrzędami nadzriadów. — Wszystko inne niech przepada, cudze bogi i ludzie cudzy!

Aleksander.

Matka moja poważa chrześcian, bo w ich przepisach ukryte są skarby stałości i cnoty — patrz, Domicyanie, na oczy jej zroszone łzami — ona lubi chrześcian, bo oni mi sprzyjają.

Ulpianus.

Użyj ich więc za narzędzie, które skruszysz potem. — To moje ostatnie słowo o nich.

(Słychać muzykę.)

Flety Syryjskie! — Może Arcykapłan Mitry przychodzi odwiedzić kochanego brata.

Mammea.

Nie. — On codzień o tej samej porze schodzi do ogrodów Palatynu z kochanką.

Ulpianus.

Słyszałem o tej Greczynce wiele zawiłych powieści na wschodzie — przybyli z Rzymu twierdzili, że brat długo się przypodchlebiał, a potem niecnie ją sprzedał Cezarowi.

Mammea.

I wierzyłeś temu?

Ulpianus.

Włosy moje siwe oddawna przestały dziwić się podłości, choć jej może czarne dotąd nie pojmują.

Mammea.

Ale pamiętasz Amfilocha od kiedy przyплыł za dni jeszcze wielkiego Septyma na Italskie brzegi — widziałeś zawsze godność niezrównaną w postawie i słowach jego — czy na dworze, czy w własnym pałacu, on zawsze wyglądał gdyby drugi Cezar w Rzymie!

Ulpianus.

Prawda — ale pamiętka jego wyniosłości mało tu znaczy, bo najczęściej syny wielkich ojców czołgają się poziomo w hańbie znikczemnienia. — Niech mi lud i senat rzymski odpowiedzą!

Aleksander.

I moje też słowo nie stanie na świadectwo przeciwko Grekowi — choć nigdy nieznac młodzieńczej otwartości na jego bladych rysach, jednak coś szlachetnego żyje w całej postaci — nie wiem co drzemie w głębi tego serca — wiem tylko, że tam ni strachu ni uniżenia nie masz!

Ulpianus.

Jakże więc wytłumaczyć to co się stało?

Aleksander.

Ślepem zrządzeniem nieubłaganej konieczności — kilka razy Imperator spotkał Irydiona idącego z El-

sinoą. — Kilka razy od cyrku Flawiana razem przybyły ich rydwany. — Sam wtedy widziałem jak zaraz bratu mojemu nabrzmiały żyły po skroniach i jak złote lejce, któremi lwów swoich kierował, z dłoni wypuścił. — I, przez niebieską Venus! wszyscy, którzy tam stali, pożerali ją także wzrokiem, bo piękniejszej nie widzieli nigdy!

Ulpianus.

Dawniej, kiedy u ojca bywałem, ona jeszcze greckim obyczajem zamknięta w Gineceum niczyjemu oku widzialną nie była.

Aleksander.

Powiadam ci, że w całym Rzymie takiej drugiej nie znaleźć! — Byłem w sali Narcysa, kiedy Heliogabal czekał na nią pierwszej nocy porwania — oparty o mnie zgrzytał i szczypał mi ramię, bo wtedy jeszcze dość łaskaw był na mnie. — Ja drżałem z oburzenia i litości, zdawało mi się czasem, że słyszę odgłosy walki; wtedy wbiega prefekt pretorium, wiesz, nadworny błazen Eutychan, i do ucha szepnie panu swemu: — Idzie jasnowłosa. — Weszły karły i karlice, czarni rzezańce i lidyjscy fletniarze. — Idzie jasnowłosa — powtórzył Imperator i skoczył, ale natomiast wstąpił do sali orszak Gladiatorów w ciemnych tunikach — wszyscy nieznanymi na dworze. Brat mój opuściwszy głowę ugryzł mnie ze strachu, lecz Eutychan z grubym śmiechem oświadczył, że syn Amfilocha tych ludzi darował siostrze i Cezarowi. — Za ich rozstępującymi się rzędami ukazała się dopiero Elsinoe!

Ulpianus.

Na pół zemdlona, niesiona na ręku służebnic?

Aleksander.

Nie — owszem stanęła pośrodku sali i żadnego znaku bojaźni, hołdu, poszanowania nam nie złożyła.

— Z razu miała schyloną głowę, ale wnet podniosła kibić i czoło, wnet spojrziała ognistemi oczyma gdyby pani nas wszystkich. — Cezar zawołał ją bliżej, — ani postąpić, ani odpowiedzieć raczyła — wtedy skinął na nas i wyszliśmy wszyscy!

Ulpianus.

Stara krew Helleńska, w której coś boskiego zostało. — A brat czy bywa u dworu, czy widuje siostrę?

Mammea.

Słysząc, że raz odwiedził Cezara i że długo z nim bawił — zwykle zaś stroni od ludzi, siedzi w pałacu swoim otoczony niewolnikami i barbarzyńcami, którym dobrodziejstwa sypie.

Ulpianus.

I ojciec niegdyś to samo zwykł był czynić.

Mammea.

Rozkosz go nie wabi, zbytek nie ludzi — a choć widno, że myśl zacięta go dręczy, umie panować nad sobą i milczeć.

Ulpianus.

A gdyby ta myśl była żądza zemsty za krzywdę siostry? — trzeba ufność jego pozyskać, zrazu błędne wskazywać mu cele — wreszcie prawdę z zasłon obnażyć. — Niechaj duma i skarby jego staną się naszymi sługi! Lecz teraz mówcie skąd poszło, że potwór tak zokrutniał osiągnąwszy czego pragnął? — ta niewiasta wpływ na nim wywarła niepojęty dla mnie!

Aleksander.

Eutylian głosi, że ona dotąd nie uległa jemu — a od chwili porwania zamknął się w perystylu Agrypiny i odtąd ustały biesiady pałacowe.

Ulpianus.

Tajemnica nie długo trwać będzie — on ją zamorduje, by spalić na stosie z arabskich kadzideł, a na

wystawienie jego wydrze pierwszemu lepszemu życie i dobra, oskarżywszy go wprzód o zbrodnię zelżonego majestatu. — Lecz przed tem sam może...

Mammea.

Nie, Domicyanie, nie chcę by zginął śmiercią poprzedników — panowanie mądrości i dobrego nie zacznie się mordem syna siostry mojej — powtarzam ci, że nadchodzą czasy miłosierdzia. — Ty go usuniesz od tronu i każesz zanieść jak śpiące dziecię na ziemię wygnania!

Ulpianus.

Na to by trzeba Nazareńczyka. — Niedaleko od tych miejsc Brutus zamordował ojca swego — a ta lekka dusza nie miałyby pójść kędy poszły stroskane, wielkie cienie pierwszego z Cezarów!

Mammea.

Biada mi!

Niewolnik (wchodząc.)

Irydion, syn Amfilocha przyszedł powitać Sewera Cezara konsula i szlachetną matkę jego!

Ulpianus.

Zdarzyło się w porę.

(Irydion wchodzi.)

Mammea.

Czyż zawsze z posępnem czołem, — czyż boska Sofija nie zdoła pogodniejszym oświecić je promieniem?

Irydion.

Niech ci Rzymianin co zginął pod Filippami odpowie, Augusto, ile mu owa boska przyniosła otuchy. Zresztą nie poczuwam się do wyrazu lic moich. — Duch mój wewnątrz spokojny i zimny, niczego nie żałuje, niczego nie pragnie i niczego się nie spodziewa. — Jakże zdrowie twoje, Cezarze? czy bogi mo-
dłom twoim sprzyjają w tych czasach.

Aleksander.

Dziś właśnie spełniły się życzenia moje. — Najmilszy mój Domicianus przybył z Antiochii.

Irydion.

Witam cię, mężu konsularny. — Jeśli dobrze zapamiętam, uczęszczałeś niegdyś w progi ojca mego.

Ulpianus.

Mowy Amfilocha brzmią dotąd w uszach moich. — Żyjeż starzec, który często siadywał przy jego ognisku?

Irydion.

Masynissa?

Ulpianus.

Podobne imię. — Ojciec twój zapoznał się z nim na syrtach Getulów, jak sam opowiadał, wśród dnia skwarne go zblakany pogonią za tygrysami.

Irydion.

On dotąd, jak za dni ojca mego, siadywa przy ognisku naszym.

Ulpianus.

Pytam się o niego, bo nieraz mnie zastanowił myślą dziwną i gorzkim słowem; raz utrzymywał, że Tyberius był największem z Cezarów!

Aleksander.

Jakto, przez bogi Many Antonina.

Ulpianus.

Dowody jego wyszły mi już z pamięci, to jedno przypominam sobie, iż tak sztucznie władał niemi, iż tak dzikie pomysły rozwijał o przeznaczeniu ludzi, żem milczał w przerażeniu!

Mammea.

Nie życzę sobie widzieć tak okropnego mówcy!

Ulpianus.

Lecz kiedy czarowne wpływy jego rozumu odeszły odemnie, uspokoiłem się jak człowiek co wytrzeźwia się z pijaństwa i własne odzyskuje myśli — bo jakżeż nie przeklinać tych co miasto sprawiedliwości ucisk ludziorozdając, obywateli za to, że nie zwierzęta, posyłają pod różgi i topory liktorów? Nieprawdaż, synu Amfilocha?

Irydion.

Tak lub nie — ile dusz, tyle serc i sądów!

Mammea (do Aleksandra.)

Na twarzy niewzruszonej uważaj tę wargę spaloną, to oko w płomieniach!

Aleksander.

Matko, ja chcę mu dobre, szczere słowo powiedzieć!

Mammea.

Czekaj jeszcze!

Ulpianus.

Jednak sam nie więzisz ni katujesz niewolników, choć masz słuszne prawo śmierci nad nimi; nie odpychasz ubogich Swewów, Daków, Markomanów zebrzących w mieście. — Tak wieść głosi o tobie!

Irydion.

Matka moja babarzynką była!

Ulpianus.

A syn jej chce wmówić we mnie, że jest Epikurejczykiem!

Irydion.

Przez Zeusa Olimpijskiego stoikom nie udaje się teraz.

Mammea.

Ja może lepszych kolei nie obaczę nigdy — ale on, ale ty Irydionie, wstępujecie w złotą bramę życia - .

młodość jeszcze jak sen nad wami ulatuje i radzi wam, byście ufali słodszyemu przecuciom — ani tobie, ani jemu jeszcze rozpaczać nie wolno!

Aleksander.

Daj rękę, synu Amfilocha. — Nieszczęście jak miłość wiąże ludzi z sobą — bądźmy przyjaciółmi, a może kiedyś razem będziemy się cieszyć!

Irydion.

Dzięki wam szlachetni Rzymianie! znać was nadewszystkich ukochały bogi, kiedy wam zostawiły nadzieję. Lecz wcześniej czy później na was i na mnie przyjdzie koniec jeden — śmierć i zapomnienie!

Ulpianus (do Mammei.)

Albo sztuką Danaów nas zwodzi, albo go Jowisz odlał z kruchego metalu.

(Głośno.)

A gdyby złudzenie prawdą się stało — gdyby cień, który miasto zalega ustąpił jak chmura przed pomyślnym wiatrem, a światło cnoty samo jedno zostało, cóżbyś uczynił?

Irydion.

Uczciłbym nieśmiertelnych ofiarą i dziękczynieniem.

Ulpianus.

A dla przyspieszenia dnia takiego nicbyś nie przedsięwziął? — Czy rozumiesz mnie? gramy w przypuszczenia jak inni w koście — rozmawiamy o niepodobieństwach, by prędzej uleciał czas, który nam cięży!

Irydion.

Rozumiem cię lepiej niż ty mnie pojmujesz.

Ulpianus.

A więc?

Irydion.

Przez Odyna, powiedz takiemu dniowi by zawołał na mnie, a ja mu odpowiem!

Ulpianus.

Pamiętaj!

Aleksander.

Pamiętaj!

Irydion.

Nie zapomnę tej chwili, Rzymianie! Zobaczymy się, mężu kensularny!

Ulpianus.

Gdzie idziesz?

Irydion.

Czeka na mnie grono przyjaciół u stóp Awentynu i zastawiona biesiada, i nowe jakieś pieśni sylkulskiego poety. — Idę ich słuchać by prędzej uleciał czas, który nam ciąży!

Ulpianus.

Młodzieńcze, idziesz ducha własnego zapomnieć na łonie rozputy.

Irydion.

Lucius Mummius nic nam nie zostawił prócz rozkoszy i śmierci. — Długiego życia Aleksandrowi i Auguście Mammei.

(Wychodzi.)

Ulpianus (patrząc za wychodzącym.)

Z tego wosku kto wie czy będzie nam można stronnika ulepić.

Inna część pałacu Cezarów. — Podłużne Atrium z sadzawką pośrodku. — Mozaiki, freski wystawujące Faunów, Satyrów, Nimfy. — Na słupach jaspisowych kamienne żółwie, skorpiony, krokodyle. — Wzdłuż ścian posągi Wenery i Bachusa. — Tę i owdzie grona dworzan, — pretorianów, — tanecznic, — muzykantów, — karłów. —

EUTYCHIAN, prefekt pretorium. — RUPILIUS. — EUBULLUS,
jego parasyty.

Eutychian.

Evoe Bachche! dla tego nic mi nie będzie, bo cóż zdoła Cezara oderwać odemnie — jednak takich gości wcale mi nie potrzeba na dworze — i dzisiaj Imperator chce go widzieć — i dzisiaj kazał mi tu czekać na niego.

Rupilius.

Pół-bogom podobny Eutychianie.

Eutychian.

Mów pół-boski. — Imperator jest całym bogiem — ja zaś po Imperatorze pierwszy.

Rupilius.

A więc pół-boski Eutychianie, pozabawmygo wierzchniego światła. Niechaj *dulces moriens reminiscitur Argos!*

Eutychian.

Evoe — tylko mi nie przywódź wierszy Marona. — Nasi starzy za Augusta nie pojmwali sztuki.

(Zamyśla się.)

Rupilius.

Nie mieli wyobrażenia o sztuce.

Eubullus.

Nic zgoła się nie domyślali co to poezya!

Rupilius.

Bez żadnej wyobraźni.

Eubullus.

Mniej jak bez żadnej.

Eutylian.

Zgoda, trza usłać mu drogę do cieniów. — Tymczasem posłuchajcie tej pieśni. — Boski ja Neron dla swoich karłów napisał!

Rupilius.

Oto był zaszczyt muzyki i rytmu.

Eubullus.

Prawdziwy brat sióstr dziewięciu.

Chór karłów.

Stoim z ubocza, a na szczycie wieży pan nasz stroi lirę swoją — u stóp jego wśród nocy czarnej i mglistej pali się miasto bogów!

On wzniecił te ognie — on chciał widzieć jak Troja gorzała przed laty — on żyć nie mógł jak żyją śmiertelni, płomieniami się więc otoczył i stał się panem dramatu z ognia!

Dźwiękami jego nęczone ze wzgórza na wzgórze coraz bliżej wśród jęków i szumów podskakują ognie. Nad miastem co przepada, inny Rzym rośnie w powietrzu. — On dziko świetnieje w piramidach z iskier i słupach syczących płomieni!

A my klaszczem w dłonie, krzyczymy z radości. — Dzień zniszczenia nadszedł wysokim i pięknym. — Na falach Flegetonu pałace i świątynie nikną — a nam nic nie będzie — nas ocalił mistrz sztuki i dźwięku!

Filozof (zbliżając się do Eutychiana.)

Ty co niejako wszystko możesz i jesteś drugim bogiem w Rzymie, racz dozwolić Anaxagorowi Neoplatonczykowi dwa razy na tydzień głośno czytać i mówić w Termach Karakalli.

Eutylian.

Jakie twoje zasady? — jakich bogów wyznajesz? Czyś trzeźwy czyś pijany, kiedy uczysz ludzi?

Irydion.

Filozof.

Bogiem moim jedność w jedności jednością poczęta, wszystkim niejednościom z konieczności przeciwna, zawarta sama w sobie, wzierająca w siebie samą.

Eutyhian.

Satis est — tą nauką nie przewrócisz państwa.

(Do Rupiliusa.)

Chyba go Tyresias w piekle zrozumie.

Rupilius.

Chyba Cerber z trojaka paszczką.

Eubullus (do Rupiliusa.)

Znamienity Rupiliusie, kazałeś mi wczoraj coś zapisać na tabliczkach.

Rupilius.

Czytaj, mój miły.

Eubullus (czyta.)

„Pojutrze Gladiator Sporus i Tygrys Ernan.“

Rupilius.

O trzy razy szczęśliwe przypomnienie — wielki Eutyhianie!

Eutyhian.

Co?

Rupilius.

Z siebie uczynię ofiarę dla ciebie.

Eutyhian.

Przez Izysa, Anubisa lub jakiegokolwiek Egipskiego bałwana, wdzięczny ci jestem — ale cóż takiego?

Rupilius.

Z Maurytanii sprowadziłem tygrysa centkowanego złotem i hebanem — w nozdrzach gdyby krew świeża ludzka, w ogonie siła dwóch koni. — Mam gladiatora dzielniejszego od wszystkich nadwornych, człowieka

co mi się zaprzedał z głodu, prawdziwego Krotoniatę. — Sprosiłem zatem wszystkich miłych twoich na biesiadę i już założyłem się z Carbonem, o cztery przeciwko jednemu, że Sporus zamęczy Ernana — ale kiedy losy nas zmuszają, trza do innej walki użyć Gladiatora!

Eutychian.

Stój.

(Do pretorianów.)

Zaśpiewajcie waszemu wodzowi — *Evoe!* flety i struny w brzęk!

(Do Rupiliusa.)

Teraz mów dalej.

Chór pretorianów.

Niech żyją koście i wino — sesterce i roze. — Dopóki czara się pieni, dopóki Plutus się uśmiecha, stopy nasze do tańca, ręce gotowe do boju. — Daj nam choćby czarne po syrtach murzynki, choćby śniade po lasach Germanki! Partów i Getów starym obyczajem nie chodzimy ścigać. — Ojce nasze leżą w grobie, z nimi nużące pochody. — Tu na łożach, tu czoło ustroiwszy bluszczem, tu w Rzymie czekamy na wrogów — niech nadejdą — wtedy z objęć czarnowłosych, wśród dźwięku szklanic, porwiemy się do tarczy i odporu — do miecza i rzezi! Teraz *Evoe!* niech żyją koście i wino, sesterce i róże!

Eutychian.

Choćby się nie udało, to krzywoprzysięsz?

Rupilius.

Świadcząc się wszystkimi bogi Chaldei i Syryi.

Eutychian.

Jacta est alea — dziś jeszcze.

Rupilius.

Otóż i nasz Grek bladawy.

(Irydion wchodzi i idzie ku Eutychianowi.)

Irydion.

Eutychian.

Aż dreszcz po mnie przeszedł — w oczach jego coś piekielnego — mówią, że jego ojciec był czarno-księżnikiem.

(Opiera się na Rupiliuszu.)

Rupilius (usuwając się.)

Pół-bogom nie wolno się lękać.

Irydion.

Stawiam się na godzinę naznaczoną — Euty-
chianie, prowadź mnie gdzie przykazano tobie!

Eutychian.

Tak — zaraz znamienity Greku.

(Do Rupiliusa.)

Jaki człowiek, jaka duma. — *Vae capiti ejus!**Rupilius* (do Eutychiana.)

Zdrój Lethe wyleczy go z pychy.

Irydion.

Na dworze Cezara wy wszyscy czas tracić lu-
bicie. — Idźmy!

Eutychian.

Tędy, szlachetny Irydionie.

(Wychodzą.)

(Inna część pałacu Cezarów. — Szczyt wieży otoczony kolumnadą.)

HELIOGABAL, ELSINOE.

Elsinoe (wchodząc.)

Powierzam cię bogom i sile jego!

Heliogabal.

Ty okrutna!

(Irydion wchodzi, Elsinoe zatrzymuje się.)

Elsinoe.

Księżyc wschodzi — wrą ogień i kipi trucizna!

(Znika.)

Heliogabal.

O ratuj mnie — lub jeśli nie możesz ocalić, nie zwodź, nie udawaj, wyznaj od razu, a ja ciało moje białe przebiję tą złotą klingą.

(Zdejmuje puginą z filaru.)

Czy widziałeś kiedy takie szmaragdy?

Irydion.

Skąd boskiemu Cezarowi przyszło dzisiaj myśleć o zawczesnym zgonie?

Heliogabal.

Cyt, przyjacielu! — mylisz się, jeśli sądzisz, że Cezar nie zdoła się zabić — a z tego puharu jeśli wypiję Elizejskie pola.

(Bierze czarę z trójnoga.)

Stu nurków przepadło w morzu nim jeden tę perłę wy dostał — niezrównana!

Irydion.

Z tej czary pić będziem zdrowie słońca, ale poć innym niebem, wśród innych ludzi.

Heliogabal.

Spojrzyj mi w oczy. — Czy ty nie kłamiesz? ach! odwróć oczy. — Bogi w nich szczerym ogniem zapisały, że matka twoja czarownicą była. Przystąp bliżej filarów — trzymaj się kraty — mów co widzisz w dole.

Irydion.

W głębi dziedziniec iskrzy się od drogich kamieni, gdyby jasnolite dno czarnej przepaści!

Heliogabal.

Sam, sam wybierałem topazy, beryle i ostre kanty chrysolitów i krwawe onyxy. — Dzień jeden i noc całą.

brukowali ten podwórzec, a ja nie zasnąłem, nie odszedłem aż skończyli — wtedy ich wszystkich stracić kazałem!

Irydion.

Kogo?

Heliogabal.

Podłe niewolniki! — Co się pytasz o nich? Oni poprzedzili pana swojego. — Czyż w Rzymie kto powinien wiedzieć, że się Cezar do śmierci gotuje! — było ich stu tylko i chłopiąt dwoje. — Ach! ja nie oddam w ręce ludu śnieżnych członków moich — ja tu głowę moją świętą rozbiję — niech po dyamentach krew moja spływa do Erebu.

Irydion.

Cóż grozi tak nieodzownie?

Heliogabal.

Alexyan — przebrzydłe imię. — Alexyan! oby zginął przed czasem. — Alexyan! potrójnej Hekacie głowę jego poświęcam — on, on, Alexyan czarne waży myśli i gotuje zdradę.

Irydion.

Opatrzne oko moje wyteżone nad nim i nad matką jego.

Heliogabal.

Nie przerywaj mi — nie broń go jeśli miłe ci powietrze, którem oddychasz — słuchaj — na to byś słuchał, przyjść ci kazałem. — Szpiegi mi donieśli, że z Ulpianem się naradza, że od kilku dni bledszym się wydaje, że w zadumaniu to odwija, to przygłaszcza pukle — a ten Ulpianus, co przyleciał z Antiochii, ha! czy wiesz co on zamysła?

Irydion.

Słyszałem często o nim jako o zawołanym prawniku.

Heliogabal.

Ty go chwalisz — o bogi nieśmiertelne! — a ja ci mówię, że bez tego człowieka od lat trzydziestu żaden spisek się nie obszedł. — Domicianus Ulpianus. — Słodki na pozór w mowie, ale słoik nieubłagany, zawsze gotów zabić panującego, lub jeśli się nie uda, samego siebie — istny spisek chodzący, jedzący, pijący — żywe przekleństwo dla jakiegokolwiek rządu — miecz Damoklesa nad głową moją — i ty mi go chwalić będziesz! — prawnik zawołany! — *Proch! Jupiter!* nie tylko jego, jabym samo prawo zamordował — mówże co robić?

Irydion.

Nie rozpaczać kiedy jeszcze cicho i spokojnie, a jeśli przyjdzie do niebezpieczeństwa, na mnie polegac!

Heliogabal.

A jeśli już odzywają się wróżby mojego pogrzebu? — jeśli przeciw bogom siostry twojej inne silniejsze się podnoszą?

(List rozwija.)

Patrz. — Symmach Niger opisuje mi straszne znaki, co się objawiły nad Dunajem — o wschodzącem słońcu, otoczone świętym orszakiem Bachusa, wśród głów bluszczem umajonych, wśród rąk potrzęsających Tyrsami, widmo Aleksandra Macedońskiego stanęło na szerokiem błoni. — Zbroja lśniła się na piersiach jego ta sama, którą nosił, kiedy zmiotłszy Daryusza szedł podbijać Indye. — Hełm złoty gorzał na pochylonej głowie. — Za nim stąpali wodzowie polegli od dawna. — Ludy Moesii i Tracyi były przechodzącym głębokie pokłony i cisnąc się za nimi doszły aż do brzegów morza. — Tam w powietrzu rozwiały się umarłych cienie!

(Opiera się o kolumnę.)

Podaj mi Falernu.

(Bierze puhar)

Tak Alexander Sewerus z rąk Macedończyka weźmie państwo i życie moje! *Dii, avertite omen!*

Irydion.

Alboż wyszło ci z pamięci, że syn wielkiego Septimiusza niegdyś ukochał matkę twoją? Alboż zapomniałeś że dusza Macedończyka żyła w boskich piersiach jego? a teraz kiedy bohater, co był opiekuńczym duchem ojca twego, z grobu powstaje, by chwałę ci zwiastować, ty bledniejesz i potrzeba ci wina — pociech — ręki przyjaciela byś nie zemdłał i na ziemię nie runął. — Hańba ci, synu Karakalli.

Heliogabal.

Nic — nie — on Alexandrowi, on wschodzącemu słońcu się uśmiechał blademi ustami — mnie twarz każda, głos każdego, lud, synat, pretorianie, Rzym cały, śmiercią grozi. — Ja czuję, że mnie razem, zgodnie krok za krokiem odrywacie od słodkiej matki ziemi, i wszyscy, ilu was jest, wleciecie do piekła!

Irydion.

Bądź lepszych myśli. — Czyż w odwiecznej walce między człowiekiem a miastem, człowiek nigdy wygrać nie zdoła?

Heliogabal.

Co mówisz!

Irydion.

O losach waszych! Zginęliście jedni od miecza, drudzy od trucizny, inni z rąk własnych, wszyscy wśród hańby i przerażenia, zdradzeni przez powierników — przekłęci od nieprzyjaciół. — Dlaczegoż jednym trybem zawsze dźać się mają sprawy ludzkie? Rzym dotychczas knuł spiski, mordował Cezarów — niech Cezar stanie się spiskowym, niech Cezar udcrzy na wroga.

Heliogabal.

Kto? jak? widzę potęgę na czole twojem, ale jej nie pojmuję!

Irydion.

Czyż te pałace, świątynie, cyrki, czyż ten zamek trzy razy spalony z starym Bogiem swoim nigdy upaść nie mają? Czy nie słyszałeś o miastach wschodu piękniejszych i ogromniejszych, co niegdyś były cudem dla ludzi, pieszczotą dla bogów? a dziś tumany piasku przechadzają się po nich i na zwalonych arkadach samotne skowyczą hyeny? Czyż Hyerozolyma z rojami wściekłych obrońców oparła się wszystko niszczącym losom? a jednak miała Boga samotnego i silnego jak Fatum! Idź i zapytaj się pustyni z czego powstały! — A te wzgórza osadzone marmurami i granitem, czyż to nieśmiertelne bogi? Patrz na nie i zrozumiej słowa moje. — Oto prawdziwy Aleksyan, oto wróg twój mściwy, rozciągnięty u nóg twoich, ale nadymający się dniem i nocą by obalić ciebie. — Jeśli go nie ubieżyysz, biada ci, nieszczęśliwe dziecię, w ramionach olbrzyma.

(Chwyta go za rękę.)

Wznieć silną wolę w sobie — ten świat, który ci wskazuję, wyzwij do boju! Stań się! czem kilku było na ziemi: Niszczycielem — a te gmachy pijane życiem tysięcy, te wille rozigrane w promieniach słońca, te trofea, te wszystkie pamiątki i rozkosze ludzi, oddany w puściznie po ludziach skorpionom i węzom!

Heliogabal.

Teraz przejrzałem! Nie raz to samo czułem, pragnąłem. — Ha! jaka chwała dla Mitry, kiedy Jowisz kapitoliniński piasek gryźć będzie — ale czyje ramię podejmie się czynu? kto powstanie na święty zamek i na wieczne miasto?

Irydion.

Irydion.

Syn kapłanki i Amfilocha greka.

Heliogabal.

Czy myślisz, że jaki żołnierz pójdzie za tobą lub za mną w tak ostatecznej chwili? a senatory, a rycerze, a lud wreszcie cały! Bójsię nieśmiertelnych — co tobie się stało, co ty zamýślasz, Irydionie!

Irydion.

Z natchnienia bogów Cezara ocalić.

Heliogabal.

Strach mnie ogarnia. — Geniusz miasta zwyciężył wszystkich — jażbym się miał targnąć na niego!

Irydion.

Żyj więc w trwodze dopóki nie skonasz w mękach.

Heliogabal.

Dopełnij zlecenia bogów, potężny śmiertelniku — purpurą cię obłoczę — zdejmę sandały z nóg własnych i do twoich je przywiążę, jedno bądź mi ku pomocy, nie opuszczaj mnie, wybaw mnie od śmierci!

Irydion.

Zbawić cię tylko mogę rozpędzeniem senatu, wycięciem Pretorianów i przeniesieniem stolicy!

Heliogabal.

Senat rozegnać, to jeszcze potrafić — ale reszty dokonać?

Irydion.

Dawniej Katylinie, późniejszymi laty Neronowi, nie brakło na pożanikach. — Łatwiej rozrzucić w perzynę to co żyje dzisiaj, niż zbudować w głązy to, co ma żyć jutro. — Zresztą ci co się zostaną na zgłiszczach zwać się jeszcze będą Rzymianami. -- Długo jeszcze kilka pałaców rozpadłych na chaty, zwać się

będą Rzymem. — Zostawić zgrzybiałym dzieciom to imię drogie — ale siły żywotnej, ale siły pochłaniającej już nie będzie w tych miejscach. — Cezarze, w dni wielkiego morderstwa ja sam ludzi ci dostawię i stanę przy boku twoim!

Heliogabal.

Skąd — jakich — gdzie oni?

Irydion.

Nie tobie jednemu Rzym wszystkie dni życia powlókł śmiertelnymi ciemnościami. — A niewolnicy, a gladiatorowie, a barbarzyńcy, a wyznawcy proroka naza-reńskiego? Ty na czele, oni w ostatnich szeregach, ale ich i ciebie zarówno geniusz Romy przeznaczył boleśnemu życiu i haniebną śmierć! Zbijmy więc ich nędzę w jeden podrzut zemsty, na jedną chwilę tylko — a panowie amfiteatru, a żołnierze pretorium, nie dotrzymują kroku tyłu zgłodniałym, namiętym i wściekłym!

Heliogabal.

Dobrze — dobrze — a potem czyż oni nas samych nie pożrą — gdzie się podzieć wśród takiego zgiełku? Kto skróci ich zuchwałość, czem pragnienie krwi zgasimy w ich piersiach.

Irydion.

W pierwszych dniach zemsta i chciwość upiją się krwią i złotem wśród pożaru miasta. Następnie ich ramiona i chęci związane tylko wspólną nienawiścią Rzymu, rozprzegną się i każdy wróci do przesądów wiary swojej, lub do zwyczajów swojego narodu — Wtedy już rozdzielonych i osłabłych na wschód pociągniem za sobą, obietnicami lepszej jeszcze rozkoszy. — Tam wymrą od skwarów nieznośnego słońca, wymrą od zbytków na które się rozpaszą obyczajem zwycięzców i dzikich — a reszta rozplynie się i wyschnie wśród ludów, które cię kochają i Boga twego

wyznają. — Naprzód więc bez trwogi, ale w milczeniu śmierci — inaczej nigdy nie dorwiemy się życia!

Heliogabal.

Io triumphe! Tyś z Prometeuszem razem chodził po ogień do niebieskich progów.

(Klaszcze w dłonie.)

O gdybym nową świątynię zbudował w Emezie — o gdybym żyć mógł wśród wieszczbiarzy moich!

Irydion.

Młode państwo założysz na miejscach, w których wzięłeś życie — wolny od bezsennych nocy, razem Arcykapłan i Cezar, podobny starożytnym pół-bogom Nilu, słodkie dni pędzić będziesz wśród dymów aleosu i mirry, wśród tonów cytary i fletu. — Gdzie spojrzysz, tam czołgać się będą niewolniki ciche i stopę wegniesz w ich karki czarne. — Co zażadasz, stanie się twojem — co każesz pamiętać, zapamiętają — wielkie imiona przeszłości zgasną w obliczu twego — a nie będzie już wtedy senatora lub prawnika, coby marząc o Rzeczypospolitej śmiał przedrzeźniać twoją mitrę chaldejską, natrzasać się z obwisłych rękawów wschodniej szaty twojej!

Heliogabal.

Przemierzłe Kwiryty! niby ich stara toga ich fibule, ich tuniki piękniejsze! Mitro, słuchaj mojej przysięgi — obym nigdy do twoich promieni się nie dostał, oby geniusze nocy członki moje rozerwali, jeśli wszystkich bogów Rzymu spętanych w łańcuchy nie rzucę przed twoje ołtarze. — Synu Amfilocha, co radzisz uważam za dobre i pożyteczne — przez Baala i Astarota, zburzymy to miasto — radź dalej tylko!

Irydion.

Każ potajemnie skarby twoje wywieść do Emezy. — Zabawiaj lud igrzyskami, pretorianów hojnemi

datkami, a tymczasem ściągaj do miasta z legii Vin-
delickich zaciężne Goty, z nadreńskich zaciężne Che-
ruski; w miarę jak będą przybywać ja zapoznam się
z nimi — matka nauczyła mnie dzikiej mowy północnych!

Heliogabal.

Zapominasz o włoskich legiach stojących w Efe-
zie, w Tarsus, w Pergamie, w Milecie.

Irydion.

Wyślij gońca do pretora Variusa by je zgroma-
dził i najspieszniejszym pochodem udał się na Partów.
— Zajętych nad Kaspją przykreml utarczki dojdzie
wieść o tem co się stało w Rzymie — wtedy jednych
złowi nieprzyjaciel, drudzy się rozsypią, inni przybie-
gną połączyć się z nami i żyć z łask dworu twojego.

Heliogabal.

Bitne to kohorty — pomyśl jeszcze — może nie-
bezpiecznie?

Irydion.

Nie lękaj się nikogo po zniszczeniu Romy. —
Bezkarne deptać można po ciele, z którego wyleciała
dusza — a my samą duszę państwa, duszę świata wy-
drzem i zabijem!

Heliogabal.

A gdyby nas Aleksyan uprzedził tymczasem? Za-
miejskie pretoriany szemrzą coraz bardziej i piosnki
nucą o jego odwadze. — Ulpian senat przyciągnie. —
Obudzą mnie w nocy, przerzną mi gardło...

Irydion.

Ty wprzódy wyrzeczysz nad nimi „*Salve Eternum.*“
— Tylko Eutylianowi nie zwierzaj się z niczem —
przybierz zimną i spokojną postać — odwiedź Aleksyana
i Mammeę — a kiedy z nimi będziesz rozmawiał, niech
słowa słodkimi, niech spojrzenia twoje spokojnemi

będą. -- Uwierzali czy nie, zawždy to ich wstrzyma na czas jakiś od stanowczego działania.

Heliogabal.

Uśmiechnijcie się bogi! Mitro, rozjaśnij zasępione czoło! Venero, matko lubieżności, połóż się na modrych falach, lejącemi otoczona syny! Bachusie, pij zdrowie Heliogabala! Dajcie róż i Falernu. — Chodź najmilszy z ludzi — rozciągniem się na purpurze, — pić będziem i chwalić bogów za to, że wróg nasz zginie.

(Skacze mu na piersi.)

Ten pocałunek weź od cezara — nieprawdaż — wonne usta moje i gładkie czoło wzorem najśliczniejszej dziewicy? — Chodź. — Ja i Elsinoe panować będziem na Syryjskich wybrzeżach, tam gdzie święte gwiazdy rozmawiają z ludźmi o losach przyszłości.

(Wychodzą.)

Ogród Cezarów na palatyńskim wzgórzu. — Pod posągiem Diany.

ELSINOE I IRYDION.

Elsinoe.

Dalej iść nie sposób, za długo by mi wracać było — lecz ty nie opuszczaj mnie jeszcze.

Irydion.

Spieszno mi także — ostatnia czerwień słonecznych promieni już umiera na szczytach amfiteatru, a nim wrócę do siebie muszę zamiejskich pretorianów odwiedzić.

Elsinoe.

Nie proszę o długie godziny — błagam o jedną chwilę tylko.

(Kładzie głowę na podstawie posągu.)

Spojrzyj na twarz niepokalanej — patrz, obwiała ją tunika zmierzchu — o jabyim mogła była kochać jak ona, kiedy wśród cichej nocy oparta na łuku zło-

tym spuszczała się przez fale błękitu by marzyć nad sennym Endymionem! — a teraz pójdz, zapytaj się ludzi, na co wyszła siostra twoja? „Między Pappęą i Messaliną, odpowiedzą ci, postawiono jej oltarze.“

Irydion.

Kto się poświęcił dla dobra ludzi powinien o ich sądzie zapomnieć. — Czy wiesz kto jest Bogiem Nazarenów? Ten co dla zbawienia braci sam przystał na hańbę Krzyża! — O Elsinoe, i nam podobne dostały się losy!

Elsinoe.

Ty już cudze wiary przejmujesz! szukasz pociechy u tych, którymi pogardzili ludzie! A ty znasz Alexandra, wiesz jak go wychowała Mammea, słyszałeś o nim przepowiednie starców, że zrówna kiedyś boskiemu Aureliuszowi! — wczoraj w przysionku Dejaniry napotkałam jego. — Zatrzymał się i spojrzął — pierwszy wzrok był niepewny, drżący — drugi już mocniejszy, wyrazistszy — wreszcie odwrócił się w milczeniu pogardy.

Irydion.

On i wszyscy żyjący w tem mieście przeznaczeni zgubie.

Elsinoe.

Precz, precz, ja nie żądałam zemsty — odwołaj, odwołaj!

Irydion.

Biedna! uspokój się. — Nieszczęśliwa! jakże ci teraz — w nagłej bladości zdałaś się omdlewać przed chwilą?

Elsinoe.

Lepiej mi, lepiej — daruj — nie do takich żałów powołały mnie bogi — idź — ja wrócę kędy mnie furyc czekają — ja pójdę stopy wikłać z gadem co nieustannie płąsa na około — tam zawczesna starość

w nagrodę upodlenia i męki — tam konwulsya wstrętu — ale cicho, cicho, — ty nie znasz tajemnic dziewiczego łona!

Irydion.

Ach! ty coś niedawno płonęła życiem tak promiennem, nimfo ruchu i piękności, gdzieżeś się podziała? Tę łzę co spływa po twarzy mojej wylałem dla ciebie. — Lecz teraz oddal się — pamiętaj na wyroki Odyna i dotrwaj do końca.

Elsinoe.

O bracie!

Irydion.

Pogardzonemu szarów przysparzaj, doniszczaj rozum jego i życie. — *Vale!*

Elsinoe.

Niechaj cienie Amfilocha i Grimhildy będą naokoło ciebie. — *Vale!*

Sala Amfilocha w nocy. — IRYDION wchodzi z MASYNISSĄ. —
Za nim przełożony niewolników.

Irydion.

Czegoż chciał, Piladzie?

Pilades.

Ani słowa nie przemówił — jedno zasiadł i postanowił czekać na ciebie. — Myśmy zwykłym obyczajem domu twojego dali mu chleba, mięsa i wina.

Irydion.

Niech wejdzie.

(Wychodzi Pilades.)

Masynissa.

Strzeż się tego człowieka.

Irydion.

Irydion.

Czemu?

Masynissa.

Ten człowiek przychodzi cię zabić — masz!

(Miecz mu podaje.)

Jeśli prawdziwe twoje przeczucie, szkoda tej kartagaskiej stali. — Tym puhaem, z którego pijał Amfloch, roztrzaskam mu głowę.

(Wchodzi Gladiator.)

Czego chcesz, niewolniku?

Gladiator.

Przez chwilę być sam na sam z tobą.

Irydion.

To mój powiernik — mów śmiało przed nim.

Gladiator.

Pan rzekł do mnie: „Miasto darcia się z tygrysem, zamorduj Greka a będziesz wolnym.“ Lecz ten, który mnie przysłał, sto razy gorszym jest od ciebie.

(Rzuca sztylet na posadzkę.)

Niechaj przepadnie niewola!

Irydion.

Kto cię przysłał?

Gladiator.

Człowiek nowy, podlec i tchórz, okrutnik i lichwiarz.

Irydion.

Ha! to pewno Rzymianin!

Gladiator.

Zgadłeś — Aetius Rupilius.

Irydion.

Nadworny błazen nadwornego błazna.

(Kładąc puhar.)

Wiedziałem o tem — patrz — czaszka twoja rozpaść się miała na odciski tej rzeźby korynckiej!

Gladiator.

O synu Amflocha, nie przeląknęłam się ciebie. — Roślejszym i dzikszy parłem stopą piersi na piasku Areny — ale głodny byłem — jeść mi dali w pałacu twoim — spragniony byłem — dali mi wina w pałacu twoim — czekając na ciebie słyszałem braci gladiatorów, którzy imię twoje błogosławili. — Teraz bądź zdrów, ja zginę jutro pod kłami tygrysa.

Irydion.

Nie — ty żyć będziesz i zemścisz się niewoli twojej na panach twoich. — Ho! Pilades!

(Pilades wchodzi.)

Sto sesterców wydać temu człowiekowi i tunikę i pierścień żelazny jaki noszą domownicy moi. — Imię twoje?

Gladiator.

Za dni dzisiejszych zowią mnie Sporussem.

Irydion.

W mowie twojej prostej coś dumnego się odzywa. — Ostatek jakiejś przeszłości żyje w tobie jak promień lampy wymykający się ze szpary sarkofagu. — Jeszcze raz pytam się o imię twoje?

Gladiator.

Niegdyś przodków moich na wzór Jowiszów czcił lud i senat rzymski — ale co przeszło, przeszło. — Imię moje: Lucius Tiberius Scipio!

Irydion.

Marzysz niewolniku — ród ten wygasł już od dawna.

Gladiator.

Ale tylko w pamięci ziomków — ostatniemu z naszych, o którym świat wiedział, Nero zabrał żonę,

pałac w Rzymie, imiona w Italii, Sycylii i Afryce — i posłał go na wygnanie do Chersonesu — syn jego po latach wielu wrócił do miasta o zebrany chleb — odtąd jesteśmy nędzarze, a ojciec mój już był gladiatorem!

Irydion.

I nikt was nie poratował w Rzymie?

Gladiator.

Kto miał wspomóc starego Patrycyusza? Czy prawniki naszych liktorów, dziś bogate pany? Czy Imperator, wróg przeszłości, morderca pamiątek? Ojciec mój hakami wywleczony z amfiteatru skonał w spoliarium przeklinając bogów. — O! niech przepadnie miasto, które opuściło wnuki swoich konsulów.

(Podnosi sztylet.)

Jedno słowo tylko, a pójdę Rupiliusa, tego dzisiejszego Rzymianina, zabić!

Irydion.

Śmierć jednego jest szalem dziecka tam gdzie trza śmierci tysięcy. — Zachowaj się na szersze pole, do lepszego dzieła.

Gladiator.

Jeśli dzień taki lub owaki blizki w którym można będzie mścić się i lupić, to ci przywiode Verresa, Kassiusza, Syllę — wszyscy z dawnych jako ja, i wszyscy w nędzy!

Irydion.

Każdy w nich znajdzie schronienie pod temi filary — na teraz dom mój niechaj będzie waszym. *Vale.*

Masynissa.

Idź, żądaj zemsty sercem całym, a losy ci jej nie odmówią.

(Gladiator wychodzi.)

Irydion.

Wygrywam, starcze, wygrywam! Ach! Tryumfatory dawne, coście braci moich spętanych w łańcuchy wiedli obok królów w kajdanach, zburzyciele Kartagi, Koryntu, Syrakuzy, patrzcie! ostatni Scipio stał się sługą i Greka narzędziem — przyszedł żebrać u niego i jadła i mordów! Ach! doczekałem się upadku przeklętych i dumnych. — Masynisso, tym kielichem pij zdrowie Scypionów!

(Nalewa mu i daje).

Masynissa.

Długiego powodzenia rodowi Scypionów!

(Oddaje w ręce Irydiona.)

Irydion (pije i rzuca puhar.)

A jako ten kamień drogi niechaj pryśnie pycha Romy!

Masynissa.

Pochłaniamy stopniami cudze wole i siły — rośniemy Sigurdzie, ale dopóki Nazaret nie nawrócony na naszą wiarę, dopóty nie zdołamy walczyć wstępnym i zwycięskim bojem!

Irydion.

Starzec-bóg, przed którym oni zginają kolana i myśli, ku czarnym sklepieniom długo trzymał wzniesione ramiona, wzywał ducha i wpoił tego ducha w skronie moje rękoma drżącemi, z których sączyła się woda tajemnicy — grono białych, wynędzniałych braci śpiewało powtarzając imię moje nowe: „Hieronym, Hieronym“, a ich głos ciągnął się jak pogrzeb nadpowietrzny, niewidomy — w tej pieśni jednak były słowa nadziei!

Masynissa.

I znamię ich zawiesiłeś na piersiach?

Irydion.

Zawiesilem.

Masynissa.

Przycisnąłeś do ust w pokorze?

Irydion.

Przycisnąłem.

Masynissa.

Dobrze — teraz ich serca się rozdzielią!

Irydion.

Już zaczęły się mieszać — w starych, w tych, którzy odbyli męczeństwo, i niebo jak twierdzą roz-twarte nad sobą widzieli, naprózno chciałem rozniecić iskrę zapału — odpowiadali mi zawsze te same słowa, jak strumień, co zawsze o jedne rozbija się zwiry. — „Przebaczenie — zapomnienie — miłość zabójcom“ — ale młodszy, świeżo namaszczone żołnierze, niewolniki, barbarzyńcy, pielgrzymy, co odwiedzili pustynie Egiptu, coś dzielniejszego czują. Ich wzrok się płomieni na wzmiankę obelg i męczarni. — Ich serca przynajmniej czegoś pragną na świecie. — Zrazu błogosławią złemu co ich gniecie, ale wreszcie, kiedy krew zagra im po żyłach, chcącym niechcącym wyrrywam przeklęstwo.

Masynissa.

Na to, byś wcielił królestwo nie tej ziemi w namiętności ziemi, trza ci niewiasty. — Oni ubóstwili córę dzieciństwa i wczesnej starości; z łupów ciele-snych rozkoszy wydumali parę tajemniczą, oni przed niewolnicą męża schylili czoła. Z tyłu dziewic, które tam więdnęją w modlitwach i postach, jedną wybierz i rzuć im po nad dusze. — Uczyń ją zwierciadłem myśli twoich — niech je odbija i ciska na okół bez pojęcia, bez czucia — ale siłą, co w piersiach męża góruje, porwana i zniszczona!

Irydion.

Irydion.

Znam jedną — wszyscy darzą ją imieniem błogosławionej i świętej przed czasem, a ona lubi mi rozpowiadać niebiosą...

Masynissa.

Tknąłem i odrzękła mi struna -- nieprawdaż, oko jej czarne jak węgiel, błyszczące jak żary — ród Metellów kończy się na niej?

Irydion.

Wiesz — po co się pytasz?

Masynissa.

Pamiętaj chwalić jej Boga, każdą ranę Jego chwalić, z każdym gwoździem co przebił Jego, żalśnie się pieścić. — Ona się kocha w tem ciełe rozkrzyżowanem, w tych rysach, które tobie wymarzyła pięknymi, gasnącemi w zwycięstwie miłości. — Ona ich nie widziała kiedy konały ze wstrętem bólu, w milczeniu osłabienia, zmazane krwią, z wichrem gwiżdżącym wśród włosów! — Słuchaj, przeprowadź jej myśl od niego do siebie — on daleki, on był kiedyś na ziemi, on nie wróci nigdy. — Ty żyjesz i jesteś przy niej. — Ty będziesz jej bogiem! Alma Venus i Eros sprzyjajcie!

Irydion.

Ach! kto zbada tajnie jej bytu, kto schwyci źródła jej życia! — ona żyje ciemnościami w tych puszczach podziemnych, widoma i niepojęta, nacechowana boleścią i z niej wyłudzająca urodę. — Sam Fidasz by jej kształtów wszechmocnem nie zatrzymał dłutem — ona całą piękność swoją uniesie z sobą razem w ostatniem westchnieniu! Przeciwno niej ja słaby jestem!

Masynissa.

Czego się wahasz i wątpisz? ona twoją być musi -- nie dla marnej rozkoszy, ale że rozum mój, że

dzieło nasze żąda jej zguby, jak zapytanie odpowiedzi, jak dźwięk dźwięku następnego. — Kiedy jej głowa opadnie na łono twoje, kiedy pierś jej zadrży jak pierś każdej niewolnicy i dusza niebieska zapomni siebie samej w ciała pożarach, wtedy w katakombach znajdziesz wiernych służalców, o synu! — wtedy duch mój będzie z tobą i zemsta stanie się ciałem.

(Odchodzi.)

Irydion.

Masynisso!

Masynissa.

Czego żądasz?

Irydion.

Blagam cię — powiedz mi jak przyjaciel — nie! daj wyrok jak sędzia — od czasu, w którym śmiałem się dziecinnie, w którym niewiadomie, wesoło, trącałem o krzywdy i hańbę pokolenia mego, aż po dziś dzień, każde słowo, sprawę, wszystkie chęci moje odwołaj, przelicz — rozumiesz?

Masynissa.

Czemu wzrok twój tak zmętniał i głos twój taki rozdarty, zbląkany?

Irydion.

Wszak co świętem i lubem było dla drugich, było zawsze świętokradztwem dla mnie? Wszak dziekiej cnoty ślubowanej furyom dochowałem wiernie? Dotąd nie ma na mnie ani skazy litości, ani plamy żalu?

Masynissa.

Ale też nie ma czynu, syna ręki twojej. — Dopóki to dziecię w powiciu nicości, dopótyś sam jeszcze nieznan i słaby — w tym samym dniu, o tej samej chwili staniesz się ty przez dzieło twoje i dzieło twe przez ciebie samego!

Irydion.

Ach w tych piersiach coś niepotrzebnego zostały bogi — czuję jad co podchodzi mi skronie i do ócz się tłoczy. — Niewiasty ten jad nazywają łzami! — Powiedz! wszak ja kiedyś miałem być człowiekiem?

Masynissa.

I jesteś nim właśnie w tej chwili nikczemności. — Ty nie wiesz, że każdy z was zdołałby zostać wszechmocnym myślą własną, nieubłaganą, zażartą — ale wróg przewidział i zawiesił w łonie waszem serce — bojaźń, uludę, podłość, którą tulicie jak niewolniki, którzy przystali na hańbę. — Tem on was rozdziwił i rozrzucił nisko i daleko. — Tem on panuje na długo i żaden go nie strąci, choć każdy mógłby go strącić!

Irydion.

O kim mówisz, kto mnie nędznym i nieszczęśliwym uczynił? Jednego tylko znam zabójcę wszystkich chwil moich. — Rzym się nazywa.

Masynissa.

Jest inny Rzym, który zaginać nie może! On nie na siedmiu wzgórzach, on na gwiazd milionach oparł stopy swoje! On nie ród ludzki, marny jeden, ale plemion anielskich wielkich, i urodziwych krocie znękał. — Z was wszystkich on ma tylko błaznów, z nich męczenników i w każdej chwili jako wy w omamieniu chwalicie, oni w mądrości i piękności swojej o pomstę wołają.

Irydion.

Co ty mi zwiastujesz, ty straszny, niezgłębiony?

Masynissa.

Walkę!

Irydion.

Gdzie? Kiedy?

Masynissa.

Po zgonie Rzymu! — Wszędzie kędy twój Duch
zdoła czuć i myśleć!

Irydion.

Bez końca, bez końca więc?

Masynissa.

Ja sam cię do niej powiodę — na padole obłą-
kanych wygrywaj tymczasem dzieje swoje zatrute
przez wroga!

Przeciw niemu i jego służalcom obrócisz kiedyś
czoło w pełni rozumu!

Irydion.

A zwycięstwo, czy będzie zwycięstwo? Czy kiedy
zdejmę tu, czy na jakiej gwiazdzie ciężką zbroję moją?
Czy kiedy opuszczę głowę bez oczekiwania, bez nie-
bezpieczeństwa, wolny, ukochany, kochający, szczęśliwy?

Masynissa.

Nie pytaj się przed czasem! — Idź naprzód,
panuj zwierzęciu w sobie, naucz się być samotnym
na ziemi jako on jest na szczytach świata; naucz się
cierpieć jak cierpią Duchy potężniejsze od ciebie! —
Bo nim dojdiesz tego na co wyrość możesz, ogień cię
przetrawi razy tysiąc, konanie cię przetworzy razy tysiąc,
gniew Jego cię odepchnie razy tysiąc. — Będiesz jak fala
rzucana pod obłoki i strącana w przepaście — tylko że ona
martwa, ślepa, głucha, a w tobie nieśmiertelne czucie!

Irydion.

Jakibądź nieprzyjaciel mój, przed nim nie uniżę
ducha — noc późna — wrócisz jutro rano — jutro
pomówimy jeszcze. — Idź teraz prawda, prawda! nie mia-
łem litości nad siostrą, miałebym jej nieznanej żałować.

Masynissa.

Pamiętaj na słowa moje; bo miną kiedyś narody
tej ziemi, ale mój rozum nie przeminie.

(Odchodzi.)

Irydion (zrzucając chlamydę.)

Idź — ty mi ciężysz.

(Rzuca pierścień.)

Precz — ty mnie palisz — chciałbym włosy znieść ze skroni — one mną nie są — one dolegają mi. — Gdzie Ja? Irydionie pokaż mi się! Męczarnio, co żyjesz w głębi łona tego, wynijdź — kto ty jesteś, niech ujrzę, raz niech się dowiem!

(Zdejmuje sztylet z nad tarczy.)

Powiedz mi, ogniku mocny, modra klingo, czy ty zdołasz wyssać mnie z piersi moich? — ale słyszysz, na zawsze! — Nie, nie, tyś także złudzeniem! Katon gdzieś się obudził i tam już inny Cezar stał nad nim trząsając mieczem i kajdany!

(Rzuca sztylet i depce.)

Kłamco, coś zwiódł tyle dusz cierpiących marną obietnicą nicości — ja urągam się tobie — ja czy tu, czy tam niewolnik! ja nie spocznę nigdzie — leż w kurzawie, zmijo fałszu.

(Obciera czoło.)

Nieznośnie temu, który zaginać nie zdoła — który kona wiecznie a nie skona nigdy!

(Stapa po sali.)

Jaka pustynia milczenia i spoczynku. — Jeden ją zalegam nieuśpioną myślą. — Noc mi wieniec z gorączki i trosk na czole złożyła. — Dzięki wam za taką purpurę, bogi piekielne!

(Staje przy posągu.)

Ojcze! kiedy spojrzę na rysy twoje, zda mi się, że słyszę obietnicę świętą. — Nieszczęśliwa Hellado! ty mnie przyciśniesz do łona. — Tryumfator pędzi — a kół rydwanu Jego skrępowane Rzymiany — ich czoła pękają za osi gorejących obrotom! Ha! nie dbam o męki nieskończone byleby dzień ten, jeden dzień taki, czoło mi w laury okwiecił!

(Kłęka.)

Ale czyż i ją mam zgładzić także? Ojcze, daruj Jej — ona nie cierpi jak my wszyscy, bo ma swoją wiarę i przyszłość nieskończoną. — Dumnych mordować — nędznych tysiące zepchnąć do Erebu — skazaną dobić. — Ach! to w losach moich wyrytem było; ale szczęśliwą znieważyc, ale ufającą oderwać od nadziei, ale promienną zniszczyć!...

(Porywa się.)

Syn Amfilocha gnany jędzami jak niegdyś Orestes.

(Lampę bierze.)

Idźmy zasnąć — błogosławieństwo Larów nad tym domem spoczywa. — To miasto, to ojczyzna. — błogo w niem i lubo — gwiazda pomyślności znać świeciła nad kolebką naszą!

(Wychodzi.)

CZEŚĆ DRUGA.

Katakomby. — W środku ciemnicy zawieszona lampa. — Dwa sarkofagi w głębi. — Od każdego rozchodzą się ulice ginące w oddali. — Ściany zasute nadgrobkami ułożonemi w piętra. — Biskup WIKTOR. — ALEKSANDER SEVERUS w żołnierskim płaszczu z nasuniętym kapturem.

Wiktor.

Wieki co przeszły, były dziecinnemi czasami ludzkości. — Im bardziej stworzenie zbliżać się będzie do Stwórcy, tem żarliwszą miłością goreć będzie ku niemu i braciom swoim. — Miecza nikt nie znajdzie na ziemi ani ręki kata, a ten błogosławiony już dzisiaj, kto uwierzył w przyszłość takową i stał się jej przyspieszycielem!

Aleksander.

O gdybym mógł w dniu jednym dzieło sprawiedliwości, obietnicę ust twoich ziemi objawić?

Wiktor.

Synu, nie spodziewaj się tego snu domarzyć, bo każdemu dostała się jedna fala w nieskończoności; pęd

jej słabszy lub silniejszy, ale ona płynie dni kilka tylko. — Żyj więc i przemiń jak reszta braci twoich, ale działaj według światła zlanego na ciebie. — Stań się pocieszycielem, byś mógł kiedyś stać się wybranym na lewicy Chrystusa, i patrzeć jak inni natchnieni kończyć będą przez ciąg wieków, co zaczęłeś w pokorze i miłości Ducha.

Aleksander.

O! niech błogosławieństwo twoje zleje się na głowę Aleksandra. — Cezar wkrótce nie zaprze się jego.

(Schyla się.)

Przygotuj się do zmiany — przyzwyczaj ich do imienia mojego, ojcze! — o to cię prosi Mammea.

Wiktor.

Jak ja ciebie w tej chwili niech cię kiedyś cały lud twój pobłogosławi i pamięć twoją syny synów ludu twego. Wstań, pomazańcze Chrystusa!

Aleksander.

Słyszę kroki czyjeś — ojcze, w godzinie walki bądź moim dobrym geniuszem!

(Wychodzi.)

Przeciwnemi drzwiami wchodzi Irydion w płaszczu Pretoryanina.)

Irydion.

Chwała Panu w niebiesiech!

(Składa miecz, włócznię i zbroję u wejścia.)

Broń ziemskich gwałtów niech drzemie u progów mieszkań jego!

Wiktor.

Czekałem na ciebie, Hyjeronimie — sługi twoje dziś z rana przynieśli ciało brata świętego pod mausoleum Cecylii Metelli. — Tam zgromadzeni wierni z ich rąk je odebrali — pogrzeb jego przejdzie tędy za chwilę — dzięki ci, Synu!

Irydion.

Uczyliem powinność moją. — Teraz przybywam od przysionka Cezarów — na pobladłych rysach dworzana myśl strachu się zataczała — pretoryanie zamiejscy burzyć się zaczynają przeciwko Imperatorowi.

Wiktor.

Powierzchnia ziemi odmienia się w swoich pynchach, jak barwy morza, za lada powiewem — ale to nie powinno mieszać spokojności grobów! — módlmy się w cieniu palmy męczeńskiej zerwanej przez Atanadora.

Irydion.

Ojcze! dozwól słów kilka jeszcze. — Wszak w twoim ręku przyszłość nasza, wszak jednym skinieniem możesz tysiące nas rzucić na szalę, a gdzie one zaważą, tam będzie zwycięstwo!

Wiktor.

W niewidzialnem królestwie walczyć mogę przeciw książęciu świata modłami i ofiarą, a jeśli wszyscy połączycie się ze mną w obliczu Pana, obiecuję wam zwycięstwo!

Irydion.

Ja mówię teraz o bliższych zapasach, o prędszym tryumfie! Ojcze! cierpimy jak ludzie, spodziewamy się jak ludzie i posady nam ziemskiej potrzeba. — Dotąd potęga nienawistnych ścisłała nas zewsząd, tak żeśmy woleli umierać niż kłaniać się rozpuście, lub czić kłamstwo na ziemi. — Lecz dzisiaj to co gubi narody stanęło u bram tego miasta — zgrzybiała starość i dumna bez granic. — Heliogabal sił nie ma do utrzymania swoich, Aleksander do ustalenia nowych rządów, a resztę sił doniszczą w zbliżającym się starciu — pomiędzy nimi oboma czyż każdy co uwierzył w Chrystusa nie radby krzyż wyrwać z wnętrzości ziemi i zatknąć na forum romanum? — ojczy, widzę chmurę

zgrozy na czole twojem. — Daruj, że pałam miłością ku braciom uciśnionym — daruj żem śmiało ci ogłosić, że nadeszła pora ugodzić w samo serce pogaństwa i Romy!

Wiktor.

Z litością słuchałem słów twoich! Napróżno wodę chrztu wylałem na głowę twoją! Napróżno tłumaczyłem ci świat ducha. — Tyś go nie pojął, nie zrzuciłeś starego człowieka. Tyś w żelazie i ogniu położył nadzieje doczesnego zbawienia. — Ciężkie winy twoje!

(Słychać pieśni pogrzebowe.)

Czy słyszysz te hymny płynące wśród grobów jak ostatnie szumy burzy, w której Jedyny skronie opuścił i skonał? — Czyż On wzywał na pomoc aniołów, czyż On wołał o pomstę do Ojca?

Irydion.

A więc nędza i poniżenie naszym działem na zawsze?

Wiktor.

Mylisz się w hardości twojej, kiedy chwilę czasu nazywasz wiecznością! — Zaprawdę ci mówię, że w tych cmentarzach śpią goście tylko — że nietylko na progach niebieskich ale i na płaszczyznach bólu miłość przemoże nareszcie. — Zaprawdę, zaprawdę, ludy pokłon jej oddadzą, i nie będzie Cezara, któryby przed nią nie uderzył czołem. Czy znasz tę postać?

(Wskazuje rzeźbę na sarkofagu.)

Irydion.

Lutnia Helleńska, ojców moich czworowdzięczne struny. — To Likaoński Orfeusz!

Wiktor.

Jako on podług waszych pamiątek, dzięki rozpieścił zwierzęta, tak Jezus dusze milionów spoi brzemieniem żyjącego słowa — patrząc na tę lutnię ziemską, pojmij roje duchów pracujące nad światem i dźwięk

u stóp krzyża poczęty, rozlegający się już pomiędzy narodami. — On żyje sobą samym i sił nie czerpa na ziemi!

(Znak krzyża kreśli nad czołem.)

Uwierz i nie grzesz więcej! — Ostrzegałem cię teraz jak ojciec rozżalony błędami syna — później jeśli winę powtórzysz, napomnę cię jak pasterz trzody, ukaram jako sędzia ludu!

Chór w pobliżu.

Z głębi przepaści wołamy do Ciebie, Panie!
Duszę zamordowanego weź na łono Twoje!
Daj jej odpoczynek w chwale Twojej!
Ona odlatując przebaczyła katom!

Wchodzi orszak, męczennik na marach, głowa ścięta na piersiach spoczywa. — Mężę w czarnych sukniach z pochodniami. — Za nimi niewiasty w białych szatach.

Wiktor.

Podajcie mi znak świadectwa i męki, święty na ziemi i niebie!

(Przynoszą mu Prochristum, — bierze i składa na piersiach umarłego.)

Własną krew twoją wylaną za syna człowieka daję ci do trumny, byś z nią kiedyś zmartwychwstał w dzień sądu.

(Przyklęka i razem wszyscy.)

Ty, coś kształt nieszczęśliwych przybrał, by nieszczęśliwych ocalić, złóż z nas złości nasze i wrzuć w głębokość morską wszystkie grzechy nasze — a temu, który zaczął drugą pielgrzymkę, ostatnią — uiść się w prawdzie Twojej!

Głos dziewczycy.

Daj mu ujrzeć święte oblicze Twoje!

Inny głos.

Daj mu wiosnę, wiosnę której nie miał na ziemi.

Irydion.

Irydion.

A nas wybaw od pokusy zemsty.

Chór.

Zemsty?

Wiktor.

Szczęśliwi, którzy umierają dla Pana. — Oni zwyciężyli przed czasem.

(Wznosi ręce nad tłumem.)

Powstańcie i zanieście zwłoki do cmentarza Faustyna.

(Staje na czele. — Przechodzą zwolna. — Irydion jeden tylko zostaje z tyłu. — Od orszaku niewiast oddziela się na wyjściu Kornelia Metella.)

Kornelia.

Czemu nie łączysz się z nami?

Irydion.

Tej nocy w innym miejscu być muszę.

Kornelia.

Gdzie, Hyjeronimie?

Irydion.

Tam gdziebyś drżała o zbawienie duszy choć stamtąd wnijdzie chwała ludu twego.

Kornelia.

Wiem, że się coś straszego na cmentarzach gotuje. — Widziałam dzisiaj towarzysza twojego Symeona z Koryntu — przechodząc trącił mnie i nie obejrzał się i szedł dalej z lwią skórą na barkach, z okiem wbitem w próżnię przestrzeni — w tem oku bunt się palił i srogie natchnienie. — O! ja nieszczęśliwa!

Irydion.

Czemu, Kornelio? przecież sam pasterz, Ojciec, Sędzia ludu, sam Wiktor codzień powtarza, żeś pierw-

sza wśród siostr twoich, i że znak wybrania już spo-
czął na twoim czole. Czegóż żądać więcej na ziemi?

Kornelia.

Niezwykły to głos twój, bracie!

Irydion.

Zdaje się tobie.

Kornelia.

Ach! czy ty ten sam, z którym klęczałam na
cmentarzu Eufemii, którego uczyłam modlitwy mojej.
— Hyjeronimie, czy to ty?

Irydion.

Ja, siostro.

Kornelia.

Modliłam się tyle, pokutowałam tak ciężko, dni
i nocy tyle!

Irydion.

I zasiądziesz w niebiesiech. — Któżby wątpił,
Kornelio?

Kornelia.

O nie za siebie — nie!

Irydion.

Za kogóż?

Kornelia.

Za jednego z braci moich.

Irydion.

Za jednego z braci?

(Zbliża się do niej.)

Kornelia.

Jaki ty straszny!

Irydion.

Mów prawdę, mów imię jego, ktokolwiek jest,
twoim będzie. — Spiesz się tylko, niewiasto. — Nie

długie chwile nam zostały — czasu nie będzie potem na ślub przed krzyżem, a ja was oboje połączyć chcę, odesłać gdzie daleko, byście żyli razem — szczęśliwie — na Tebaidzie — mówże. — Ha! ziemską miłość wstąpiła do duszy wybranej!

Kornelia.

Szalejesz!

Irydion.

Imię jego — tego jednego — tego brata?

Kornelia.

Hyjeronim! ale ten co był kiedyś, nie ten co tak dziko spogląda, co bez zmysłów stoi przedemną. Apage — Apage!

Irydion.

Cicha, piękna, szczęśliwa, patrz! terazem spokojny jak wprzód.

Kornelia.

Słodki jak niegdyś?

Irydion.

Pokorny przed tobą.

Kornelia.

Przed Panem!

Irydion.

U stóp twoich klęknię i będę powtarzał Imię Chrystusa.

Kornelia.

Obiecuj, że nie wmieszasz się do nich, że nie wdziejesz zbroi na gwałty świeckie i potępione!

Irydion.

Biedna, ty nie wiesz co mówisz.

Kornelia.

Nie chcesz?

Irydion.

Ja sam ich powiodę.

Kornelia.

Biada mi!

Irydion.

Czyś nie słyszała od wielu świętych, że już blizkie czasy? — Czy nie pamiętasz słów Jedynego, kiedy odchodząc przyrzekł swoim, że powróci i królować będzie? Czyż ulubieniec Jego na dzikiej Patmos nie powtarzał, że Babilon runie a sprawiedliwi na gruzach zasiądą?

Kornelia.

Kiedys, kiedys, ale nie dzisiaj.

Irydion.

Dziś, siostró, lub nigdy!

Kornelia.

Wiktor wyklął Eugenesa, który tak myślał i mówił.

Irydion.

Rzymianie ukrzyżowali Eudora, który tak myślał i mówił.

Kornelia.

Pójdź do Biskupa, wypowiadaj się jemu, zapytaj się go jak posłuszne dziecko...

Irydion.

Ja dzieckiem tylko być zdołam przy Tobie na chwilę znikomą, jak fala co nie wróci nigdy. Za okręgiem twoich spojrzeń we krwi ja broczyć będę. Trawa nie porośnie gdzie mój koń przeleci!

Kornelia.

Bluźnisz!

Irydion.

Nie — ja przeczuwam tryumf Boga twego.

Kornelia.

Czyż on takiego zwycięstwa nauczył? Czyż nie odpuścił wszystkim? Czyż słabych nie ubłogosławił dla ich słabości? Czyż niewiniątkom nie obiecał królestwa niebios, dlatego, że drobne i ciche?

Irydion.

Taki był początek — ale dziś, siostrzo, słabi w siłę wyrosli, niewiniątka stały się mężami!

Kornelia.

Miłosierdzia, miłosierdzia wołam nad nim, o Pannie! Ty mu nie dasz przepaść w oczach moich. — Ach! co ja mówię? gdzie jestem? Wszak ślubowałam ci, Pannie, całe serce moje. — Jakże tu ponuro — pierwszy raz strach umarłych mnie napada — kto tu jest z nami?

(Obziera się.)

Irydion.

Oprzej się na mnie!

Kornelia.

Tak, tak, ty się nie odejmiesz mojej potędze. — Łaska uwiośni twą duszę. — Ja wiem, zem się urodziła, żeby ciebie zbawić!

Irydion.

Ani ty, ani nikt na ziemi, nie wydrze z piersi moich pragnienia, które je rozdziera. — Gdyby sam Bóg nie wołał na nas, gdyby pomoc świętych nam obiecaną nie była, sam jeden jeszczebym dzieło rozpoczął. — Ostatni raz może mówię do ciebie. — Znasz dzieje Matki mojej, ale ukryte przed tobą wielkie myśli Ojca mego. — Pij kroplami ze mnie gorycz, która mnie pożera. — Słuchaj.

Kornelia.

Ty ostatni raz — ty do mnie mówisz?

Irydion.

Słuchaj!

(Siada u stóp sarkofagu — ona wyżej opiera się na tym samym grobie.)

W trzynastą rocznicę śmierci Grimhildy on nagle zawołał mnie do siebie z rana. — Już od dni kilku bladeść złowieszczą kaziła mu lica. — Synu, rzekł, niech zastawią biesiadę w sali Delfickiego Apollina — ostatni raz dzisiaj położym się u jednego stołu. — Bóg Matki twojej mnie ściga, nim wejdzie jutrzejsze słońce opuszczę tę ziemię. — Strach mnie ogarnął. — Szedłem wypełnić jego rozkazy. — On dzień cały strawił ze starcem Maurytańskich pustyni. — Głosy ich rozchodziły się jak ostatni szczęk dogorywającej bitwy — stało się cicho — wyszli oba i stąpali ku sali Festynów!

Kornelia.

Dreszcz jak łuska gadu przesuwają się po mnie.

Irydion.

Siostrę moją przycisnął do łona i odpychał potem zwolna i rzekł: — Co brat ci rozkaże, czynić będziesz dla miłości mojej. — Do płaczącej słowa już więcej nie przemówił, ale kilka kropel wina rozlał w ofierze i legł, i mirtami uwiecznionym puharem pił zdrowie wielkich mężów. — Wyzwoleniec czytał mu Fedona — stu niewolnikom wejść kazał i darował im wolność, a kiedy mu dziękowali: — Jako wasze pęta skruszylem, pamiętajcie drugim, o ile wam sił stanie, zrywać łańcuchy. — Czyńcie kiedyś co wam mój syn powie. — I wstał pogodny jak wieczór co zwolna nocą się obwija a jeszcze purpury słońca nie zatracił!

(Chwila milczenia.)

Wtedy w najdalszej komnacie pałacu zaczęła się ta noc ostatnia, w której zawiązały się losy moje — wokół nas jaśniały płomienie trójnogów. — Masynissa rzucił w nie kadzidła — głowa Amfilocha leżała na łonie przyjaciela i stopniami schodziło z niej życie —

ale powaga zawsze była jedna, nie zachwiana. — Żal przerwanych zamysłów w głębi ducha leżał spętany. — Boleść nadaremno się wysilała. — Jedynym jej znakiem była wzgarda na ustach — on umierał tak jak żyją bogi!

Kornelia.

Widzę, widzę go — ale gdzie anioł stróż Jego w tej chwili?

Irydion.

W tej chwili on tworzył przyszłość, której nigdyś pragnął dla siebie, którą teraz mnie zapisywał. — „Nie uchylisz czoła, nie stracisz wiary w złej godzinie — w dobrej nie przebaczysz, nie zaprzestaniesz, ale przejdiesz po zwłokach zrzuconego by stojących obalać. — Nie miej smutku ani słabości, bo jako księżyc na niebie, tak dzieje narodów na ziemi wzrastają by maleć. — Dziś Roma u stóp widnokręgu, blisko nizin śmierci.“ — Tak nauczał, a z milczenia nocy stopniami budziło się życie — a co chwila Bóg mściciel bardziej ciężał nad nim!

Wreszcie przysiągłem przed Jego świętem obliczem. On dłoń trzymał na czole mojem — przysiągłem rozkoszy nie mieć — przywiązania nie znać — litości nie słuchać — ale żyć by niszczyć, dopóki Duch mój się z Ojca Duchem nie połączy!

Kornelia.

Przebacz mu, Panie, on nie wie co mówi!

Irydion.

Masynissa krew dymiącą wylał z czary na głowę moją i na rękę jego i pierwszy promień zorzy błysnął na łożu umierającego. — „Hellado moja!“ zawołał głosem miłości i spojrział jak tryumfator ubóstwiony zwycięstwem! W tem natchnieniu ustało jego ziemskie życie. — Kornelio! zemsta dobrem mojem — w zemście żyć muszę i skonać!

Kornelia.

Na kim ty ją chcesz wyrzucić, — Hyjeronimie? kto Jemu, kto tobie przewinił?

Irydion.

Ci którzy was przymusili błędzić, skąd uciekają żyjący po złożeniu umarłych! Ci, którzy Boga twójgo zelżyli razy tysiąc i co było w sercach ludzi boskiem, zdeptali na ziemi! — Czy ty wiesz przyszłość. Tłumaczyć ci ją będą jak Chrystus wacając z Emaus pismo nieświadomym. — Stało się pođ wieczór światu — zwiędły kwiaty poranku, zgasły ognie młodości na Egejskich wybrzeżach. — Raz jeszcze na północy ozwał się głos wolnych — potem wszystko ucichło — wtedy powstał człowiek, który rzekł: „Dawne chwały przywrócę a zniszczę tych co wszystko zniszczyli“. — Czy ty go potępisz, córo chrześcian? — On chciał by cierpiący odrzucił więzy — by ślepy w niewoli przejrzał i poznał progi ojczyste — by głuchy i niemy przemówił rodzinną mową. — Czyż on nie zwiastował powtórnego przyjscia Boga twego? Jan niegdyś samotny, bezbronny, wołała na pustyni, że nadchodzi syn człowieka, ale ten który umęczon będzie. — Ojciec mój poprzedził tego, który zwycięży tego, co królować będzie, tego, o którym zwątpiłaś!

Kornelia.

Ja?

Irydion (chwytając ją za ramię.)

Boś sądziła, że on tę ziemię zostawi na łup Rzymianom — ty myślałaś, że on krwi naszej niesyty będzie!

Kornelia.

Zgubiony — ach! Panie! a jednak ogień wiekuisty, ogień Cherubów w oczach mu jaśnieje!

Irydion.

Uwierz, ty się nie domyślasz co mnie czeka jutro. — Uwierz, ja wozdem ludu twego. — Uwierz, a Jowisz z Kapitolu runie by nie powstać więcej.

(Słychać kroki.)

To Wiktor, to niewierny! — Zostań. — Ja wrócę za chwilę.

(Wchodzi w ciemne przejście.)

Kornelia (przyklęka.)

Serce biedne, nie moje, nie znane serce, ty co bijesz tak rozdzierająco, módl się do Chrystusa. — Panie — Panie — odpowiedz słudze twojej!

Od krzyża nigdy oczu nie spuściła ku śmiertelnym twarzom — a teraz, o Panie, dwoje ocz utkwilo mi w pamięci. — Jego oczy, jego, Panie!

I jako prorok, i jako święty, i jako Archanioł on staje przede mną i mówi, a ja go słucham, Panie! — i chciałabym skonać.

(Głowę zniża między ręce).

Zmiłuj się nade mną!

Wiktor (wchodzi z orszakiem).

— Ile razy zbierzecie się w imieniu moim, będę z wami. — Czemu nie usłuchałaś słów tych dzisiaj? Ciebie i Symeona z Koryntu i innych wiele nie dojrzało oko moje. — Córkó, zostaw ścieżki samotne nieprawym i odwróć się od nich, kiedy za grobami schyleni naradzają się chytrze.

Kornelia.

Ojcze!

Wiktor.

Czy przynajmniej modliłaś się tutaj w uczestnictwie nas wszystkich?

Kornelia.

Modłę się, Ojcze.

Wiktor.

Czy sama tu byłaś?

Kornelia.

Ojcze! sama jestem.

Wiktor.

Drżysz jak światło gasnące — co tobie się stało, Metello?

Kornelia.

Szukam Boga, Pana mego, i znaleźć go nie mogę.

Wiktor.

Największym świętym przydarzały się chwile niepewności. — Znać wtedy, że nieprzyjaciel w pobliżu. — Módl się więc i czuwaj, bo duch skory ale ciało słabe.

(Wychodzi.)

Kornelia.

Ojcze!

Wiktor (odwracając się.)

Co, dziecię moje?

Kornelia.

Czy już blizki poranek?

Wiktor.

Dopiero noc się zaczęła.

Kornelia.

A dzień sądu czy blizki, ojcze?

Wiktor.

W każdej chwili Syn człowieka może nas powołać przed Swoje oblicze. — Czy ty co przeczuwasz?

Kornelia.

Nie — tylko słabo mi bardzo — tylko wiedzieć chciałam.

Wiktor.

Dziś jeszcze w Eloimie ofiarę świętą odprawię za ciebie. — Schorzała dusza twoja i ciało zmęczone pokutami — wstań, nie trwoż się, idź zasnąć, córko.

(Wychodzi.)

Irydion.

Kornelia.

Czemu nie zatrzymałam Biskupa!

(Irydion wchodzi.)

Słyszę stopy lekkie, stopy kusiciela.

(Odwraca się.)

Ach! piękny, piękny jak Anioł! — Wiktorze, Wiktorze!

Irydion.

Nie usłyszysz ciebie.

Kornelia (obejmując sarkofag ramionami.)

Popioły świętych, strzeżcie mnie tej nocy.

Irydion.

Czego się lękasz?

Kornelia.

Czy nie widzisz jak ciemno, czy nie czujesz zimna? — tak jak gdyby wszyscy umarli, a nas dwoje tylko zostało — potępionych dwoje. — Oni, reszta wszyscy w niebiesiech!

Irydion.

Godzina, którą ci powiedziałem za twarda na serce twoje!

Kornelia.

Mylisz się. — Wzdychałam do palmy męczeńskiej, a miałabym drzeć przed zwycięstwem Pana mojego! nie, — nie. — Tylko coś rozprzęgło się w duszy mojej, coś mi w głowie się usuwa, coś w sercu pęka, Hyjeronimie.

Irydion.

Niewiasta czynów nie potrzebuje, jedną cichą modlitwą zbawiona być może. — Jeśli się nie poczuwa do mocy, niechaj idzie precz odemnie. — Tu rozdziela się drogi nasze — będziesz spokojna jak wprzódy — obaczysz się kiedyś, ale nie na ziemi.

Kornelia.

Prawdę wyrzekłeś — stopy, unieście duszę daleko, daleko.

(Usiłuje powstać. — Irydion rękę jej podaje.)

Ach! przybiłeś mnie na nowo — nie mogę.

Irydion.

Biedna!

Kornelia.

Coś nieśmiertelnego opasało mnie, niewidzialnych ramion dwoje!

Irydion.

Ostatni raz mówię ci: Uciekaj.

Kornelia.

Nie. — Dopókiś w błędzie śmiertelnym nie wyzionał ducha, dopótyś bratem moim w obliczu Ojca niebieskiego.

Irydion.

Świadczę się wami, kości umarłych, i tobą, matko ziemio. — Chciałem ją, ją jedną ocalić!

(Przechadza się po ciemnicy.)

Tak ojciec mój niegdyś zabił duszę niewinną kapłanki. — Siła dzikiego fatum zewsząd mnie opasuje.

(Zbliża się do niej.)

Kornelio, Kornelio!

Kornelia.

Modłę się za ciebie, klęknij tu przy mnie, zbądź pychy, powtarzaj słowa moje...

Irydion.

Jutro, pojutrze zacznie się moja modlitwa — głośna, — siostró, — wśród jęków nieprzyjaciół!

Głos w pobliżu.

Hyjeronimie, do broni!

Irydion.

Przybywam.

Irydion.

Kornelia.

To on — to Symeon!

Irydion.

A tam dalej tysiąc podobnych jemu drży z niecierpliwości i czekają na mnie.

(Zrywa jej welon.)

Pryśnij, obsłono duszy mojej!

(Porywa ją w objęcia.)

Usta, zostawcie na tem bladym czole obietnicę lepszego losu!

Kornelia.

Ach! wraz z tobą na wieki potępiona jestem!

(Mdleje.)

Głos.

Spieszaj, spieszaj!

Irydion (bierze hełm i oręż, potem wraca i nachyla się nad nią.)

Nie, ty nie umarłaś?

(Przyciska ją do piersi.)

Obudź się na twardym pancerzu męża, obudź się, Kornelio! Masynisso! bądź mi przeklętym jeśli jej zguby nie odkupisz mi zwycięstwem!

Kornelia.

Kto woła?

Irydion.

Ten, o którym powiedziano, że przyjdzie i pokona dumnych!

Kornelia.

Widzę nareszcie, widzę ciebie. — Ty raczyłeś dotknąć się oblubienicy twojej. — Długo czekałam...

Irydion.

Podnieś głowę — rozedrzej wzrokiem te sklepienia. Tam wybrani śpiewają Hymn tryumfu. — Zmartwychwstań!

Kornelia.

O Pańie! chwala bitew na około twarzy twojej — płoniesz cały blaskami żelaza. — Panie, gdzie rany twoje, niech je obleję łzami!

Irydion (podnosi ją.)

Jutro, niewiasto, spełnią się przepowiednie o królestwie Krzyża.

Kornelia.

O nie rozpraszaż się wśród ciemności — oni mówili że przyjdiesz, a teraz ty mnie nie weźmiesz z sobą. — Ty zapomnisz o służebnicy twojej!

Irydion.

Biedna! powstań — nie płacz — nie rozpaczaj!

Kornelia.

Daj mi zaginać w chwale twojej! ja już umarłam, o Panie!

Irydion (porywa ją z ziemi.)

Dni kilka jeszcze, niewiasto. — Tymczasem wołaj na braci swoich: „do broni, do broni.“

(Odechodzi.)

Kornelia.

Słyszycie ostatnie słowa jego. — On zstąpił drugi raz na ziemię i tą razą miecz w jego prawicy polyska. — Do broni! kości umarłych, żyjący kapłani, ludu Boży, odpowiedźcie! On tak kazał. — Za mną: do broni, do broni!

(Ucieka.)

Inna strona katakomb. — Symeon z Koryntu. — Obok krucyfix, księga i trupia głowa.

Symeon.

W dniu jednym świat posiąść, nie ten nędzny kędy błyszczą złoto i stęka żelazo, ale ten ogromny,

ten świat dusz wszystkich i panować im w imieniu Twojem, o Boże! Ach! gdyby morze jasności, ta myśl przedemną rozciągnięta — ku niej płynę w potokach cierpienia i poniżenia, coraz olbrzymiej rozpychając zasępione fale. — O Chrystusie! podbiję Ci wszystko, co zowie się ciałem. — Tam w dole będą pustynie, skały, miasta, stamtąd szumią wołania królów i kupców, a duch mój odbicie Twego na ziemi, zawieszony w górze, jednością potęgi ich ściska. — Każe im milczeć lub modlić się, drżeć lub radować się — myśleć lub zasnąć!

Irydion (wchodząc.)

Witam cię, synu Hellady, po dwakroć bracie mój!

Symeon.

Wreszcie nadszedłeś.

Irydion.

Czas jeszcze.

Symeon.

Czy widziałeś Wiktora!

Irydion.

To dziecię stare które panuje nad nami. — W nim słodycz jest słabością a słabość staje się uporem.

Symeon.

Zaprawdę ci mówię, że trzoda nie puści się na nieznane pole bez błogosławieństwa pasterza.

Irydion.

Zwlekajmy do ostatniej chwili — wtedy nagle otoczmy go rozpaczniemi prośby. — Nieprzygotowanego strach ogarnie lub duch Boży oświeci!

Symeon.

Do stóp mu się rzucę — iskra co pryśnie od mojego serca duszę mu rozerwie.

Irydion.

Śpi u niego głęboko dusza — twarz wyschła mu od cnoty — zresztą idźmy zawsze naprzód, nie oglądajmy się nigdy — w tem nasze zbawienie.

Symeon.

Stanie się jako mówisz. — Czy słyszysz te pomieszane głosy? — gromadzą się jak im przykazałem na pograniczu świętych grobów, na szerokich cmentarzach starych pogan.

Irydion.

Ukrzyżowanego, niezemszczonego weź w ręce i nieś przed ich oblicza!

Symeon (porywając za krucyfiks.)

O jakżem był kiedyś małoduszny i ślepy! Wierzyłem, że niesprawiedliwość znosić trzeba, by docierpieć się Nieba.

(Podnosi czaszkę.)

Patrz na te zapadłe skronie — w tych załamach jaśniało niegdyś życie życia mego. — Biskup miał złączyć ręce nasze. — Dnia jednego nie dostawało, lecz nocą wpadł Centurion i porwał niewinną do cyrku Flawiana! — Z pod paszczy tygrysa to mi tylko zostało! — I jeszcze długo potem walczyłem z żądzą odporu jakby z szatanem, a to był duch żywy, święty co owładał mną stopniami!

(Kładzie czaszkę.)

Spoczywaj, nieboga! wkrótce zmartwych ty powstaniesz dla mnie!

Irydion.

Zemsta więc i naprzód tam gdzie brzęczą pszczoły.

(Wychodzą.)

Przestronne lochy. — Cenotafy po ścianach. — Mogiły rozsypane tu i owdzie. — Zgromadzenie chrześcian przy pochodniach.

Chór młodzieńców.

Nieszczęśliwy ten co urodzon z niewiasty. — Dni jego blahe i znikome — od krzyża ramion odwiązać, od cierniów skroni odchylić nie zdołał. — Ciemności siostrami jego i grobem!

Chór starców.

Święty, święty, święty, słuszne sądy Twoje! Ty przez męki ojców wynosisz przyszłe pokolenia. — Na stosach kości naszych zieloność wiosny i szkarłat potęgi rozwiedziesz synom naszym.

Chór młodzieńców.

Zeslij nam pocieszyciela — niech on stanie na wysokościach, niech karki wyniosłych stopom swoim podściele w równiny.

(Wchodzą Symeon i Irydion.)

Witajcie!

Symeon

W imieniu Ojca, Syna i Ducha, nadzieja niechaj będzie z wami.

Chór starców.

Symeonie, Symeonie! dla czego ten co idzie za tobą, co nie dawno jeszcze nosił szatę katechumena, dziś przywdział zbroję. — Naucz go i oświeć, by puklerzem była mu skrucha, a szczerza modlitwa jedynym orężem.

Symeon (do Irydiona.)

Wstąp na mogiłę — odpowiadaj za siebie. — Ja tymczasem wezwę jeszcze ducha — chwil kilka jeszcze a stanę się w duchu.

Irydion (wstępuje na mogiłę.)

Kto się pyta niechaj własnej mądrości nie ufa, ale niech spojrzy w około i przypomni sobie przepowiedziane dni klęski mające zawisnąć nad ziemią!

Czasy milczenia kończą się dzisiaj, bo przebrały się męki sprawiedliwych — w grobach już miejsca nie znaleźć. — Kości umarłych gwałtem nas wypychają ku słodkim błękitom.

Kto leżał w prochu niechaj powstaje, kto się weselił nad naszymi głowami niechaj zadrży — bo przepaści wejdą w górę a wzgórze zapadną w otchłanie!

Chór młodzieńców.

Synu obietnicy, pokój Pana niechaj będzie z tobą.

Irydion.

Pioruny gorejące Pana niechaj będą ze mną i z wami. — Z krzywd waszych stało się moje natchnienie — w łasce Jedynego, Potrójnego, wszczęła się otucha moja — a waszą wołą, moja posetniona siła niechaj wre i woła o pomstę do Boga!

Słuchajcie mnie. — Miasto rozdzieliło się tej nocy. — Syn wszeteczeństwa zachwiał się na tronie. — Pretoryanie odwrócili serca od niego. — Lud jak morze niepewne, któremu wiatru się podda, dotąd kołysze się i milczy — ale wnet nań spadną ciężkie wichrów skrzydła, runą weń grady pomieszanych chęci. — Patrzcie! widome ciemności gromadzą się nad stolicą która morduje proroków i świętych. W całej Azji powstają legiony. — Nad Renem burzą się Allemany. Cezar i Aleksander zabierają się do ostatniej rozprawy. — Ten wzywa Mitrę, tamten Statora — a któren zwycięży, zwycięży z przekleństwem Chrystusowi na ustach!

Oto znak wam dany, hasło obiecanie — patrzcie a ujrzącie. — Chciejcie, a będziecie wolnymi!

Chór starców.

Kto ci dał władzę i na czole twoim wyrzył słowo Boże? Gdzie Wiktor, ojciec wiernych, pasterz namaszczoney? Czy on powie o tobie: — On jest ten, którego Pan wzbudził.

Symeon (wstępując na drugą mogiłę.)

Ja mu świadczę!

(Wznosi krzyż.)

Płyńcie łzy moje, roztwórzcie się rany piersi moich. — Oto Pan nad wszystkie pychy, Bóg i zwycięzca przybity do progów śmiertelnych. — Wy którzy nie macie serca, stójcie na miejscu jak głązy porzucone na ścieżce. — Ja nie dla was mówię. — Wy co

nie pragniecie by Hyjerezolima wyszła z toni czasów, starzejcie się i milczcie. — Ja nie do was mówię!

Tych tylko wzywam, dla których on hańbę zno-
sił, pośmiewisko wytrzymał, aż słońce od mąk Jego
przesłoniło się nocą! Od nocy tej straszliwej kto się
upomniał o obelgi syna człowieka? Nikt go nie odział,
nikt nie napoił. — Wszystkie narody ziemi jedne po
drugich ukrzyżowały go na nowo!

Chór młodzieńców.

Przeklęstwo czcicielom Molocha.

Irydion.

Nie wypuszczajcie chwili, która nadlatuje. —
Nie patrzcie na nią jak na skrzydła co mijają i giną
w oddali, jak na błyskawicę, co błysnie i zamrze
w błysnięciu! Ale wszyscy razem, zgodnie, wyciągnij-
cie ramiona objąć ją — przycisnąć do serc waszych,
o bracia. — Z niej drobnej dzisiaj, z niej co nie po-
wróci nigdy, wydobyć iskrę życia — bo zaprawdę wam
ogłaszam, że w niej długie wieki drzemią. — Jeśli je
obudzicie, staną się waszemi!

Chór starców.

Ogień modlitwy gaśnie w łonie naszym — mgła
tajemnicza zasuwą się nad nami. — Panie! od pokus
zwodziciela wybaw nas, Panie!

Irydion.

To słabość! — przez kajdany ojców waszych
odrzućcie ją — przez stopy Nerona odrzućcie ją —
przez ofiary cyrku zaklinam was, bądźcie silnymi!

Chór młodzieńców.

Głos twój jak dźwięk trąby grzmiącej pędzi nas
ku płaszczyznom ziemi — ale drżą nam piersi, włosy
powstają na głowie! O Symeonie z Koryntu, odezwij
się — mów czy nie widzisz czego?

Symeon.

Widzę wzrokiem Jana, który przed laty patrzył na Hyjerezolimę wybranych. — On w grobie śpi wśród nachylonych Aniołów i powstanie dzisiaj lub jutro — wtedy się usunę — a teraz ja prorokuję, ja wołam!

Chór.

Ścisnęły się marszczki czoła jego. — Krzyż czarny drży mu w dłoniach jak gałąź wśród wichrów!

Symeon.

Duch mnie ogarnął, unosi. — Stąpam na zwaliskach miasta. — Bożyszczą przewrócone jak kawały darni — orły złote bez dziobów, bez skrzydeł, na garściach potrzaskanej broni — purpury jak płótna na łańce obwite niciami pajęczyn — łuny igrają po trupach. — Rozpuszczone warkocze dziewic, długie szaty konsulów, Cezarów, porwane wozy znikają w oddali.

(Pada na kolana.)

O Boże umęczony, natchnij ich duszą jakieś moją natchnął i ogień pożerający bitew roznieć w ich dłoniach.

(Wstaje.)

Modlitw waszych spienione fale dopłynęły Niebios. — Dusze zabite złością synów ludzkich stanęły u ołtarza, co wiekuiście pali się na podnożach tronu. — I ujrzałem tego, który panuje na tronie — przeliczył je wszystkie, a liczba ich dopełniona i zawarta księga świadectwa i śmierci. — Głos zagrzmiał: — Odtąd mi świadczyć będziecie życiem i zwycięstwem!

Chór (przyklękają wszyscy.)

Chrystusie, Chrystusie, wrą nam serca bo zmarłychwstać chcemy! Nie opuszczaj nas w chwili niepewności. — Daj nam objawienie sądów Twoich!

Irydion.

Czy się jeszcze pytacie, ludzie małej wiary? Wzniescie oczy. — Oto Pan wasz kona — oto jeszcze roz-

twarte usta i ostatnie wołanie: — Czemu opuściłeś mnie Ojczy! — Bracia, czy my go jeszcze i dzisiaj opuścimy?

Chór.

Nie. — Nie.

Irydion.

Ha!

(Odwraca się.)

Symeon.

Bledniejesz?

Irydion.

Tam — gdzie zakręcają się sklepienia — tam na samej granicy światła i ciemności.

Jeden z chóru.

Ktoś nas podchodzi lekkimi stopy.

(Wbiega Metella.)

Symeon.

Witaj, dziewico poślubiona wiekuistej miłości.

Chór.

Skąd do nas idziesz tak późno, sama z rozpuszczonym włosom?

(Metella zatrzymuje się przy mogile Irydiona.)

Symeon (do Irydiona.)

Przemawiaj dalej!

Irydion (obracając się do Kornelii.)

Czy mnie poznajesz, czy moje słowa pamiętasz?

Jeden z tłumu.

Słyszeliście ten krzyk Świętej?

Drudzy.

Straszno, straszno stało się o tej godzinie sercom naszym.

Irydion.

Milczcie, teraz ona mówić zaczyna!

Kornelia.

Objawiłeś się i wyrzekłeś straszne słowo. — Odtąd biegnę i wołam — dni i nocy mijają, ja biegnę i wołam.

(Odwracając się do ludu.)

Do broni, do broni!

Irydion.

Przez ciebie, Masynisso, zwyciężam!

(Do ludu.)

Dusza niewiasty prędzej od was wszystkich zrozumiała tajemnicę Niebios. — Zmyjcie hańbę waszą w krwi bałwochwalców!

(Kładzie rękę na włosach Kornelii.)

Stań się żywym głosem chwały przyobiecanej. — Rozedrzej zasłonę czasu przed oczyma ludu!

Kornelia.

W gromy zbrojnego widziałam — szedł zdobywając by zdobywać dalej — i nieśmiertelną stałam się w obliczu jego!

Chór starców.

Czyś miała widzenie i dotąd spoglądasz na jego mdlejące ostatki? Odpowiedz nam, odpowiedz!

Kornelia.

W gromy zbrojnego widzę — idzie i zdobywa. — Nic mu się nie oprze. — Strzała jego ciężki ziemie odmierzy w przelocie. — Strachem otoczył się jak zwojami królewskiego płaszcza i śmierć blada posuwa się za nim!

(Ucieka.)

Jeden z chóru.

Wśród głów i pochodni, jej włosy podskakują i toną jak fala.

Chór.

Gdzie lecisz?

Irydion.

Kornelia.

Gdzie światło nie dojdzie, niech mój głos doleci:
do broni!

Wszyscy.

Do broni, do broni!

Głos Kornelii.

Rozstąpcie się ciemności — martwe skały za-
drżycie na świadectwo Panu!

Symeon.

Zniknęła porwana natchnieniem. — Teraz słu-
chajcie brata mojego, zważajcie na słowa młodzieńca!

Irydion.

Kto przyjdzie do pałacu Amfilocha, kto wymówi
stanąwszy na progu: — Sigurd, syn Grimhildy — ten
dostanie miecz i pocisk i szyszak miedziany. — Pa-
miętajcie: — Sigurd, syn Grimhildy.

Pierwszy barbarzyńiec.

Niegdyś w Chersonesie słyęła kapłanka.

Drugi.

Imię to ojcowie nasi powtarzali z drżeniem.

Trzeci.

W borach Saksońskich przybyli bracia od morza
północnego, śpiewali o niej żałobne wspomnienia.

Irydion.

To matka moja, a wy, bracia moi!

(Wchodzi i staje wśród nich.)

Dajcie ręce wasze — z błędów wyszliśmy, ale
błędy ojców ogniwo synom. — Dziś w imieniu Chry-
stusa bądźcie mi wiernymi.

Chór barbarzyńców.

Synu Grimhildy, synu ziemi srebrnej, od wolnych
ludzi wolne przyrzeczenie i wiara niezłomna! Błękitno-

oki, długowłosey nie zdradzi ciebie. — Ślubuję tobie ciało nasze jakośmy duszę poślubili nowemu Bogu!

Irydion.

Wnuk króla mężów dziękuje braciom swoim.

Chór barbarzyńców.

Przed laty Herman zaczął walkę z południowym słońcem. — Święte jego kości spoczywają w czarnych Irminsulu gajach. — Naprzód, naprzód! Tameśmy, nim duch bozdrożów ujął nas za ramię i wygnał na obszary świata, słyszeli pieśni zwiastujące zgon straszego Rzymu — naprzód, naprzód! Ty będziesz Hermanem — pod wodzą twoją zdradzieckich Italów zburzymy pałace!

(Słychać podziemne huk.)

Symeon.

Czemu odzywasz się, ziemio, matko ciał umarłych a nie żyjącego ducha!

Irydion.

Wyrok zapada nad miastem.

Chór starców.

Symeonie, Symeonie! czy poznajesz gniewu pańskiego straszliwe odgłosy?

Symeon.

Zaprawdę gniew pański wam ogłaszam i błogosławię Jemu. — Patrzcie! Podniósł się Wszechmocny i otchłań woła o miłosierdzie do Niego! Patrzcie! Dreszcz bieży po skałach, zrywają się wichry jak sycające węże — Hosanna! Hosanna! Mogiły bałwochwalców pękają na dwoje. — Dzień zemsty zstępuje wśród burzy!

Chór młodzieńców.

Hyjeronimie, dotrzyмай obietnicy. — Wola Jedynego objawia się nam.

Irydion.

Irydion.

Skarby moje waszemi. — Krew moja waszą do ostatniej kropli — przysięgnijcie tylko krzyż ten za-
tknąć na szczytach Kapitolu!

Chór starców.

Biada wam — biada.

Chór młodzieńców.

W imieniu Chrystusa, przysięgamy.

Irydion.

I wprzódy nie odpoczniecie, nie pomodlicie się
Jemu, ani ciało Jego pożywać będziecie!

Chór.

Nie — nie — nie!

Chór starców.

Uciekajcie bezbożni — łamią się filary — zie-
mia się rozstępuje.

Irydion.

Pod nami tak Rzym padać będzie.

Inni.

Strzeżcie waszych pochodni.

Symeon.

Idźcie za mną. — Ten, którego niosę, na roz-
hużdanych falach stąpał bezpiecznie.

Inni.

Ognia, ognia!

Chór barbarzyńców.

Rwijmy się za pasy z tłumem. — Syny lodów
nie zginą tu marnie wśród podrzutów siarczystej, nie-
cierpianej ziemi!

Inni.

W tył, nazad — tu ognie buchnęły!

Irydion.

W tę stronę ku naszym cmentarzom, ku Eloimowi. — Ach, twoga pomieszala rozumy wasze!

Symeon.

Odparła mnie opoka i jednym rzutem runałem do stóp twoich.

Irydion.

Oprzej się na mnie — ten głaz dotąd nie zadział ni razu.

Symeon.

Gdzie ci, którzy szli za mną?

Irydion.

Zniknęli. — Nocy takiej nie widziałem nigdy — z tysiąca pochodni ledwo gdzie jeszcze tli się gwiazda jaka.

Symeon.

Zgasła ta na którąś patrzył — Ach! i tamta i tamta!

Pomieszane głosy.

Odpuść nam winy nasze — w godzinę śmierci błagamy Cię, Panie!

Symeon.

Wyciągnij ramię — zawieś pochodnię nad tem morzem cieniów.

Irydion.

Daremno.

Symeon.

Słyszałeś loskot co przydusił głosy starców?

Irydion.

Tam odzywają się żyjący — do mnie!

Symeon.

Ale ci, którzy Pana tu błagali przed chwilą!

Irydion.

Irydion.

Pan już o nich pamięta teraz — do mnie, do mnie.

Chór barbarzyńców.

Błądziliśmy na przemian w ciemnościach i w ogniu — zewsząd odegnały nas pioruny, ale serca nasze biją tak zimno jak były przed burzą!

Irydion.

Przytknijcie wasze pochodnie. — Ja was wyprowadzę. Ja pamiętam drogę.

Symeon.

Ot głuche gwary się ozwały. — To bracia nasi, co się przedarli ku Eloimowi — za nimi!

Głos w oddaleniu.

Pal się, ziemio, na dzień ostatni świata.

Irydion.

Słyszeliście?

Chór.

Nie traćmy czasu — naprzód!

Irydion.

Uciekajcie!

Głos w pobliżu.

Do broni, do broni!

Chór.

To ojciec złudzeń, który cię woła na zgubę twoją!

Irydion.

To ona!

Symeon.

Nie puszczę ciebie.

Irydion (odpychając go.)

A kto ich wywiedzie jeśli ja nie wrócę!

(Idzie naprzód.)

Ojcie! wzywam ciebie, niech się płomienie Erebu
ukorzą przedemną!

Głos w pobliżu.

I wieniec mój będzie z gwiazd nieśmiertelnych
przy boku twoim.

Irydion.

Chrystusie, Boże jej Niebios, ocal nieszczęśliwą.
(Rozwidnia się — ogień z pod ziemi buchają — wśród nich Kornelia.)

Chór barbarzyńców.

Zajaśniał hełm nieustraszonego i utonął w cie-
mnościach!

Symeon.

Hyjeronimie.

Chór.

Sigurdzie — Sigurdzie!

Głos Irydiona.

Spieszę do was.

(Wraca trzymając Kornelię w objęciach)

Odwróćcie twarze — na dół schylone pochodnie —
tędy, tędy, za mną!

Chór (w oddaleniu.)

Zbaw nas, o Synu człowieka, a trzykroć tak
zniszczony, trzykroć tak spalony Rzym będzie, wróg
ludzi świętych południa i ludzi wolnych północy!

Głos wśród ciemności.

Śpijcie wichry z popiołami starych czcicieli.

(Nadchodzą słupy ognia, wśród nich Masynissa.)

Chór podziemnych głosów.

Patrz! staliśmy się jak lampy cichej świątyni,
o my gorejący, o my nieszczęśliwi, ofiary mąk tylu,
od wieków tylu!

Masynissa.

Przyjdzie chwila, w której cała ziemia na pastwę oddana wam będzie — ale na dzisiaj tu koniec drogi waszej — nie pójdziecie dalej!

Chór.

Zwycięstwo! Do czasu, do czasu tylko żyjem rozpaczą i nocą! I zapytają się duchy niebieskie — gdzie ziemia, siostra nasza? — i zapyta się ten, który ją zbawił: — gdzie oblubienica moja? — a my wytrząśniem pod ich gwiazdy jej umarłe popioły!

Masynissa.

Zwolna, z cicha, dzieci moje! — To chwila w nieśmiertelności waszej, ale tysiąc tysięcy ludzkich pokoleń od niej przegradza was jeszcze!

Wprzódę muszą siły swoje sterać — każdą wiarę krwią popierać i ogłosić ją fałszem. — Każde zaprzeczenie błotem zarzucić i ubóstwić je wreszcie! — aż dowąży się szala ich mierności i dumy, aż siwizna głupstwem się stanie a siła szaleństwem!

Chór.

I zginą!

Masynissa.

Myśl ich osiądziem — w niej światy tworzyć będziem coraz dalsze od prawdy — tak iskrę, którą wzięli z górnych przestrzeni, zamęczym w ich duszach. — Uwieńczym ich skronie ognikami wiedzy. — Znikome berła powierzym ich dłoniom. — Wyniesiem ich na samodzierzców ziemi!

Chór.

I zginą!

Masynissa (przechadza się wśród ogniów.)

Wiaro, nadziejo, miłości! Trójco, która miałaś trwać na wieki, rozerwałem Cię dzisiaj w sercach dzieci najukochańszych błogosławieństwa Twego! —

Nie, Ty niemi nie zaludnisz spustoszonych przestrzeni, kędy wrzały niegdyś roje szczęśliwych i pięknych. — Ty już nigdy takich nie dostaniesz synów. — Sama zgasiłaś słońca, które były chwałą Twoją!

Chór.

Niechaj trony nasze wiecznie sterczą próżne i martwe — niechaj pieśni pochwalne u ich stóp konają!

Masynissa.

Tej nocy naszych następców poczęła się zguba. — Jako my niegdyś tak i oni odpadną od Niego!

Chór.

I przyjdą jeść chleb nasz i mieszkać w ciemnym domu naszym!

Masynissa.

Wrogu! Ty wiesz, że ich duch obłąkany od pierwszej wiosny ziemi! — Odtąd dnia nie będzie, żeby się nie kłócili o przymioty i imiona Twoje?

W Imieniu Twojem będą zabijać i palić. — W Imieniu Twojem gnić i milczeć. — W Imieniu Twojem uciskać. — W Imieniu Twojem powstawać i burzyć!

Ukrzyżowan będziesz zarówno w ich mądrości i niewiadomstwie, w ich rachubach i szalach, zarówno w sennej pokorze ich modlitw i w bluźnierstwach ich dumy!

Na szczytach niebios ten puhar goryczy pić będziesz, dopóki ich nie przeklniesz na wieki. — Na szczytach niebios, wśród potęg Twoich doznasz co to piekło nasze!

Chór.

Chwała nam i Temu, co dotąd jaśnieje w ogniu odrzucenia jak pałał niegdyś tęczami siły! — Chwała nam, chwała nam!

Masynissa.

On skazę piorunów zakrył dłonią na czole. — Na dnie przepaści, on myśl krzepi na dzień ostatni świata! Chwała Jemu. — A teraz owioncie mnie ciemności, — teraz w milczeniu skonajcie bracia moi!

CZĘŚĆ TRZECIA.

Namiot w obozie zamiejskich pretorianów. — Arystommachus, Lucius Tubero na przodzie. — W głębi na łożach Aleksander Severus i Ulpianus rozmawiają po cichu. — Wchodzi Irydion.

Irydion.

Przybywam Rzymianie, w imieniu Pana waszego. — Odmówcie wasze skargi — każdą wysłucham i na każdą odpowiem według myśli Cezara.

Arystommachus.

Jeśliś był ciekawy zażaleń naszych, trza było do nas zawitać przed rokiem. — Wtedy bylibyśmy rozprawiali z sobą — ale dziś, Greku, kto jął się oręza, ten zapomniał się skarżyć — kto grozi ten nie odpowiada, ale rozkazuje. — Przechodząc, widziałeś wszystkich stojących w zbrojach, gotowych do pochodu! Innej odpowiedzi nie otrzymasz odemnie!

Irydion.

Czy tak samo i Lucius Tubero myśli?

Tubero.

Chociaż mój popędliwy towarzysz lepszy do szeregu niż do mównicy, jednak, Irydionie, do jego słów w tej chwili mało co mam dodać. — Przypomnisz tylko od nas Imperatorowi, żeśmy długo prośby nasze podawali bez żadnego skutku — że obceanego amfiteatru nie raczył nam wystawić i że należnych nagród nie rozdał. — Odemnie przypomnisz Imperatorowi, że ojca mego do przerżnięcia żył sobie w kąpieli, że córkę

Poprawił trochę pomięty kołnierz wielki sokolnik, otarł rękawicą buty, wziął do ręki czapkę z czaplemi pióry, przypasał pałasz leżący na stole i udał się do Władysława Hermana; niezadługo potem wróciwszy, wprowadził Biskupa do króla polskiego, który spoczywał na łożu słoniowem, bogatą pokrytem makatą, i ciężkie kołnierz boleści ciąglemi modły.

Ledwo wszedł Biskup do pokoju, aliści Władysław powstał i opierając się na rękę, zawołał:

— Co się stało ze Zbi... — i zatrzymawszy się — Wszebor, Mieczysław co robią? Ale czegoż mam ukrywać słabość moję? Zbigniew, Zbigniew! Co się ze Zbigniewem stało, kapłanie?

— Królu i panie mój, Zbigniew jest w swoim zamku. Tam go przynajmniej zostawiłem.

— Cóż mówił? cóż zamyślał, Biskupie? czy nie ranny? czy zdrów? — zapytał król, zapominając o tem, że Stefan nie był walce przytomny.

— Staralem się — odrzekł Biskup — namową odprowadzić go od nieszczęśliwych wojen, wystawiałem mu wszystko co sądziłem być zdolnem do wzruszenia jego serca, ale chęć sławy, namiętność do bitew przemogła nad moje rady i teraz zapewne bój się już toczy.

— Twoja to wina, krwi pragnący kapłanie — zawołał król w rozpacz — tyś mię przymusił wydać rozkaz Sieciechowi do bitwy. Tyś uzbroił moję rękę na syna, ty wyzuty z najmilszych uczuć, rozerwałeś, rozszarpałeś moję duszę, tobem winien strapienia, zgryzoty, a wkrótce może i stratę syna. Stefanie, gdyby nie twoje namowy i groźby, teraz może przy Zbigniewie doznawałbym najżywszych miłości ojcowskiej wzruszeń. Nie musiałbym się co chwila obawiać o śmierć mego dziecięcia, co chwila wyobrażać sobie podniesione nań miecze, lub utykające w jego piersiach strzały. Użyłeś za narzędzie swoich zamiarów, słów Boskich. Pogroziłeś mi piekłem, obiecywałeś zbawienie; gdzie to zbawienie, kapłanie? gdzie ta nagroda

sprawiedliwości? Może nazwiesz nagrodą żal zapełniający mój umysł, boleść przerażającą me serce, przerażenie ściskające wszystkie moje siły. Tyś wszystko pogmatwał, tyś wszystko na złe obrócił, a teraz jeszcze jak duch piekielny przychodzisz urągać z twojej ofiary.

Wytrzymał tę burzę Biskup z największą spokojnością od początku do końca, nareszcie kiedy król przestał mówić i opadł na łożo, z uroczystą ozwał się powagą:

— Panie mój miłościwy, widzę z żalem jak daleko szlachetne i chlubne twego serca przymioty mogły cię unieść, wszystko ma przeznaczone dla siebie granice, a miłość ojcowska nawet ich przekraczać nie powinna. Dla przywar i występków syna, nie godzi się cały naród poświęcać i poddanym krzywdy wyrządzać. Nieszczęście zesłało na twoją głowę trudne do zniesienia ciężary, bo przyznaję, że syn nieposłuszny i nieodpowiadający staraniom ojca, najboleśniejszym jest ciosem; możesz go żałować, możesz oplakiwać jego błędy, ale nigdy im pobłażać, kiedy jeszcze tyle dzieci innych, poddanych przez Boga twojej opiece, woła o sprawiedliwość. Wspomnij, królu, na tego patriarchy szanownego sędziwym wiekiem i tyloma cnotami, wspomnij na jego syna tak różnego od dzisiejszych synów, tak pobożnego ku Stwórcy, tak posłusznego swojemu rodzicowi. A jednak ojciec za rozkazem Pana Niebios, nie wahał się wznieść noża ofiarnego na głowę niewinną swojego dziecięcia. Porównaj jego położenie z twojem, jego poświęcenie z własną słabością. Królu Lechii, zbierz siły i mocny otuchą, że Bóg sprzyja cnotcie, przestań narzekać na Niego, schyl głowę przed sądami Stwórcy i posłuchaj rad moich, posłuchaj jaki sposób wynalazłem do uratowania Zbigniewa, do pogodzenia go z Mieczysławem.

— Jakiż to sposób? — zawołał król, który przestraszony już własną śmiałością, gotów był błagać o przebaczenie Biskupa. — Jakiż to sposób, święty

Boga pomazańcze? Daruj mi niebaczną mowę. Uniósł mię gniew niesprawiedliwy, bezbożny, ośmieliłem się powstać na człowieka Bożego. Zapomnij o tem, Biskupie płocki. Król Polski przeprasza ciebie i zarazem Boga, którego jesteś pośrednikiem na ziemi; powiedz co odkryłeś na wyratowanie Zbigniewa, na ocalenie syna mego i ojczyzny razem.

— Miłościwy mój panie — odparł Biskup — twoje uniesienie już z mojej uszło pamięci, człowieka słabość ustąpiła przed uszanowaniem winnem memu monarsze. Byłem w zamku Zbigniewa, widziałem przygotowania do bitwy, widziałem twarz jego zachmurzoną żalem i wyrzutami sumienia, ale źli doradcy, ale szatan wszędzie mu towarzyszący, ten rycerz niemiecki, odwiedli jego kroki od cnoty i sławę, o którą się ubiega, wskazali mu wpośród zbrodni i morderstw. Bóg nieprzebrany w litości może go jeszcze nawrócić do Siebie, spoglądałem nań z uwagą, kiedy mi przyszło twe imię wymówić i dostrzegłem na licach uczucia skołatanej duszy, nazwisko ojca go wzruszyło, pamięć na ciebie wprawiła w wahanie i mam słuszne przyczyny do wnoszenia, że gdyby lzy twoje ujrzał, zapomnienia usłyszał, dobroć poznał, wtenczasby się rozczulił i dla ojca odrzekł się niegodnych związków i niegodnych czynów.

— Biskupie — rzekł król słabym głosem po chwili namysłu, podczas której zdawało się, że sobie coś przypomina — kocham go nadewszystko, ale dobrze pamiętam jak niedawno temu zaparł się przede mną występku swego, jak dał słowo, że nic nie wie o porwaniu Hanny. Syn, którego wychowałem, pieściłem w dzieciństwie, który nieraz spoczywał na mojem łonie, obrócił się przeciwko mnie samemu, oszukał moje dobroć, ufność zdradził, przysięgając, że nie spełnił zbrodni, do której wszystko go teraz zmusiło się przyznać. Ile razy mówiłem mu dawniej, Zbigniewie, jeśli co złego popelnisz, przyznaj się ojcu; u niego poble-

zanie i miłość znajdziesz. Chytrzy, fałszywi przyjaciele namówią cię do jakiego występku, nieostrożny wpadniesz w przepaść, ale on cię z niej wyrwie, jego wyrzuty ciebie straszyć nie powinny, bo zawsze wśród nich przebaczenie rozeznasz, ale odstąpił teraz Zbigniew ode mnie, zasiadł w swoim zamku pomorskim i otoczył się cudzoziemcami. Donosili mi przyjaciele o gwałtach i zdzierstwach, które popełniał. Wierzyłem czasem, najczęściej miłość ojcowska mnie zaślepiała, ale nareszcie przekonałem się o mojem nieszczęściu, rozerwana zasłona spadła mi z oczu, zniknął cel moich starań i najdroższych uczuć, a został zbrodniarz. Ach! syn mój zbrodniarzem!...

Biskupie, ty tego nie czujesz, tyś nigdy nie miał dzieci, tyś nie patrzył na młode ich lata okiem pełnem nadziei, tyś nie pielęgnował tej młodej latorośli, tyś jej nie okrywał cieniem własnych gałęzi i nie czujesz teraz jak ona się wzniosła, okrążyła pień zestarzały, nie czujesz jak codzien pnać się do góry, coraz mocniej go obejmuje, ściska i przytłumia. Poświęciłeś się Bogu, a żadna myśl ziemską nie przerwała spokojności twej duszy. Ale prawda jest, że grzech daje zawsze grzechowi początek. Grzech go na świat wydał, a zbrodnia przyjęła jeszcze w powiciu i napiętnowała cechą zniszczenia i zaguby. Ach! jakżem nieszczęśliwy, Biskupie!... — tu oddech przerwany zatrzymał Władysława. Załamał ręce i wzrok wlepił w Stefana, który z trudnością łzę wstrzymywał w oku.

— Nie opuszczaj się tak, panie mój — zawołał Biskup — i jeśli ziemia dla ciebie zdrajców tylko wydała, jeśli świat znikomy zawiódł twoje nadzieje, Niebo ci się zostaje, otwarte są jego bramy przed skruchą i zmartwieniem.

— Niebo, ach Niebo! — odrzekł król Polski — tak, Niebo, ale nie będzie tam Zbigniewa. — I zalał się rzewnym płaczem.

— Może Bóg pozwoli!...

— Nie, ach! Bóg jest sprawiedliwy, przebrała się miara jego przestępstw. Morderca, zbrodniarz, zatruwający starość ojca, walczący z bratem, nie znajdzie wstępu do przybytku cnotliwych.

— Królu mój miłościwy, czas upływa, chwile nam drogie na narzekaniach przepędzamy, Władysławie Hermanie królu Polski...

Ale nadaremo głos Biskupa odbijał się o głuche sklepienia, bo już nie dochodził do uszu przygniecionego strapieniami ojca.

Zaważł oczy Władysław, sine plamy lica mu pokryły i zdawało się, że już żelazna ręka śmierci cięży na nim.

Przerażony biskup zawołał na Wolimira. Ale wielki sokolnik niespodzianie zaskoczony, musiał znów odzież poprawić, pukiel czarnych włosów schować i przerywając swoje dumania, wybrać się do pokoju królewskiego; kilka chwil uszło nim odpowiedział na głos Stefana, kilka drugich upłynęło nim porwał sokoła. A kiedy stanął u drzwi komnaty, niebezpieczeństwo Hermana doszło do najwyższego stopnia.

— Rzuć niepotrzebnego ptaka i pomóż mi ratować swego króla i pana, opieszaly sługo — krzyknął Stefan, podnosząc głowę monarchy.

— Nie tak opieszaly jak ci się zdaje, szanowny Biskupie — odparł Wolimir — i wyjąwszy z sukni flaszkę napełnioną mocnym płynem, zaraz króla zaczął ocucać, opowiadając Stefanowi, że jeszcze nad brzegami Sekwany, które kiedyś odwiedzał, uzyskał był od damy dworu królowej francuskiej ten upominek, nieodstępujący odtąd nigdy jego piersi a wielce w tej chwili przydatny Władysławowi, bo po chwili wolniej oddychać zaczął, podniósł głowę, otworzył oczy i niezadługo potem pożegnał sokolnika, dziękując za ratunek i mówiąc, że chce sam na sam z Biskupem zostać.

— Lepiej, żebym już zginął — rzekł do Stefana — tak spokojnie, tak cicho w mojem sercu przez kilka

chwil było, a teraz wrócony życiu znowu czuję i widzę moje nieszczęście.

— Stałość i moc duszy powinna znamionować tych, których Bóg za władców ziemi przeznaczył — odpowiedział Biskup. — Królu, dosyć już czasu strawiliśmy na płaczach, przystoi nam pomyśleć nad zarządzeniem kłęskom krajowym i osobistym.

— Mów więc co sądzisz być do tego przydatnem, bo ja cię słuchać tylko mogę.

— Pewny jestem — zawołał Biskup — że przytomność, że głos ojca zmiękczą Zbigniewa; koniecznie rozkaż mu się stawić w tym zamku przed sobą, jedyny to sposób, innego nie upatruję, choć uważnie okoliczności z ich powodami i skutki rozważyłem. Wśród burz namiętności, wśród uniesień szału zapalczywego, jeden tylko głos przyrodzenia powstać i utrzymać się może. Roztropność wieku sędziwego, świętość wiary, nic na hardym księcia umyśle dotąd nie zdziałały, ostatni ratunek pozostaje w tych skrytych w głębi serca uczuciach, które długo stłumione odzywają się nareszcie i często błędzącego z brzegu przepaści odrywając, w postaci bohatera pod Nieba unoszą. Tych się chwycić trzeba, te poruszyć należy, a niewątpliwie, że Zbigniew padnie do nóg ojcu i winy swe uzna.

— Dałby to Bóg. Ale jakże go tutaj sprowadzić? Nie zechce wyjść z swego zamku, Mestwin go zatrzyma. Ach! Boże, jakżeś srogo mię ukarał.

— Właśnie w tym cała trudność polega — rzekł Stefan; — twoja powaga powinna synowca na pewny czas wstrzymać od walki, a Zbigniew nie mając z kim walczyć, tu się stawi. Nie będzie on śmiał stargać świętych związków łączących go z ojcem, jak tyle innych już w życiu potargał. Trzeba kogoś wysłać do niego. W tem wybór do ciebie, królu, należy.

— Wybierz sam, Biskupie, bo mój umysł osłabły do niczego nie zdolny. Ach! Boże! Ach! Zbigniewie, ty nie wiesz co cierpi twój ojciec.

— Zdaje mi się — odpowiedział Stefan — że zdatnym jest do tego Wolimir z Moskorzewa, wielki sokolnik.

Pomyślał król przez chwilę.

— Wolimir — powtórzył — wierny jest naszej osobie, ale zbyt prędko unosi się gniewem, zbyt roz-targnionym i lekkim jest do takowej sprawy. Jego więc wyszłę do Skarbimira, tego nieoszacowanego do-radzcy, tego roztropnego...

— Przepraszam cię, królu mój miłościwy — rzekł Biskup, — że ci śmiem przerywać. Skarbimir z Gulczewa może mieć piękne przymioty, lecz na męstwie i stałości potrzebnej w takim razie zupełnie mu zbywa. Ja to mówię, królu i panie mój, nie w chęci złośliwego osądzenia bliźniego, ale powodowany gorliwością w usłudzeniu tobie.

— Mylisz się, Stefanie, Skarbimir z Gulczewa przywiązany jest do mnie oddawna. Wszystko co wie, co czuje, wynurza przede mną, a szczerze jego serce nic skrytego przed moim wzrokiem nie zawiera. Proszę cię więc, byś zawołał Wolimira. On naszą wolę i polecenia poniesie dziś jeszcze do Mieczysława i pana Gulczewa.

— Niech więc tak się stanie, jak żądasz, naj-jaśniejszy panie. Wolimirze z Moskorzewa! wielki sokolniku Wolimirze!

Tego razu drzwi się prędeej otworzyły i wszedł Wolimir, pytając króla o rozkazy.

— Opowiedz mu wszystko, święty Biskupie, bo ja nie czuję się na siłach. Ach! Zbigniew, Zbigniew.

— Wolimirze — rzekł Biskup, — król! Władysław przemasza cię do ważnego poselstwa, które odbędziesz do obozu oblegających zamek księcia Zbigniewa.

— Przedziwnie! — zawołał sokolnik — przedziwnie! Gotów jestem na wszystko. Może po drodze znajdę stado kuropatw, a mój sokół...

— Zostaw sokoła, Wolimirze z Moskorzewa, — dalej mówił Biskup i pilniej zważał moje słowa. Przybywszy, oznajmił księciu Mieczysławowi, że jego król i stryj żąda, by wojny na krótki czas zaprzestał. To samo wojewodzie krakowskiemu powiesz, Skarbimirowi zaś z Gulczewa ogłosisz wolę królewską, by natychmiast udał się do Zbigniewa i w imieniu ojca i króla zaprosił go do Płocka, na rozmowę z naszym monarchą, ręką mu, że podczas tego przeciwna strona do oręża się nie weźmie.

— Na Boga i świętego Huberta przysięgam to wszystko spełnić jak najprędzej, ale dzisiaj zdaje mi się, że już nie czas wyjeżdżać, bo zastanę wojska walczące, a głos jednego człowieka nie wróci do pokoju i porządku tysiące rozłożonych po szerokiej równinie i palających namiętnością do boju, jednak jeśli rozkażesz, miłościwy królu, natychmiast wyruszę.

— Ma prawdę za sobą Wolimir — ozwał się Władysław. — Jutro rano wyjedziesz, by tylko przed świtem jeszcze.

— Drugą uczyniłbym uwagę — rzekł Wolimir, — gdyby na to król mój i Biskup płocki pozwolili.

— Mów wielki sokolniku — było odpowiedzią monarchy.

— Nie obrażaj się, miłościwy mój panie, — rzekł więc Wolimir — jeśli ci przedstawię, że nie tak łatwo zwabić księcia Zbigniewa, osobliwie w takim stanie rzeczy. Skarbimir z całą swoją wymową nic nie zdziała i lis szlachetnego nie przyciągnie orła. Pamięć nawet na ciebie, wątpię by tyle poruszyła księcia, żeby chciał na pierwsze zawołanie ojca opuszczać swoich ludzi i obłączony zamek, zostawując przed jego murami wrzącego ku sobie gniewem brata i sławnego z dzieł wojennych Sieciecha. Zdaje mi się, że lepiejby było inaczej księcia Zbigniewa przymusić do widzenia się z tobą, najjaśniejszy panie, ale trzeba wtenczas przyczyny, którejby skutkiem było, ustąpienie jego nie-

przyjaciół z pobojuwiska. Czyby jaka zabawa rycerska, turnieje, naprzykład, tu się nie przydały? Dzień twoich urodzin, najjaśniejszy panie, niedaleki. Możemy łowy świetne wyprawić. Mnóstwo sokołów, psów, łowców, czeka na skinienie twoje.

— Dobra myśl — przerwał Stefan — i radzę ci królu, byś ją przyjął. Turniej osobliwie łatwiejszymby uczynił ich pogodzenie i świetności mu dodał.

— Kiedy tak chcecie, — odparł Władysław — urządzcie to oba; słabość, a nadewszystko smutek siły moje nadwyreżył.

— Na turnieju — dodał Wolimir — łatwo ci będzie ich pogodzić, najjaśniejszy panie, bo sława wszystko tam pobudza; gdzie idzie o sławę, nikną insze namiętności, jak przed moim sokolem, siwek, lub kobuzów stada.

— Trafne porównanie — odparł Stefan, nie mogący lekkiego wstrzymać uśmiechu — więc za sześć dni igrzyska rycerskie się otwierają.

— Tak, za sześć dni, to jest we czwartek, jeśli się nie mylę, w dzień urodzin Władysława, króla polskiego, odbędzie się turniej w mieście Płocku, na który imieniem najjaśniejszego pana, Skarbimir z Gulczewa ma zaprosić księcia Zbigniewa i Mieczysława, rozumie się z innymi także. Wszystkiego zaś ma być główną sprężyną wielki sokolnik Wolimir z Moskorzewa, wyruszający jutro przededniem, wracający wkrótce potem i urządzający podług wszelkich prawideł rycerstwa ów turniej, który pogodzi rodzinę królewską.

Po tych słowach głęboki oddał panu swemu pokłon i wyszedł z komnaty.

— Pierwszym warunkiem zaś będzie w tym turnieju — ozwał się Biskup — ażeby ani Mieczysław ani Zbigniew doń się nie mieszały, a kiedy wszyscy zabawą zajęci ubiegać się będą o chwałę, znajdziesz czas, panie i królu mój, do pomówienia z jednym

i drugim, do zbliżenia serc rozjątrzonych i załagodzenia sporu. Wiele ci zapewne trudu stąd wyniknie, ale pamiętaj, miłościwy panie, że to jedyny w tej mierze ratunek.

— Zrobię to, zrobię — odpowiedział Władysław — poświęcę się dla Zbigniewa, nie opuszczę syna w potrzebie, synowca uratuję, pokój, cnota...

Chciał dalej mówić, ale osłabł nagle, spuścił głowę na piersi i zalał się łzami, a kiedy Biskup pocieszać go zaczynał, rzekł:

— Zostaw mnie teraz, szanowny Stefanie, udam się do modlitwy, która może zgoi ciężkie rany.

Kapłan szanując tę pobożność, opuścić go w milczeniu, odchodząc nie omieszkał powtórzyć Wolimirowi raz już danego zlecenia.

— Zobaczysz, szanowny Biskupie, jak pięknie się sprawię — zawołał wesoly sokolnik. — Nie znam się na locie ptaków ani na łowach, jeśli nie pogodzimy tych młodzików; poselstwo z przykłądną powagą odbędę: Skarbimirowi męstwa natchnę w serce, co najtrudniejszym będzie ze wszystkiego. Ale na wszystkie sokoły w Polsce, zapomniałem, że mi jutro przed wschodem słońca wstać potrzeba, i że się nie wywczasowawszy mogę zasnąć w obozie i źle się spisać. Więc żegnam cię, Biskupie i zabieram się do spoczynku, w tej komnacie noc przepędzę, gdyż dzisiaj jestem, jak to najczęściej się zdarza, na służbie.

To mówiąc, obwinał się płaszczem i usiadł w szerokim krześle...

— Gdyby król mocno zasłabł, natychmiast każ mi o tem donieść Wolimirze — były ostatnie słowa odchodzącego Stefana, ale podobno ich wielki sokolnik nie słyszał, gdyż snem twardym ujęty, marzył już o sokołach i puklach dziewiczych.

ROZDZIAŁ XII.

Oj nie bardzo sobie życzę
Oglądać jego oblicze.
Gotów w zapale wściekłości
Wszystkie potrzaskać mi kości.

Piosnka gminna.

— Stój! jakie hasło? — krzyknął żołnierz stojący przy końcu obozu rozwiniętego przed murami Zbigniewa, na człowieka, który jeszcze przed wschodem słońca na rozpędzonym przybiegał koniu.

— Stój powtórzył — jeśli nie chcesz z życiem się rozstać... jakie hasło?

— Na wszystkie sokoły — odparł jeździec — nie znam twego hasła, puszczaj mnie, bo na Boga, spieszyć się muszę.

— Stój! — groźnie po trzeci raz ozwał się żołnierz i pikę w pierś konia skierował.

— Do szatana, na piekło i belzebuba, człowiecze, co robisz! przybywam od króla Władysława, puszczajże mnie, bo na wszystkie orły gór karpackich, niemiłem ci będzie moje przywitanie. Czyż nie znasz wielkiego sokolnika Wolimira z Moskorzewa.

— Nie znam, tak jakem Michał z Jarłuty — krzyknął zawzięty żołnierz — i choćbyś tu godzinę mi wyliczał swojej godności imiona, nie puszcę cię, nim mi hasło powiesz, lub przez moje ciało przejedziesz.

— Piekielnieś uparty, Michale, przysięgam ci, żem Wolimir, król nasz Władysław, o którym już musiałeś słyszeć, przysyła mnie do księcia waszego.

— Nie łudź mnie napróżno — odmruknął strażnik — bo nic dla ciebie uczynić nie mogę.

Podczas tego sporu, kilku innych żołnierzy zgromadziło się wokoło towarzysza, chwając głośno jego pilność i ostrożność; na nieszczęście żaden nie znał Wolimira, bo właśnie wielki sokolnik trafił na hufce

Wszebora, które niedawno z Ciechanowa przybyłe, nikogo w Płocku nie znały.

Tymczasem chmury okrążające Niebo poszły w rozsypkę na wszystkie strony, i oświecone najżywszemi farbami, zdawały się w uszanowaniu czekać wschodu słońca. Dzień coraz się jaśnieszym stawał. Lały się potoki ognia na błękitne sklepienia, a wreszcie gwiazda światłości ukazała się w całym przepychu złotych i purpurowych promieni. Ten widok podniecił gniew sokolnika.

— Do diabła, spóźnię moje przybycie; co król, co Biskup powiedzą! Żołnierzu, puść mnie natychmiast, bo przysięgam, że zdrowo nie wyjdiesz z tej sprawy, puszczaj, bo cię zwałę pod końskie kopyta.

— Precz stąd, zuchwalcze — zawołali wszyscy, ujmując się za towarzyszem, ale zniecierpliwiony Wolimir spiął rumaka i rzucił się pomiędzy tłum żołnierzy; z początku odstępili, ale potem ścisnąwszy swe koło, zatrzymali wielkiego sokolnika, który widząc, że trzeba się chwycić ostateczności, dobył oręża, ale nie ochroniłoby to go od grożącego niebezpieczeństwa, gdyby głos w tej samej chwili usłyszany nie zatrzymał dzikich wojowników.

— Co to znaczy? niech każdy wraca na swoje miejsce, precz stąd żołnierze! — i ukazał się Jarosz z Kalinowy, który na szczęście Wolimira nadszedł przypadkiem w tę stronę.

— To szpieg, do zdrajca, powroza! powroza! zawlec go do najbliższego drzewa.

— Do stu tysięcy strzał i luków, precz mi stąd motłochu! — krzyknął Jarosz. — Natychmiast cofnęli się żołnierze, a Wolimir podziękowawszy dobrze sobie znanemu towarzyszowi wojewody krakowskiego, poprawił go, by go zaprowadził do namiotu księcia Mieczysława.

— Ale jakim sposobem to się zdarzyło, wielki sokolniku? — rzekł Jarosz — prawda, że to wieśniacy, chłopci, ci żołnierze z Ciechanowa, my co innego,

przecie zawsze stoimy zimą i latem w królewskim zamku.

— To mówiąc, pokręcił węża i uklonił się Wolimirowi, który obtarłszy zakurzoną odzież, z wytworoną postawą, gotował się iść do księcia.

— A cóż chcesz — odpowiedział — przybyłem tu, a kiedy nikt mnie nie znał, chciałem się z nimi zapoznać. Lecz ponieważ i wielcy sokolnicy nic nie mogą przeciw tysiącom poradzić, zapewniebym bez twojej pomocy życie i urząd postradał. Ale kiedy to wszystko teraz w żart się obróciło, macie moi przyjaciele — i rzucił z obojętnością pańską, niedawno zawziętym na siebie, garść pieniędzy. Poczem oddalił się z Jaroszem, poprawiając podczas drogi bogaty pas, na którym wisiał pałasz i kołnierz szerokiego płaszcza, spiętego słabą klamrą, którą jak to opowiadał Jaroszowi, w Paryżu na turnieju był odebrał z rąk niezrównanej piękności.

— Król Filip wtenczas siedział — ciągnął dalej — na tronie, a wszystkie dziewice Franków, wszystkie róże Prowancyi zgromadzone, patrzyły na nasze igrzyska i gonitwy; pamiętam, jak gdyby to się dzisiaj działo, żem zważył z konia Engerranda de Mortemar, wielkiego koniuszego króla, a oklaski wszystkich i wieńce z kwiatów spadały na mnie cudzoziemca, z dalekich krajów przybyłego. Był jeden wieniec droższym mi od wszystkich, bo rzucony ręką Eleonory de Montmorency...

— Już jesteśmy u namiotu księcia Mieczysława — przerwał mu Jarosz, który pierwszy raz słysząc o Paryżu, królu Filipie, Engerandzie i Eleonorze, nie wiedział czy te osoby na ziemi lub na księżycu przesiadują...

— Szkoda, że nie trochę dalej go książę wystawić kazał, bobym ci mój opis dokończył, ale teraz muszę cię pożegnać.

Po odejściu towarzysza, przez chwilę stał przed szerokim namiotem wielki sokolnik i dał znak żołnie-

rzowi pełniącemu tam służbę, by go jeszcze nie wprowadzał; wyjąwszy pałasz z pochwy, przeglądał się w jego klindze czystej jak kryształ, która nieraz podczas boju lub łowów za zwierciadło mu służyła. Zadowolony z własnej postawy, z ułożenia włosów i całego stroju, postąpił dalej i wszedł do namiotu, w którym właśnie odbywała się narada wojenna złożona z księcia, wojewody, pana Ciechanowa, Skarbimira z Gulczewa i wyniesionego świeżo na godność rycerską Henryka z Kaniowa.

— Witam cię książę i was panowie, z życzeniem jak najlepszego dnia, nie opuszczając najpiękniejszych nocy. Zapewnieście trochę zdziwieni mojem przybyciem; przysłał mnie najpotężniejszy i najjaśniejszy Władysław I. król polski.

— Witamy cię nawzajem — odparł Mieczysław — i niezmiernie nas uciesza twoja przytomność. Jakże się mój stryj miewa? Jakież są jego rozkazy?

— Co do pierwszego odpowiem, że nie najlepiej. Co do drugiego, to właśnie będzie następnej mowy przedmiotem, mowy, którą proszę słuchać z uwagą, tak jak gdybyście własnego monarchę słuchali, gdyż jego wolę wam oświadczę. Wstęp do tej mowy krótki i zwięzły, składa się z tego, że mnie król Władysław przysłał. Osnowę zaś dzielę na trzy części.

W pierwszej ogłaszam wolę króla polskiego, zawieszenie broni, sześć dni trwać mające.

W drugiej oświadczam, że w przyszły czwartek, w dzień urodzin najjaśniejszego pana, odbędzie się turniej na rynku Płockim, na który zapraszam imieniem mego króla i pana, księcia Mieczysława, Sieciecha wojewodę krakowskiego, Wszeborę pana Ciechanowa, Skarbimira pana Gulczewa i Kościelca, i wszystkich którzy tam zechcą się stawić.

Przystępuję do trzeciej i ostatniej części, w której pozostaje mi powiedzieć Skarbimirowi panu Gulczewa i Kościelca, że go król Władysław przeznaczył do

świątecznego i chlubnego poselstwa, które ma odbyć natychmiast do księcia Zbigniewa, żeby go zaprosić na turniej i ogłosić mu zawieszenie broni, po którego upłynieniu, jeśli zechce, znów rozpocznie wojnę.

Domówienie należałoby teraz uczynić, ale na wszystkie dziewice Prowancyi przysięgam, że nie czuję się więcej na siłach, i że dobre śniadanie najlepiejby temu zaradziło.

— Żart przedziwny — rzekł Skarbimir drżący ze strachu.

— I ja tak sądzę! — zawołał Mieczysław.

— Wielki sokolniku, ja dodam, — rzekł Sieciech — żeś źle się wybrał z takimi żarty.

— Na wszystkie sokoły i orły, na wszystkie czarne i błękitne oczy, na krucze i bursztynowe dziewic warkocze, na ten pałasz u mojego boku, na wszystkie turnieje całej Europy, nareszcie na przedmiot moich myśli i miłości, przysięgam, że prawdę powiedział.

— Dajże już pokój — ozwał się Wszebor — bo wprawisz w nas mniemanie żeś oszalał, lub zanadto winem...

— Przysięgam słowem rycerskiem, że przysłany od króla, i że wszystko com wam powiedział, pochodzi z woli najjaśniejszego pana Władysława Hermana króla i władcy mego, a ktokolwiek poważy się o tem wątpić, przekonanie o prawdzie słów moich znajdzie na ostrzu tego miecza.

— Wierzę teraz! — krzyknął Mieczysław, zrywając się z siedzenia. — Ale cóż się stało mojemu stryjowi? czy sądzi, żeśmy dzieci na zabawę wypuszczone, z której muszą wracać za rozkazem nauczyciela? Nie, na Boga, dopóki Hanna w tych murach będzie, dopóty i kroku stąd nie ustąpię.

— Gdzież ja mam iść do Zbigniewa? — rzekł Skarbimir — do takiego okrutnika, do człowieka przeklętego przez Biskupa, jego oddech, jego słowa skażą moją niewinność.

— Jeśli tylko o twoją niewinność idzie — przerwał Sieciech — dawno po niej śpiewano *requiescat in pace*, nie masz się czego obawiać. Ale do pioruna, niejesteśmy niewolnikami; kto nas przymusi, a przynajmniej kto mnie przymusi stąd odstąpić, kiedy nie taka będzie moja wola?

— Róbcie co chcecie, moi przyjaciele, — zawołał Wolimir — bylebym z głodu nie umarł; jeszcze noc była kiedym wyjechał, wszyscy spali i nic nie mogłem dostać do jedzenia. Książę Mieczysławie zginę, jeśli...

— Lassoto — rzekł książę do stojącego pazia — każ przynieść śniadanie dla wielkiego sokolnika.

— Posłuchajcie mnie — zawołał wtenczas Wszebtor. — Dobrze umiem oceniać przyczyny powodujące naszym królem i panem. Chce on pokój wrócić, spór załagodzić i wstrzymać krwi rozlew. Jeśliście wierni poddani, winniście mu być posłusznymi.

— Jeśliście dobrzy Polacy, wasze serca z jego rozkazów cieszyć się powinny — rzekł Skarbimir. — Ale niech kto chce idzie do Zbigniewa, ja zaś nie myślę.

— Przysięgam na mój topór! — krzyknął Sieciech — że nie kto inszy, ale ty pójdziesz. Kiedy my dla posłuszeństwa broń ulubioną składamy, boje najmilsze porzucamy, ty możesz kilka kroków zrobić, i jeśli nie orężem, to językiem ojczyźnie się przysłużyć.

Zamilkł podskarbi i siadłszy w kącie, polecał się Świętym i Aniołowi Stróżowi.

— Przez sławę i zwycięstwa mojego ojca! — zawołał Mieczysław, wpadając w gniew niezwykły sobie — pierwiej te mury ode mnie na turniej się udadzą, kiedy idzie o życie, o sławę Hanny. Król każe mi się bawić, kiedy każdym uderzeniem mogę wroga zamordować; będę musiał siły wycieńczać dla przypodobania się królowi i dworzanom, kiedy serce moje ledwo mi z piersi nie wyskoczy; sześć dni trzeba będzie przepędzić w spokojności, dać czas Zbigniewowi do uzupełnienia zbrodni. Nie, przysięgam...

Alboin.

Już wrócili zatrzymawszy jeden wodociąg za miastem, a w mieście fontannę Galby i źródło Manliusza.

Masynissa.

W nocy stanowisko twoje będzie u sadzawki Nerona — pamiętaj czynić powinność, na którą przysiągłeś.

Alboin.

Nie ma co przypominać — wioskę hordy mojej cesarz Karakalla spalił nad brzegami Renu — mnie kazał służyć i dosłużyłem się wreszcie dzisiejszej nagrody! Odepchnę, żeby ślepego starca z wiadrem, żeby drobne chłopię z rączką wyciągniętą po kroplę wody.

Masynissa.

Dobrze mówisz. — Błogosławieństwo starca nie zaszkodzi tobie.

Verres (do Masynissy.)

Proszę cię, spojrzuj — serce mnie boli z oczekiwania.

Masynissa.

Pusto już wszędzie. — Jeden Scypion tylko leci na koniu.

Wszyscy.

Skąd?

Masynissa.

Od Kuryi Hostylli — teraz jednym skokiem przepadł wśród pałaców.

Pilades.

Może panu naszemu trza ruszyć na pomoc?

Masynissa.

Nic nie słyszycie?

Wszyscy.

Nic — nic.

Irydion.

Alboin.

Jakiś niedobitek dźwięku krąży w uchu moim.

Masynissa.

Ja wam mówię, że tętnią kopyta.

Verres.

Coś takiego — coś takiego.

Pilades.

Patrzcie. — On, on się wydobył.

Verres.

Teraz obelisk i portyk go przesłonił.

Alboin.

Jak strzała przebił na wylot świątynię.

Masynissa.

Scypionie!

Głos Scypiona.

Zwycięstwo!

Chór.

Niech żyje wnuk Afrykanina!

Głos Scypiona (na wschodach.)

Nie traćcie czasu — słońce już w kałuży krwi tonie za Tybrem — z lochów wynieść pnie i gałęzie cyprysów i nim wejdą gwiazdy, stos z nich ułożyć nad domem.

(Wchodzi.)

Verresie, Masynisso, przyjaciele, nie ma już senatu!

Pilades.

A pan mój gdzie?

Scypio.

Udał się do pałacu Cezarów, by straż pretoriańską obejrzeć. — Za chwilę ujrzycie go tutaj!

(Do niewolników wchodzących z drzewem i konwiami.)

Tu, pośrodku — między Minerwą Ateńską i Dianą z Efezu — a każdą warstwę przysypać korą aloesu, polać zdrojem nafty!

Masynissa.

Lubię głos twój, Luciuszu! Mów nam jakoś braci wypędził z siedzeń kurulnych.

Scypio.

Irydion samotwór ze mną wszedł do kuryi. — Siedzieli spisani ojcowie jak za dobrych czasów — posąg Heliogabala leżał na ziemi z głową przy stopach, z rękoma u szyi, a Volero starszy nogę parł mu piersi i przemawiał udając Katona!

Verres.

Syn kupca.

Scypio.

Umilkł też jak Greka zobaczył, bo na czole Greka noc posepna, jakby noc wieków przeszłych, leżała w tej chwili. Maksymin Uxor zapytał jakim prawem znieważamy progi senatu — na to syn Amflocha oparł się o podstawę filaru i ręce założywszy na Meduzie pancerza rzekł: — Rozejdźcie się i miasto opuśćcie. — Wrzaski zagłuszyły te słowa. — Kapłan Jowisza Ventidius krzyczy na liktorów — inni porywają się z krzeseł i dobywają sztyletów. — Irydion wtedy ozwał się szydząc mroźnym głosem: — W przybytku, gdzie ojcowie wasi potępili Grecyę, shańbię was na zawsze, jeśli mnie nie usłuchacie. — Volero rzucił się z pod mównicy, ale sztylet jego zśliznął się na zbroi Greka i sam padł u podnóża Kaliguli, na ostrym węgle rozkrojne czoło krwią plusnęło i zemdłał senator. — Grek nie raczył nawet dobyć miecza, obrócił się ku mnie: — Oddaję ci ich, Scypionie — i klasnął — nasi drzwi ze spiżu wyrwali, liktorów przeparli, runęli do kuryi — przed ostrzami ich mieczów ustępowali ojcowie — kto się opierał, ten leży obok Volerona, — kto mógł, wyskoczył bocznemi ujściami — ucie-

kając, świadczyli się Jowiszem, a ja zwycięstwem pod Zamą, Verresie!

Verres.

Ach! mnie tam nie było.

Masynissa.

Uspokój się — za to dziś w nocy zasiądziesz do lepszej biesiady.

Chór.

Oto pan nasz idzie — głos jego słyszymy.

(Wchodzą Gladiatory — za nimi Irydion.)

Pilades.

O synu Amfilocha, tyś nam wrócił cały.

Irydion.

Wstań, dobry mój Piladzie — dzięki tobie.

Ha! stos już wzniesiony, tylko, nie ma całuna z amiantu dla popiołów Romy. — Witajcie mi wszyscy. — Starcze, rozdałeś rozkazy?

Masynissa.

Stało się według życzenia syna mego.

Irydion (siadając przy Masynissie.)

Odpocznijmy chwilę, zdejm mi szyszak Piladzie. — Luciuszu.

Scypio.

Słucham, wodzu.

Irydion.

Zważaj pilnie na każde słowo, iżbyś je zapamiętał i strzegł jak zemsty swojej. — W ogrodach pałacowych stali pretoryanie w nieładzie i przerażeniu, jedni pijani, drudzy bez oręża, inni bez znaków centuryi swojej. — Dałem im się wykrzyzczyć — a kiedy ucichły gwary wzniosłem rękę moją — na widok pierścienia niebezpieczeństwo gorejące pojęli. — Trybuni otocza mnie i pytają się — krótko przemówiłem —

rzezańcy Syryjczyka znieśli pełne misy srebra — przysięgi straszne z ust wszystkich zagrzmiały — aż do ostatniej kropli — aż tchu nie stanie — i inne na dzisiaj dobre, zgrzybiałe do jutra. Idź więc i obejmij nad nimi czuwanie — uprzedziłem że przyślę jednego z moich — na znak weź miecz Eutyhiana i na pomoc przybierz Gladiatorów Elsinoi. — Trzymaj ich ciągle w oczekiwaniu, mów, że za murami już widać manipule Sewera — kiedy jęk w mieście rozlegać się zacznie, mów, że to manipule Sewera. — Oni nie wyjdą na spotkanie wściekłych braci swoich — a gdyby nad rankiem nadeszli Zamiejscy, wtedy z początku ludzi Aleksandra, wynajduj jakie chcesz warunki, zrywaj je i odnawiaj dopóki cierpliwości mu stanie — a potem bij się do upadłego. — Heliogabal i Karakalla — niech będzie twoim hasłem zwodniczem. — Aż ujrzysz płomienie u szczytów Kapitolu i płomienie na Forum — poznasz wtedy, że syn Amfilocha blizki.

Scypio.

A gdyby Syryjczyk wyczołgał się z głębin pałacu i chciał pomieszać nam szyki?

Irydion.

Nad Syryjczykiem czuwa siostra moja. — Zresztą szanuj jego życie do końca, bo pretoryanie służą nam tylko dopóki on oddycha.

Scypio.

A ty gdzie się udasz?

Irydion.

Może jeszcze w nocy zawitam do ciebie. Teraz spiesz się — już zmierzch lekkie zagony rozpuścił po niebie.

(Scypio wychodzi).

I tobie czas odejść, Verresie.

Irydion.

Verres.

Za mną!

(Wychodzi z kilkoma.)

Irydion.

I Alboin w jedną drogę z nimi.

Alboin.

Do widzenia, Sigurdzie!

(Wychodzi.)

Irydion (do niewolników.)

Nie długo i wam już trzeba się wybrać. — Lecz
pierwej w dolnych perystylach zasiądźcie do przygoto-
wanej biesiady. — Ostatni raz jedzcie i pijcie w domu
moim. — Jutro ten dom się rozsypie. — Jutro bę-
dziecie zamożni wolni!

Chór niewolników.

Byłeś ojcem naszym i matką naszą — Pożywa-
jąc chleb z ręki twojej, żyjemy dotąd, a innych po
cyrkach i polach nagie świecą kości. — Jeśli który
nie wróci, nie pytaj się o niego. — On zginął dla
chwały twojej, błogosławiąc tobie!

Irydion.

Idźcie! a kiedy stos ten cyprysowy błśnie, od
świętyń, od Termów, od bram miasta, odpowiedzcie
mu płomieniem i dymem.

(Wychodzą — on wstaje i opiera się na stosie.)

Im bliżej godziny, tem srożej krew moja sza-
leje — Czy to nie fałszywe ciemności? Czy odwieczna
żądza serca mojego tych gwiazd nie wyklamała przed
mojemi oczami — nie — nie — teraz panuję tę noc
ostatnią Rzymu. — Czy widzisz, Masynisso, jak tam
skradają się męże? — W bok czy widzisz tę samotną
pochoźnię ciągnącą nad wzgórzem ogrodów? — Ach! ko-
nie zarżały! to konie Verresa — cicho, cicho ludzie moi.

Masynissa.

I pod nami dziedzińce zaczynają się wypróżniać — coraz mniej głosów — jedno zdrowie jeszcze wnoszą.

Irydion.

Imię moje rozbiło się o sklepienia.

Masynissa.

Teraz z portyków jedni po drugich schodzą i zgarbieni milczący zapadają w ciemnościach.

Irydion.

Wszyscy dotrzyмали słowa, wszyscy z domu Amfiocha idą na zgubę Romy. — Nazaarenów tylko jeszcze nie widać. — Ale Symeon przysiągł że o trzeciej godzinie sam ich przyprowadzi do mnie.

Masynissa.

Nie długo ci czekać. — Hesperus stanął już nad Kapitołem i włosy Bereniki z nad gór Sabińskich się wznoszą.

Irydion.

O nocy! nie skąp mi chmur i wiatrów — przez wieki potem świecić będziesz jasno i cicho nad rozwalinami, czas mi się ociąga — czas mi dolega, starcze!

Masynissa.

I mnie także. — Lecz ja czekam dłużej niż ty na upadek wroga i czekam w milczeniu.

Irydion.

Ach! głos twój zdał mi się głosem ojca. — Czyż w tej chwili posąg Amfiocha nie dostanie krwi i żył i bijącego serca? W ciemnościach na tem białem krześle ty mi go przypominasz.

(Idzie do niego.)

I toga Jego tak samo była zarzucona w dniu śmierci! — Daj ręce obie — wyrzecz nad głowę moją słowo opieki tak jakby on uczynił przed hasłem do boju.

Masynissa.

Niechaj znak mój będzie na czole twojem aż do końca wieków. — Przetrawsz z nim koleje, których nie obaczą te gwiazdy!

Irydion.

Miasto całe w płomieniach! — nie — tylko w źrenicy mojej buchnęły pożary. — Gdzie oni? gdzie chrześcianie? Coraz czarniej, coraz ciszej w dole — coraz wietrzniej w górze — a ich nie ma jeszcze?

Pilades (wchodzi.)

Czy mnie wołasz?

Irydion.

Nie ciebie. — Stój — czy w lochach nie odezwały się szelesty? czy od katakomb nie zbliżają się kroki?

Pilades.

Wracam z sali Amfilocha — nigdzie nic nie sły-
szałem.

Irydion.

Przynieś pochodnię.

(Pilades wychodzi.)

To być nie może — oni za chwilę tu będą.

Masynissa.

A gdyby nie przyszli?

Irydion.

Nie przeklinaj mnie. — Na nich oparta cała moja potęga. — Na ich czole zbiegnę miasto i ludowi rzymskiemu przypomnę Brennusa. — Gladiatory i żołnierze moi bez nich nie wystarczą tłumom. Jeśli mnie zdradzili, zginąłem!

Masynissa.

Dośpiewują hymnów swoich — bądź cierpliwy, synu.

(Pilades wraca z pochodnią.)

Irydion.

Zatknij nad stosem!

Koman jak Prometeusz w łańcuchach o chmurę jedną od biesiady bogów. — Czego ty milczysz! — ozwij się, Masynisso — niech żyje Hellada.

Masynissa.

Milczę, bo godzina naznaczona minęła w tej chwili i każde pióro jej skrzydeł śmiechem przedłużonym szumiało w przelocie. — Teraz nic już nie słyhać.

Irydion.

Wbrew losom i ludziom niech się stanie wola ojca mego.

(Porywa za pochodnię.)

Cześć ziemi Greckiej, cześć! a ty potrójna Hekato, przyjm tę ofiarę.

Ha! kto idzie? odpowiedz: czarne widmo. Jeżeli jesteś moim złym gieniuszem, przyjdź później. Teraz nie wstrzymasz mnie.

Posłannik.

Pokój tobie w imieniu Jezusa Nazareńskiego.

Irydion.

Tak — tak — cóż dalej? gdzie pustelnik? gdzie bracia?

Posłannik.

Symeon wzywa ciebie w rozpacz. — Na progach Eloimu Biskup zatrzymał wszystkich zbrojnych, spieszących ku miastu!

Irydion.

Dzięki ci, sługo świętych. — Patrz! zimny jestem — nie zabiję ciebie.

(Depce pochodnię.)

Ty jedna tylko umieraj!

(Do Masynissy.)

Jeśli kto z moich wróci niechaj siądzie i czeka.

Irydion.

Masynissa.

Jeszcze daleko do zorzy.

Pilades.

Panie, panie, szyszak twój.

Irydion.

By zwyciężyć dość miecza — by zgiąć nie potrzeba hełmu, — naprzód, Nazaarenie.

(Wychodzą.)

Masynissa (wstając i wznosząc ręce.)

O miasto serdeczne moje, błogosławię tobie!
O Roma, w cieniu tych ramion bądź spokojnej myśli!
— Zbawiona jesteś dla podłości twojej! Zbawiona jesteś dla okrucieństwa twego! Żyj i uciskaj — by ciało zepsuło się w mękach, a duch zwątpił o Bogu.

(Znika za stosem.)

Przybytek Eloimu w katakombach. — Wiktor na stopniach ołtarza. — Za nim kapłani i starce. — Z jednej strony klęczy Symeon z drugiej stoi Metella. — Dalej chrześcianie zbrojni na kolanach — na ołtarzu kielich święty i krzyż obwisły różami wśród palących się kadzielnic.

Wiktor.

Jako po tych dymach mdlejących tak i po was śladu nie będzie na ziemi ni w niebie. O! żeby sen wasz mógł być kamienny bez wspomnień, bez przebudzenia. Ale w przestworach śmierci wy żyć będziecie, tam gdzie zemsta Pana wiecznym gromem uderza. Wy żyć będziecie na wieki.

(Do Symeona.)

Uciekaj jak pierwszy morderca z przed oblicza Jehowy.

Symeon.

Słuchaj mnie raz jeszcze.

Wiktor.

Spojrzyj na tę niewiastę, do której się już nie odzywam, bo ręka sądu spoczywa na jej czole. — Odpowiedz. — Kto duszę tę zabił a ciału przypuścił by ono pośmiewiskiem było wśród żyjących? Czy nie poznajesz głosu opętania na tych ustach nieszczęśliwych?

Kornelia.

Czego mnie prześladujecie, kapłani ludu mego?

Chór kapłanów.

Milcz, córo buntu. — Ty miałaś być aniołem ale nie dotrwałaś do końca — potępionaś, potępionaś.

Kornelia.

On wyrzekł nademną: — Biedna — on wiedział, że hańbę będę cierpieć za niego. — Ale, o Symeonie, nie wąż. — On przyjdzie — ale, bracia nie odpadajcie od niego — on przyjdzie. Z pośród ogniów mnie wyrwał, kiedy się już klóciły o ciało moje — z pośród was mnie wybawi — on przyjdzie, on przyjdzie.

Symeon.

Wiktorze, słuchaj mnie raz ostatni. — Byłem ci posłuszny zawsze — kto przeciwko mnie świadczyć będzie? Czym dwa razy nie odbył męczeństwa, raz w lochach Antyochii, drugi raz na rynku w Tarsus? Czym lat długich nie pokutował na pustyni? Czym kiedy przełamał zakon lub zgorszył braci moich?

Wiktor.

Gorszysz ich w tej chwili chwając się jak Faryzeusz przekłety przez syna człowieka.

Symeon.

Mówię prawdę. — Kto z was głębiej rozmyślał nad męką Pańską — w kim żarliwszą miłość obudziły wspomnienia Golgoty? Sam Bóg, by świat zbawić, ubrał się w ciało — a my, by świat nauczyć nie do-

staniemże ciała? Dotąd marne duchy z nas. — Gdzie dom, gdzie kościół, gdzie potęga nasza?

Wiktor.

Sofisto koryncki, kogoż ty usiłujesz omamić?
„Królestwo moje nie z tego świata.“ Czy słyszycie?

Symeon.

Czemu opuściłem moje piaski wrzące? — Tam niestworzonego kochałem — tu niecierpię stworzonych!

Wiktor.

Synu!

Symeon.

Głos słyszany po nocach mnie pędzi. — Czyż to marne przeczucia?

Wiktor.

Tyś niedawno jeszcze był wybranym dziećciem Kościoła — a dzisiaj Pana twego chcesz ukrzyżować na nowo.

Kornelia.

Niżej czoła! słyszę odgłos z niebostąpienia!

(Irydion wychodzi.)

On to z nieśmiertelną młodością na licach.

(Do stóp mu się rzuca.)

Mówiłam im, że ty przyjdiesz, o Panie, Panie!

Chór kapłanów.

Precz stąd, kacerzu!

Wiktor.

O tej godzinie czara miłosierdzia wysycha w rękę anioła twego.

Irydion.

Krwia Rzymian ją odświeżę.

Kto przysiągł i nie dotrzymał? Symeon z Koryntu. — Kto się zgarbił do ziemi i oręż z dłoni wy-

puszcza? Wy bracia — a w mieście teraz Cezar i bogi miasta czekają tylko zmartwychwstania świętych by skonać. — Ha! zostawcie zgrzybiałych na grobach, chodźcie za mną — tam zwycięstwo, tam gwiazdę ujrzycie jaką widzieli królowie w dniu narodzenia Jezusa. — Tam Archaniołów śpiewy!

Symeon.

Hyjeronimie! Hyjeronimie, ku tobie, ku naszym nadziejom wyciągam ramiona!

Chór.

Proś Wiktora!

Irydion.

Ojcze!

Wiktor.

Dziś ojca straciłeś w niebiesiech!

Irydion.

Starcze!

Wiktor.

Siwizny mojej nie dożyjesz, bezbożny!

Kornelia (do Irydiona.)

Daruj mu, Panie. — On nie wie co czyni. — Do broni, do broni!

Iryd'on.

Ty jedna tylko, bo ciebie także opuściły losy!

Wiktor.

Syny ludu mego, patrzcie! Znak wam dany będzie abyście żalowali za winy wasze, abyście ocalili za wdaniem się pasterza waszego!

Ty pierwsza niegdyś, dziś ostatnia u Stołu Pańskiego, przybliź się. — Niech moją rękę położę na skroni twojej!

Kornelia.

Dawniej tyś miłował córę Metellów. — Czego chcesz od niej dzisiaj?

Wiktor (wznosząc puhar).

Uniż się przed Krwią Pańską!

Kornelia (obracając się ku Irydionowi.)

Uniżę się przed Panem!

(Kapłani podają wodę święconą Wiktorowi.)

Wiktor.

Duchu święty, w Ojcu i Synu poczęty! to serce obłąkane uczyn na nowo domem Twoim!

Tak jak w godzinę chrztu poświęcam skronie twoje Kornelio!

Chór.

Czyż sen ogarnia dziewicę, że zawarła powieki i skłoniła głowę?

Wiktor (do kapłanów.)

Otoczcie ją — podajcie jej ramiona!

Kornelia.

Do broni!

Wiktor.

Milcz zły duchu, który przemawiasz jej obłądem. — Znakiem krzyża opasuję ciebie — słowem Jezus rozkazuję tobie. — Kłamco, jakiegokolwiek imię twoje — jakiegokolwiek potęga twoja, wynijdź i zniknij!

Kornelia.

W piersiach sto jęków nie moich, sto jęków słyszę!

Wiktor.

Ustąp!

Kornelia.

Ratujcie mnie!

Irydion.

Tu droga, tu w objęcia moje!

Kornelia.

Ziemio, rozstąp się — ukryj mnie przed jego wzrokiem śmiertelnym!

Irydion.

Kornelio, ty moja, ty!

Kornelia.

Gdzie ona? nie nazywaj ją tem imieniem! Ona uwierzyła tobie — ona zginęła na wieki. — Ha! śmiechy, śmiechy rozrywają powietrze! czarne widma okrażają ciebie — precz — precz.

Irydion.

Rozstąpcie się. — Oddajcie mi ją — bracia, wyrwijmy dziewicę z rąk katów!

Kornelia.

Czyj to głos? słyszałam go tyle razy. — Ach! ona była prosta i szczerą — ona kochała ciebie przed laty — i ty piękny byłeś — tak — i ty mówiłeś jej: „Chwała moja twoją będzie.“

*Wiktor.**Apage Satanas.**Kornelia.*

Nie przybliżaj się, uciekaj odemnie — czy widziacie te tysiąc skrzydeł czarnych nad nim! Gdzie Bóg mój?

Wiktor (krzyż jej wskazuje.)

Tu, córko!

Kornelia.

Daj go do ust moich.

(Krzyż całując.)

Daruj mi, daruj!

Irydion.

Wiktor.

Wyrzekasz się złego ducha?

Kornelia.

Wyrzekam się.

(Pada.)

Wiktor.

Bracia, on zwiódł ją, on zwiódł was wszystkich!

Chór.

Czegoś tak zbladła strasznie, czemu powstać nie możesz?

Kornelia.

Sąd Pana dopełnia się nademną. — Umieram — ale słuchajcie, słuchajcie. — Ja w Panu umieram!

(Ciśnie się ku stopom Wiktora.)

Ojcze, pobłogosław. — Ojcze, przyciśnij do łona. — Ojcze obroń konającą — już zimno — już straszno — już nie widzę ciebie!

Wiktor.

Bądź spokojna — żal twój zbawił ciebie!

Irydion.

Oderwij się od tej piersi bez serca — do mnie, do mnie, Kornelio!

Kornelia.

Ach!

(Obraca się ku niemu.)

Przebaczam ci, Hyjeronimie. — Hyjeronimie, módl się do Chrystusa!

(Pada.)

Wiktor.

Czy ty słyszysz mnie jeszcze? Córko, odpowiedz — Kornelio!

Kornelia.

Czuje woń rosy i kwiatów.

(Umiera.)

Chór chrześcian.

Ojcze wdaj się za nami do niewidomego. — Co rozwiązesz na ziemi i tam rozwiązaniem będzie. — Ten który nas uwiódł sam blednie teraz!

Irydion.

Hańba wam! Czyż słowa niewiasty będą jedyną wiarą waszą? czy na jej rozkaz porwiecie żelazo! czy dla tego że ją zabili niegodziwi, porzucicie sprawę moją? głucho milczenie — wstyd usta wam zawarł ciężki, ciężki jak kamień sarkofagu!

Symeon.

Szatę rozdarłem — pchnij mnie. — Sen i życie niech się kończą razem!

Irydion.

Nie odzywaj się do mnie, niewolniku starców! — Ty coś ją wydał starcom! Ty przeklęty!

Wiktor.

Wyklinam cię z pośród synów ludu mojego — kto się dotknie dłoni twojej, skażon będzie. — Kto stanie by słów twoich słuchać, odrzucon będzie. — Idź. — Imię twoje było Hyjeronim!

(Wchodzi posłannik.)

Chór kapłanów.

Pan z tobą — co nam przynosisz, Julianie?

Posłannik (klękając przed biskupem).

Augusta Mammea poleca się modłom waszym, bo w tej chwili syn jej wkroczył do miasta i bój rozpoczął na forum!

Irydion.

Czas mnie ubiegł. — Ludzie mnie zdradzili.

(Wyrywa krzyż z pod zbroi i rzuca).

Oddaję wam znak życia wiecznego. — Patrzcie!
jak prysł na stopniach ołtarza! Żyjcie podli!

Kilku barbarzyńców.

Stój — słowu naszemu wierni, idziemy za tobą.
— Jezus niech nas sędzi potem!

Irydion.

Wołajcie: „Odyn i Grymhilda.“

(Odechodzą z nimi.)

Wiktor.

Módlcie się za Aleksandra Sewera — on będzie
Cezarem.

Ulice pomników przy murach Rzymu. — Żołnierze wnoszą rannego
Verresa. — W głębi czasem przebiegają uciekający.

Verres.

Twoja pochodnia dwoi mi się i troi przed oczy-
ma. — Czytaj napis, Greku!

Żołnierz (czyta.)

Diis manibus Attilii Verris, bis consulis.

Verres.

Dosyć — złóżcie mnie u stóp pradziada — i mów-
cie dobra noc, bo choć dzień blizki, nie obaczę słońca!

(Z przeciwnej strony wśród rozwalin pomnika wychodzi Irydion
z katakomb — za nim zbrojnych kilku.)

Irydion.

Zorza ta natrzęsa się ze mnie udając lunę po-
żaru. Topory oderwać, oderwać od pasów, Towarzysze!

(Idzie kilka kroków naprzód.)

Co wy za jedni, oparci na grobach?

Verres.

Czy śni się umierającemu, czy słyszę głos Iry-
diona Greka?

Irydion.

Mój własny, Verresie — co się dzieje z tobą?

Verres.

Chodź bliżej — wiesz, pamiętasz, znak miał być dany — czekałem jak zgłodniałe zwierzę, i nic, nic nie widziałem, wreszcie sam zacząłem. — Wyjrzyj za tę piramidę proszę cię, tam, tam, kłęby dymu jeszcze się wiją na lewo. Rupiliusa udusiłem w popiołach — i lud napadł nas potem, i — Sewerus niech żyje — zewsząd huczało. — Dostałem co mi kraje wnętrzości — coraz widniej, a Roma stoi dotąd — a ja ostatni z Verresów — ja pod nożycami Parki.

(Umiera.)

Irydion.

Tak, ostatni! Darmo go cucicie, Greci moje — zapłacił co był winien losom. — Uszykujcie się, i wy, Germanie, połączcie się z braćmi, których przyprowadziłem.

(Wbiega niewolnik uciekający.)

Stój! skąd bieżysz?

Niewolnik.

Od forum romanum — puszczajcie!

Irydion.

Darowałem cię niegdyś siostrze mojej. -- Tyś mi nieraz śpiewał Homera — wczoraj jeszcze zapinałeś fibule chlamidy mojej w pałacu Cezarów, a nie poznajesz mnie?

Niewolnik.

Ach! szlachetny panie mój!

Irydion.

Co słyhać — nie oszczędzaj mi bólu!

Niewolnik.

Źle, źle bardzo, panie mój, bo ledwo kawał nocy ukroczyły gwiazdy, aż tu nagle niewiedzieć skąd wrza-

snęły legie Sewera i hurmem rzucają się na wzgórze Palatynu. — Scypion bronił się wściekle. — Głos jego noc całą słyszałem gdyby wycie rozjuszonego wilka. — Wiesz, panie, na służbie ja stałem obok komnat Cezara. — Eutylian przychodził i odchodził niezmiernie blady. — Siostra twoja raz tylko wyszła i rzekła: — Euforion. — Czego żądasz boska Elsinoe? — Ale ona i słowa więcej nie mówiła — odeszła zwolna, piękna, piękna zawsze. — Ale na czole dziwna świeżość jakby tam już plusnęła fala Styxu. — Zewnątrz krzyk i łoskot coraz większy. — Eutylian nie wytrzymał, zawisnął u porfirowego ganku i woła bez zmysłów: — Grek zdradził — to znowu: — Greczynka zdradziła, — to: — Imperator chce miasto zburzyć — i: — darujcie mi Kwiryty. — Z drugiej strony Arystommacha słyszę, mówi o nagrodach, o wspaniałości Aleksandra, a kiedy umilknie wnet jęki z pod jego miecza, a kiedy odpoczywa znów ludzi naszych obietnicami — wreszcie pretoryanie się zbuntowali. — Trybunów i centurionów słuchać nie chcą — groźby Scypiona marnie latają w powietrzu — bitwa ustaje w ogrodach — wszyscy razem walą do nas. — Ja wtedy, panie, wszedłem kędy była siostra twoja, bo przysiągłem był tobie jej bronić. — Cezar leżał z obłąkanym wzrokiem, do dyadematu przypiął był nadusznice Arcykapłana, nóż ofiarniczy w jednej ręce trzymał, w drugiej czarę z trucizną; ale nie mógł się zabić i jęczał, to znów wolno, cicho oddychał, to nucił pieśń rozkoszną jak gdyby w śnie jakim dziwnym! Ona siedziała opodal na krześle złotem, okolona purpurą, milcząca. — Drzwi pierwsze, drugie, trzecie stęknęły i pękły — kroki, głosy, szczęki bliżej — zastawiłem ją ciałem mojem.

Irydion.

Daj rękę!

Niewolnik.

Włóczni dwadzieścia rozdarło zasłone, która nas od Perystylu dzieliła. — Runęli, wiódł ich Arystomma-

chus wołając — rabujcie, mordujcie. — Imperator jak tygrys podskoczył w górę i nazad ugrzązł w różach krwią oblany — wtedy przesłonili go żywą ścianą mieczów — ale potem gdzieś ręce jego widziałem — w innem miejscu głowę jego.

Irydion.

A Elsinoe, Elsinoe?

Niewolnik.

Źle, źle, panie, bo kiedy wchodził Aleksander Sewerus wołając z sił całych: — Kto dotknie się Greczynki, temu nie żyć jutro — ona sama, odchylając purpurową zasłonę, pchnęła się sztyletem. — Błysk stali i krwi strumienie — to tylko dojrzałem i słów nie wiele ostatnich utkwiło mi w pamięci.

Irydion.

Nie zważaj — nie zważaj — kamienną duszę dały mi bogi. -

Niewolnik.

— Irydionie, wroga twego nie będę kochała — i rzekła jeszcze: — Dopełniłam. — Teraz, matko, przyjm mnie do siebie — wtedy wśród tłoku pchany i odpychany potknąłem się na trupie Eutyhiana i uciekać zacząłem — po drodze spotkałem Scypiona — on ustępuje z kohortami Cherusków co jedne przejść nie chciały do Sewera. — Oto on już idzie, Panie.

Irydion.

Słońce, które wschodzisz tak obmierzle, tak jasno, odpowiedz mi, gdzie siostra, biedna siostra moja?

(Odchodzi w bok i opiera się na grobie.)

Tam na zachodzie oplakana, ostatnia mgła nocy zatrzymała się jeszcze nad szczytem wulkanu! Elsinoe, czy to ty mnie żegnasz? Matka powiadała niegdyś, że cienie lubią się kołysać na czarnych chmurach. — Elsinoe.

(Scypio wchodzi z kohortami i staje przy ciele Verresa.)

Irydion.

Scypio.

Pierwszy z nas zasnąłeś, bracie! skrzeplą rękę
niech ci ścisnę jeszcze. *Sit tibi terra levis!*

Niewolnik.

Patrz! to on wśród tych kolumbariów stoi i pa-
suje się z bólem.

Scypio.

Kto?

Niewolnik.

Czy nie widzisz? Syn Amfilocha!

Scypio.

Ach! wodzu — darmo czekałem na płomienie twoje.

Irydion.

Wiem o tem.

Scypio.

Fortuna zdradziła nas wszędzie.

Irydion.

Wiem o tem.

Scypio.

Ulpianus i Tubero gonią za nami — cóż poczniemy?

Irydion.

Czoła ku nim obrócim — krwi rzymskiej, krwi
rzymskiej jeszcze trochę, Scypionie.

Scypio.

Nie ma słabości w tobie — rozpacz drugim mie-
czem twoim.

Żyj, wodzu, bo takimi niegdyś byli Patryciusze
Romy. — Mnie lepiej zginać przy tobie, niż obalić
się na cyrku. — Naprzód!

Irydion.

Za nadzieją precz niechaj idzie i pochwa — a ty rękojęści przyrośnij do dłoni. — Śmierć Aleksandrowi! naprzód.

(Wychodzą.)

CZĘŚĆ CZWARTA.

Pałac Cezarów. — Aleksander Sewerus. — Mammea. — Ulpianus. — Dworzanie.

Ulpianus.

I czegoż jeszcze po nim spodziewać się możesz? Czyż z razu nie zwodził nas mglistą posępnością? Czyż później nie powstał przeciwko nam — jasno, nieubłagane? a teraz wdałże się w prośby, uznałże cię panem Rzymu? Wczoraj dzień cały walczył z nami, w nocy spalił dwie świątynie, popierając sprawę zgubioną, raczej jak Duch nienawistny niż jak człowiek śmiertelny — bo z przejrzenia bogów ludzie kochają się w złem dla celów swoich tylko, nie zaś dla miłości złego! Radą moją nie mieć żadnej litości — i tak już dosyć łaski twojej, żeś mu ciało siostry odesłał.

Aleksander.

Kiedy z łonem przebitem, wstrzymując jęki, gasła w moich ramionach, przysięgłem, że bratu przebaczę — i duch jej z tą obietnicą odszedł odemnie.

Ulpianus.

Inni mogą chwalić wspaniałomyślność Cezara — mnie przyszło nazwać to słabością tylko. — Juniusa za to uczcili przodki nasze sprawiedliwego imieniem, że własnym nie przepuścił synom — kto występny przebacza, ten niewinnych będzie karał kiedyś!

Mammea.

Trwaj w myśli twojej. — Miłosierdzie jest druga purpurą królów.

Irydion.

Ulpianus.

I bywa ostatnią.

Aleksander.

Konsulu, nie odmienimy postanowienia naszego — na dzisiaj taka wola nasza. — Idź i podaj mu warunki, które ci wskazałem, a jeśli wrócisz z pomyślną wieścią, obróć się do was wszystkich i szczęśliwy od Tytusa — nie straciłem dnia, rzeknę, przyjaciele moi.

Ulpianus.

A jeśli wrócę ze wstydem odrzuconej łaski.

Aleksander.

Wtedy wolny będę od słowa mego — a ty zaczniesz wywierać sprawiedliwość twoją.

(Ulpianus wychodzi.)

Sala Amfilocha. — Ciało Elsinoi na wzniesionem łożu, w białych szatach, osypane cyprysu gałązkami. — Obok woda lustralna. — Ołtarz po środku sali. — Chór dziewic płaczek. — Pilades. — Wchodzi Irydion, za nim Gladiatorowie i niewolnicy.

Irydion.

Gdzie Masynissa?

Pilades.

Nie widziałem go od chwili, w której i ty po raz ostatni widziałeś go, Panie.

Irydion.

Masynisso!

Chór.

Masynisso!

Irydion.

Dwa razy sklepienia odpowiadały za niego.

(Siada pod posągiem ojca.)

Pilades.

Starzec zdradził, Panie!

Irydion.

Nie mów tego.

(Twarz zakrywa rękoma.)

On, przyjaciel Amfilocha, on, przed którym groby pękają, kiedy je zaklnie potęgą słowa! — nie — nie — on wróci — on nie opuści Sigurda.

(Wstaje.)

Zgromadziłem was w chwili, kiedy znużone kohorty Rzymian odstępują od walki, byście wyrządzili cześć ostatnią zwłokom siostry mojej. — Ona pierwsza padła ofiarą naszej świętej sprawy — kto mnie poważa niechaj jej pamięć szanuje — kto nienawidzi Romy niechaj jej wdzięcznym będzie — kto przysiągł zginąć ze mną, niechaj błogosławi jej cieniom.

(Podnosi kropielnicę cyprysową i rzuca kropel kilka na ciało — wszyscy jedni po drugich przechodzą i to samo czynią.)

Chór niewiast.

Dotąd jeszcze straszny sternik, syn Erebu i Nocy nie zabrał cię pod czarne żagle. — Dotąd jeszcze, o Elsinoe, błędzisz z tej strony Styxu. — Ale już sztukę złota kładziemy ci w usta, byś okupiła się przewoźnikowi. — Ale już mak i miód kładziemy ci w dłonie byś uspiła Cerbera.

Chwil kilka, a pójdiesz, kędy się wiją roje umarłych jako dymy ciężkie, jako liście jesienne, pójdiesz ku sądowi Radamanta, ku płaczom i jękom. — *Salve eternum!*

Ale stopy twoje dotkną się tylko płomieni i znikome, białe jak skrzydła, uniosą cię dalej. Zostawisz za sobą miedziane progi Erebu — ognistą, siedem razy w okół Tartaru okręconą rzekę przelecisz, i słodkie ujrzysz światło i zielone gaje. — Tam spokój cichy i smętny, tam pełna czara zdroju Letejskiego czeka na ciebie, i cienie dziewic co jako ty zniknęły przed czasem, kwiatów ściętych ocalone liście. — Idź — już

sztukę złota kładziemy ci w usta — już miód i mak
kładziemy ci w dłonie. — *Salve eternum!*

(Wchodzi Euforion.)

Irydion.

Co nowego?

Euforion.

Posel Cezara i konsul o posłuchanie prosi.

Irydion.

Niech go wpuszczają.

(Ulpianus wchodzi — za nim niosą orły cesarskie.)

Ulpianus.

Jako ty niedawno do nas, tak ja dzisiaj, wrogu,
do ciebie przychodzę w poselstwie.

Irydion.

Jako wy mnie wtedy, tak ja dzisiaj wam odpo-
wiem — do broni.

Ulpianus.

Ale jednakowe słowa nie jednakowy skutek wy-
wróżą — nam przyniosły zwycięstwo...

Irydion.

Zwycięstwo! — czy już zaszedł rydwan na *via sacra*? czy już posąg Fortuny trzyma wieniec nad głowę tryumfatora? Czy kto już spędził Alboina z Viminalu? czy Scypion ustąpił z Aventynu? Ostatniej nocy, powiedz mi, kto kościół Faustyny, kto bazylikę Emiliusa w popioły rozwiął przed waszemi oczyma?

Ulpianus.

Widziałem skazanych, którzy szli na śmierć wrzeszcząc i poklaskując. — I wy tak czynicie. Tymczasem Aleksander jak dziecko swawoląc z pomysłnemi losy, ofiaruje ci pokój i przebaczenie zbrodni...

Irydion.

Może zelżonego Majestatu?

Ulpianus.

Czyż jej nie popełniłeś?

Irydion.

Majestat wasz od wczoraj się poczyna, a zbrodnia moja stara jako serce wolnych — dalej.

Ulpianus.

Imperator żąda, abys stolicę opuścił na zawsze i wrócił do Chiary. — Wprzód jednak przysięszes mu na wierność przy dymiących trzewach i co do jednego wydasz współników twoich. — Jeżeli zgodzisz się na te warunki, on, który cię może okuć w łańcuchy i rozbić na krzyżu, poda ci rękę w chwili pożegnania i zapomni...

Irydion.

Głośniej, mężu konsularny.

(Odwraca się do swoich.)

Czy słyszycie, ludzie moi? Cezar wróci mi swoje względy bylebym was spętanych jak bydłota rzucił pod różgi liktorów. Cóż mam począć, ludzie moi? Wszak prawda, zdajmy się na łaskę Cezara, wszak miło czołem rozbić się o stopy jego?

Nieśmiertelne bogi, wy, które o nas nie dbając drz. miecie na wierzchołkach Olimpu, rozśmiejcie się przynajmniej w chwili, kiedy syn Mammei hańbę przysłała mi w darze przez usta prawnika swego.

(Wstaje i zbliża się do Ulpiana.)

Prędszej skorpion usiądzie jak niewinny motyl na dłoni Cezara, prędszej piorun Zeusa prosić się go będzie: — Daj, daj tę chmurę rozedrzyć — niżli ja złożę i wydam braci moich.

Ulpianus.

Nie nalegam na ciebie, dopełniam tylko zleceń tego, który mnie przysłał. — Owszem bądź ślepy do końca i z garstką złoczyńców dni jeszcze kilka zżymaj

się na wielkiem łonie Romy — walcz za pamięć i sławę pana, którego obrałeś sobie na ziemi, a kiedy na czele swoich zasuwasz się będziesz w ciemności Tartaru, jeszcze na brzegach Styxu wołaj: — Niech żyje Syryjczyk. — A trójgłowy Cerber wtórować ci będzie.

Irydion.

Takżeś prawdy doszedł, znawco serc ludzkich. — Robak co wił się po ziemi, proch co z koturnów moich zlatywał, dłużej mi się ostały w pamięci niż jego wspomnienia. — Zapytaj się ich? czy którykolwiek odpowie, że znał Syryjczyka.

Część chóru.

Irydionowi służyliśmy tylko.

Inni.

Sigurdowi tylko.

Ulpianus.

A umarła?

Irydion.

Sam ją poświęciłem, ale nie grożbom przemocy, nie obietnicom podłości. Nie obrażaj śpiącej, która się już nigdy nie przebudzi. Ona czystsza była pod techniem tyrana, niż wszystkie wasze matki i córki.

Ulpianus.

Za kogo więc się bijesz i przeciwko komu?

Irydion.

Długie to dzieje, starcze.

Ulpianus.

Aleksander Sewerus łaskawym był zawsze na ciebie.

Irydion.

On też drobną częstką nienawiści mojej.

Ulpianus.

Mów więc kto wrogiem twoim?

Irydion.

Powiedzcie głuchemu i ślepemu, powiedzcie, o bracia, kto was odpędził od bitej drogi człowieczego rodu i przymusił stapać ścieżkami ciemności — kto od kolebki wycisnął wam na czołach znamię pragnienia i głodu — kto w latach późniejszych nie dał wam ukochać niewiasty i zasiać w świetle domowego ogniska?

Chór.

Roma!

Irydion.

Kto sam śmiertelny, w nędzy i poniżeniu śmiertelnych położył najśłodsze nadzieje — kto pochwalił syna Mitrydata kiedy rękę podniósł na starego ojca — kto zdrajców południa i zdrajców północy zaprosił na festyny swoje — kto czarę niedoli świata wychylił aż do dna?

Chór.

Roma!

Irydion.

I nektarem z łez i nektarem z krwi upił się jako Bóg piekiel?

Chór.

Roma — Roma!

Irydion.

Słyszałeś? wiesz teraz czem jestem?

Ulpianus.

Szaleńcem! To miasto od pierwszych dni swoich żyło uśmiechami bogów. — Ono było drugim fatum świata. — Czy nie wiesz, że Fortuna jak niewolnica niosąc ostatki strzaskanego koła, szła za wozem jego tryumfalnym? Czy nie wiesz, że słabi padli twarzą na ziemię; że co było upartych i wściekłych, zniknęło z powierzchni ziemi? A ty się porwałeś szczupłą siłą,

mierny zasobami, niedojrzały wiekiem, by zniszczyć Boga, którego pioruny grzmiały nad urną Hannibala i nad mogiłami Cymbrów!

Stąd widzę miejsce, na którem głowa twoja padnie pod cięciem liktora!

Irydion.

Wprzódki jeszcze pocisk Cymbra utknie w sercu twojem, topór Cheruska rozetnie pancerz Arystomacha, wprzódki jeszcze Luciuszowi Tubero niezłomnej obietnicy dotrzymam!

Chór.

Wprzódki jeszcze za każdą krzywdę naszą cza-szkę krwi wychylim — a potem, potem, przyjdą nasi dziedzice i z podziemnych dolin zagrzewać ich będziemy!

Ulpianus.

Bezprzytomni jesteście, ostatni z rodu waszego. — Tylko szal i kara wasza jeden kamień węgielny przyrzuci tym wzgórzom.

Irydion.

I na nim będzie napis pogrzebowy Romy!

Ulpianus.

Słaby śmiertelniku! ty nie przemienisz tego co mądrze i święcie opatrzyły nieśmiertelne wyroki! i komuż berło oddać miały jeśli nie miastu wytrwałości i czynów? Może przedajnej Afryce, może rozwiązłej Seleucyi, lub igrającej, śpiewającej Helladzie? nie — tam potęga się urodziła gdzie lutnia nie brzmiała nigdy, gdzie na czole zamiast wianka mirtu sprzęgały się twardej miedzi blachy, a w duszach mężów nie było rytmu ni swawoli — jedno było woła jako otchłań wrzącej siły i nad nią rozsądku powaga, niezachwianego opieka rozumu!

Irydion.

Słyszeli męczennicy narodów o rozsądku waszym. — Geniusz Romy z tem słowem na czole stanął

u progów Attala i skrzydlaty usiadł przy stopach starca, pochlebiał i łudził aż z pod zgrzybiałej ręki wyrwał zapisy Pergamu!

Z tem słowem na czole podniósł się wśród Isthmij-skich igrzysk, prosił o posłuchanie i chwalił synów Grecyi! Z tem słowem on po wszystkie czasy uwodził słabych i dusze ludzkie zabijał!

A kiedy kto uwierzył jemu, kiedy nieszczęśliwy przystał na pęta i wyrzekł się domu, ojczyzny, sławy za życia i chwały po zgonie, on wtedy śmiejąc się wołał: „Rozsądny jesteś“ i nogą spychał go z Tarpejskiej skały.

Prawdeś wyrzekł — nie — nigdy Hellada takim nie spodliła się rozumem. — Jej życie nie było rachubą, jej nadzieje nie spoczęły na kłamstwach. — Syn Latony zamieszkał w niej i opromienił ją do koła. — Na piersiach Zeusa, w cieniu puklerza Pallady leżało jej czoło upojone myślami, a morze, a lądy wiosenne, stóp jej były zakochanem podnóżem! zemsta, zemsta za nią!

Ulpianus.

Pojrzyj na ramiona naszej potęgi, wśród gromów ich pędu sława Aten, imię Sparty i Koryntu jak brzęki pszczoł giną w oddali. — One coraz sięgać będą dalej — od wschodu na zachód one spocząć nie mogą aż światu całemu stanie się na imię — Roma!

Irydion.

Ach! ty myślisz tę starą otchłań na nowo bluszczem uzielenić po brzegach, by koście ofiar i łupy kościołów i miecze wydarte zdradą, niewidziane spoczywały na dnie! Ty sądzisz, że ród bez czci i ducha przyuczysz do sił straconych i rozeszlesz po wieńce laurowe! Ty i Cezar twój błogo marzycie — jak starcy czekający na dzień odmłodnienia a dzień ten będzie śmiercią waszą.

Ulpianus.

Wodzu pożarników, technienie twoje kala powietrze cnotliwym! Zbrodnia goreje na czole twojem, opusz

czonem od bogów! na jego widok stare lata moje się wzdrygnęły.

Irydion.

Ojcze, ojcze! patrz! Rzymianin usłyszał mowę wolnych i oburzył się cały! Konsulu, odpowiedz mi jeszcze! Cóżście uczynili ze światem, od kiedy bogi złego oddały go w wasze ręce? Stoją łuki tryumfalne i bite drogi Aedyłów, na głazach zapisaliście się krwią i potem umierających! — Ach! kiedy ziemia staczała się w wasze objęcia, jak uludzona niewiasta, kołysały się nad nią dumania Platona i skrzydła Kartagi lśniły się od Gadesu po *ultima Thule!* A teraz co? odpowiedz mi, konsulu! w lochach Nazaarenów słabowite westchnienia — tu i owdzie stoików obłąkane cienie i kilka słów Aureliusa wśród żalobnego jęku boleści! Gdzie bujniej od dnia klęski naszej porosły oliwne gałązki? Gdzie pieśczoneą pieśnią, gdzie nauką mądrości ukolywały przodki twoje żale podbitych?

O wiem! August zawarł podwoje Janusa. — O zmierzchu życia grały mu lutnie przedajnymi struny — wtedy milczące pustynie, grodów na piasek rozemlone gruzy, on nazwał ciszą swoją i na mogiłach plemion rzekliście wszyscy: „Pokój synom ludzkim.“

Ulpianus.

Jako ojciec rodziny dzieci, jako Patrycyusz Plebejów, jako pan niewolników, tak my Kwiryty prowincye dostali w podzieli. — Żelazem zdobyliśmy ziemię i prawo żelaza nad nią zawieszone trzymamy.

Irydion.

Bogdajbyście łatwowiernych nigdy nie byli zwozili tem słowem. — Odwróć się ku bitnym legiom Rzeczypospolitej — czy widzisz jak pierzchają przed słoniami Pirrusa, jak korzą się pod widłami Samnitów, jak żniwem kładą się na brzegach Trazymenu, jak w hiszpańskich wawozach wołają miłosierdzia i wody,

jak w lasach hercyńskich zbladłe klękają pod nożem ofiary. — Nie lotnym gromem Aleksandra, nie krótkim mieczem waszym, ale czarą trucizny, ale garścią złota, ale krzywemi przysięgi, ale pobratymstwem zdrajców dopelzaliście się potęgi! — I orzeł Romy wylął się na bagnach nie na szczytach gór!

Ulpianus.

Darmo wołasz, bluźnierco! niewzruszona opoka, na której zgrzytasz, nie słyszy ciebie!

Odrzuciłeś więc miłosierdzie pana twego?

Irydion.

Kto panem moim? na ziemi nie znałem go. — Za stosem jak stada drapieżnych ptaków krążą geniusze śmierci — oni mi powiedzą czyj poddany jestem! Ale tu miałem wrogów tylko i braci kilku, co mi wiernie służyli — i jedną chwilę Boską — krótką jak szczęk mieczów co prysną od razu, ale świętą, świętą na wieki!

Nikt z was jej nie podzielił, towarzysze! ona mną, ja nią byłem cały — pochodnia zemsty gorzała w tem ręku. — Miasto poświęcone u stóp moich leżało, tuląc się coraz ciszej pod zawoje nocy. Ach! Nemesis.

(Opiera się na posągu Amfilocha.)

Ulpianus.

Zbladłeś.

Irydion.

Całej krwi waszej zabrakło licom moim.

Ulpianus.

Wróżbą ostrzegły cię bogi. — Ja raz ostatni z urzędu mojego przypominam ci, że wyrok zapada nad tobą — czas jeszcze przebłagać Cezara. — Roma przebacza pokornym.

Irydion.

Takążes naukę z słów moich wyciągnął! Nie odchodź, zatrzymaj się jeszcze.

Euforion, podaj mi poświęconą czarę.

Amfilochu, śnieżną pianę lesbijską wylewam na stopy twoje — przyjm pierwioski zgonu mojego — pijcie teraz, bracia, jak męże Leonidasa przed śmiertelnym świtem! Pijcie i bądźcie wolni od złej myśli!

(Zbliża się do ołtarza palącego się między posągiem a ciałem.)

Znak opiekuńczy państwa błogosławiony wróżbą Augurów i Vestalek pieniem, znak od senatu powierzony Cezarowi, tobie ojciec poświęcam i tobie, Hella-do matko!

Ulpianus.

Nie dopuście zbrodni — wstrzymajcie świętokradcę. — Jeśli jest tu jakiś obywatel rzymski, niech głos mój usłucha — życie wam darowane będzie, przysięgam na Statora i Kwiryna! Stój! zuchwalcze — w tym pierścieniu zapisane imię tajemnicze Romy!

Irydion.

Słyszeliście, bracia!

(Rzuca pierścień do zgliszcz.)

Chór.

Euge! Euge! Rzymianin togę zarzucił na lica, pierś jego wzdęła się żalem i nie śmie spojrzeć na oblicza nasze!

Irydion.

Nim usta moje zawrą się na wieki, ostatnią wolę moją opowiedzieć chcę. — Słuchajcie mnie i przeklinajcie miasto!

Chór.

Patrzcie! odbłysk-li to żaru, czy promień zesłany od bogów tak wspaniale osrebrzył mu lica?

Irydion.

Biada zwycięscom. — Jako nas chcieli spodlić tak im podłość narzucona będzie — i dziecię urodzone

w Rzymie, i starzec konający w Rzymie, i mąż dojrzały, jedno miano będą nosili. — Niewolnik!

Chór.

Niewolnik!

Irydion.

O Fatum przedwieczne! z nad głowy bogów wtedy ty podniesiesz stopy i zejdziesz ku dolnym przestworom i niżej jeszcze ku siedmiu wzgórzom i będziesz jędzą ich skonu — by one, co wszystko zniszczyły, umierały w obliczu ciebie, któryś wszystko stworzył.

Chór.

Ród ich przepadnie, język ich niech zatracon będzie.

Irydion.

Ale niech sława o nich żyje w późne wieki — niech powieść o ucisku będzie ich nagrobkiem! — niech go ludzie potomni czytają i przeklinają po wszystkie dni swoje aż do końca świata!

Chór.

Świata!

Irydion.

Przeszedł czas modlitwy, zgasł płomień ołtarza i skonał bóg Romy! Konsulu, możesz podnieść oczy.

Ulpianus.

Złamałeś ustawy ludzi i znieważyleś obrzędy święte — obyczajem przodków wyjmuję cię z pod opieki prawa, zabraniam ci udziału ognia i wody! Za głowę twoją obiecuję wolność niewolnikowi, wolnemu posąg przy Rostrach i miejsce obok konsulów w cyrku.

Bezbożni, czekam na was u progów Mammer-tyńskiego więzienia. Skazani, czekam na was u stóp Tarpejskiej skały.

Irydion.

Nikt z nich ręki nie podniesie na mnie. — Idź, starcze. Gniew siwej nie przystoi głowie.

(Ulpianus wychodzi.)

Stos twój już gotowy, sestro — nieście ją i *ultimum vale* powtarzajcie za mną.

Noc miesięczua. — Świątynia Venery naprzeciw amfiteatru Flaviana — na schodach pretoryanie i Lucius Tubero.

Tubero.

Co znaczy, że dotąd Arystommachus nie dał znać o sobie? Noc ledwie zapadała, kiedyśmy się rozłączali, a teraz już księżyc depce wierzchołki amfiteatru. — Spokojność arkad przełamanych w te długie cienie dolega mi nie wiem sam czemu. — Chłodny powiew spieki moim licom przydaje, a jednak rozpaczniejsze widziałem sprawy bez oczekiwania, bez niecierpliwości. — Duszo niewolnico Luciusza, czemu dzisiaj buntujesz się przeciw panu twemu.

(Przechadza się zwolna.)

Słyszałem od ludzi, że pod koniec żywota Duch sam siebie ostrzega dziwnymi niespokojności. — Tak Brutusowi w wilią przegranej, tak Ottonowi pod Bedriakiem wieszczę znaki się objawiły. Diespiter! nie w porę dziś unierać Luciuszowi Tubero! już młodzieniec na mojej starej cnocie polega. — Ja tylko i Ulpianus drugi, wędzidło trzymamy — a gdyby prawnik padł od germańskiej strzały, pod ręką Amfilocha, wtedy... Któż mi odpowiada? nie — to w lochach cyrku lew się przebudził i ryknął — a teraz co innego — pomieszane głosy, rżenia, łaskoty! przez Kastora, kto idzie?

(Zbrojni wbiegają w nieładzie — za nimi Arystommachus.)

Arystommachus.

Na pomoc!

Tubero.

Hańba! Cezar czeka na forum, byś mu Greka przyprowadził w łańcuchach, a ty przed nim uciekasz.

Arystommachus.

Kto mówi, że Arystommachus się przeląkł, ten kłamie, choćby był ojcem ludzi i bogów. Sam dwóch centuryonów tą włócznią przebiłem, kiedy od pałającej twarzy Greka odwracali oczy.

Tubero.

Skądże ta przemoc jego niespodziana? — Czyż posiał kły smoka i świeże z nich męże wyrosły?

Arystommachus.

Goni ostatkiem, ale wściekle goni. — Szliśmy jeszcze pochyłością Viminalu, kiedy on pierwszy zaczął i od przysionków pałacu spłynął jak lawa paląc ciskaniem pochodniami, rozognionemi strzały, kipiącą naftą. — Trzy razy zwarłem się z nim — z pod miecza mego i z nad tarczy jego sypnęły się iskry jak z kuźni Cyklopa — trzy razy rozparły nas tłumy.

Tubero.

Idźmy! zdarte z szyi Greka łupy ślubuję zawieść w twoim kościele, o *Marspiter!*

Arystommachus.

Ściągnij pancerz — dwie łuski pękły ci w tej chwili nad sercem.

Tubero.

Dii avertite omen!

(Wychodzą.)

Masynissa (na schodach świątyni.)

Ptaki nocne karmione krwią Areny, splatajcie się w wieniec nademną!

Zgrzybiała ruino Vulkanu, ty przemarzona od ludzi na gwiazdę czystości i dźwięku, dosyłaj mi bladych promieni!

Ziemio, daj co się należy — powietrze, daj co mnie winne jesteś — bym karmił się krwią i jadem jak niegdyś wiekuistemi ogniami Eteru!

Jeszcze noc jedna i ranek jeden a ja i syn mój opuścim te strony!

Chór (z wnętrza świątyni.)

Piękne, lubieżne witają Pana! nad hełmami tańcząc krwią z ran ludzkich odświeżyłyśmy lica i puklerz syna twego był zwierciadłem naszym.

Piękne, lubieżne ostrzegają Pana. — Z gwiazdą Oriona wszedł duch tajemniczy strumieniem kołujący w błękitach i wszystkie ciche drgania i wszystkie smętne fale swoje zebrał w około Irydiona duszy — przelatując spotkałyśmy się z jego nurtem.

Masynissa.

A syn mój czy zważał na podszepty ducha?

Chór.

Ile razy ta myśl bez głosu dotknęła mu serce, bladł i mieczem błdził po zbrojach i nie łamał żadnej — w przerwach bił się jak anioł strącony — spiesz się — spiesz się do niego.

Masynissa.

Mdle dusze świętych niewiast, z tamtej strony grobu wracające westchnienia, nie wydrzecie mnie go — nie do złotych harf przyuczałem mu tak długo palce, nie do pieśni pochwalnych skrecałem mu usta.

(Znika.)

Forum. — Przy pochodniach Aleksander Severus na krześle kurulnem. — Obok stoi Ulpianus. — Z tyłu straż z złotymi orłami. — Arystommachus wchodzi. — Za nim prowadzą rannego Scypiona.

Arystommachus.

Boski Imperatorze, już w tej chwili Tubero musiał schwytać Greka. — Ja w bok się udałem i rozpocząłem bitwę z Cheruskami, którzy stali pod wodzą tego człowieka na drugiej pochyłości Viminalu — pchałem ich ostrzami mieczów, aż zaczęli krzyczeć: „Niech żyje Cezar Sewerus“ i kląć się na wszystkie bogi północy, że jakiś szal ich opętał po śmierci Hellogabala. — Ten człowiek dwom czy trzem wtedy zawarł usta puginałem, ale wnet hurmem wszyscy przeszli do nas.

Aleksander.

Dzięki nasze walecznemu Arystommachowi.

Arystommachus.

Teraz nazad do Tuberona.

(Wychodzi.)

Ulpianus.

Imię twoje?

Scypio.

Umierający!

Ulpianus.

Wyznaj więc prawdę i pogódź się przed ostatnim tchnieniem z sprawiedliwymi bogi.

Scypio.

Z sprawiedliwymi!

Ulpianus.

Odpowiadaj mi w obliczu Imperatora. — Od jak dawna wasz spisek zawiązany?

Scypio.

Od wieków.

Irydion.

Ulpianus.

Nie żartuj, niewolniku — czy mieliście wspólników innych miastach państwa?

Scypio.

Wszędzie.

Ulpianus.

Kto z pomiędzy nich najznacniejszy?

Scypio.

Ty i Cezar — póki jesteście, my będziemy.

(Umiera.)

Aleksander (zstępując z tronu.)

Ni łaską, ni groźbą, takich nie przymusić ludzi.

Ulpianus.

Ale żelazem i ogniem.

Ucz się jak stąpać nad wrzącą otchłanią i nie przepaść na dnie — nie słuchaj niewieścich głosów — nie ufaj szlachetności cudzej — w tobie cała Roma się skupiła — bądź więc jak ona, silny i nieubłagany.

(Wychodzą.)

Puste miejsce przy fontannie Neptuna. — Słychać dalej szczęk mieczów i wrzaski. — Wchodzi Irydion następując na Tubero.

Tubero.

Noc całą oko twoje jak żar piekielny mnie ściagało — jakiż z bogów zbroję ci wykuł? pod twojami ciosy nie zdrętwiała odwaga ale zemdlaly siły moje.

Irydion.

Ostatni raz tę klingę odbiłeś!

Tubero.

Ojcze Neptunie, pomagaj.

(Pada.)

Irydion.

Powiedz siostrze mojej, że przybywam do niej.

(Zabija go.)

Zemsto! ty mi krople tylko sączysz, kiedy ja cię o morze krwi prosiłem — teraz wrę całą mocą życia! dusze ginących braci przelewają się we mnie! Stałem się Tytanem! a umrzeć mi trzeba — nie — ja nie chcę umierać.

(Schyla się i wydiera miecz Tuberona.)

Ach! czego mnie ścigasz, niewidomy duchu? Chrystus — Chrystus — i cóż mi po tem imieniu? Oddal się, nie męcz mnie, Kornelio! Patrz — idź za księżycem temi śladami srebra — za chwilę ciemności ogarną tę ziemię!

(Alboin wchodzi.)

Wróg-li czy przyjaciel Irydiona Greka?

Alboin.

Niegdyś jego towarzysz.

Irydion.

Czyś zbladł od strachu czy od miesięcznych promieni?

Alboin.

Scypiona ciało na brzegach Gemonii!

Irydion.

Ojcowie jego bywali na szczytach Kapitolu!

Alboin.

I Cheruscy co do jednego poddali się Cezarowi.

Irydion.

Ach! skróciły się ostatnie chwile. — Chodź — wrócim do pałacu. — Rzymian wpuścim na dziedziniec — tam żarzy się jeszcze stos Elsinoi. — Zginiemy w płomieniach ty i ja, i oni i dom ojca mego. — Naprzód!

Irydion.

Alboin.

Dopóki tłała iskra nadziei służyłem ci wiernie — jako ty nienawidzę Romy — ale teraz...

Irydion.

Służalcze orła, legionisto Karakalli, ty mnie zdradzisz także?

Alboin.

Nie ja, ale Fortuna opuściła cię pierwsza! chleb mój woła mnie w inną stronę. — Czy słyszysz głosy trybunów? Cezar głowę twoją puścił na targ mieczom naszym.

(Dobrywa pugiuału.)

Irydion (przebijając go.)

Idź do piekła — na tej drodze wcześniej czy później spotkasz się z Cezarem.

(Wychodzi przeciwną stroną.)

Podwórzec na wzgórzu przed pałacem Irydiona. — Niewolnicy, Gładiatory, żołnierze z pochodniami. — Dymiący stos Elsinoe z boku.

Kilku.

Gdzie bieżysz, Pilades?

Pilades.

Do lochów, gdzie cyprysy i sosny. — Pan tak rozkazał.

Inni.

Zatrzymajcie go — wyrwijcie mu pochodnię.

Pilades.

W tył — nie zbliżać się do mnie — rozstąpić się — czy nie poznajecie mnie, bracia?

Pomieszane głosy.

Rzuć pochodnię — stój na miejscu, jeśli nie chcesz zginąć.

Inni.

Tam w dali już lecą orły Arystommacha.

Inni.

Z tej strony Tubero się wdziera.

Irydion (wchodząc.)

Mylicie się ludzie moi. — Tubero przeżył już wszystkie dni swoje!

(Wstępuje na podstawę obelisku.)

Cóż to znaczy? topory, puklerze na ziemi — sami w nieładzie stoicie jakbyście nie wiedzieli co czynić. Bracia, raz ostatni wołam was do boju — a potem sen i wieczne milczenie!

(Chwila cichości.)

Cóż to znaczy? patrzycie ku mnie wzrokiem bojaźliwych — opuszczacie ramiona — przelatujące polski błędą od bladeści lic waszych! do broni!

Jeden z żołnierzy.

Wodzu! biłem się od mroku aż do zachodu słońca.

Drugi.

Kto ostał się przy nas? jedni leżą bez ducha — drudzy konają w torturach — inni sobie poradzili lepiej — przeszli do Cezara.

Inni.

Patrz na rany nasze — ledwo ustać możemy.

Inny.

Arystommachus pół żelesca w piersiach mi załamał. — Daj wody — wody trochę.

Irydion.

Ognia, ognia tylko ci dać mogę.

Wszyscy.

Ty okrutny — ty bezbożny.

Irydion.

Irydion.

Diomedesie, tyś rodem z Koryntu. — Czy chcesz unżyć się przed tymi, którzy ojczyznę ci wydarli? I ty Lastenes, i ty Glaucus, i ty piękny Entellu?

Chór głosów.

Źle, źle nam — mdło i posępnie — co z naszych mąk umarłej ojczyźnie?

Irydion.

Chwała, bluźnierce!

Chór.

Życia, życia, nie chwały —
Chleba, chleba, nie chwały!

Irydion.

Nędzni! słyszałem wasze przysięgi — widziałem wasze zbroczone oręży — byliście dzielnymi kiedyś! — Lecz teraz nad grobem przyszedł na was koniec wspólny ludziom — nie rozpacz — nie wściekłość — nie zaślepienie, ale hańba podłości.

Chór.

Cezar kochał cię niegdyś — podaj nas i siebie do łaski Cezara — czas jeszcze, o Irydionie.

Irydion.

I wy myślicie żyć długo po przebaczeniu Romy? — Ja wiem, że niesława nie skróci dni waszych — ale pošlę was na wygnanie, kędy piasek zeżre wam stopy, a słońce głowy na węgiel rozsypie; ale poić was będą trucizną na biesiadach świątecznych: ale oskarżać co dzień o nowe zbrodnie! — Kto wejdzie w służbę, tego krew zawczasu wrogom przedaną będzie. — Kto zostanie w mieście, ten skona budując teatru ludowi i wszyscy zginiecie jako na was przystało, podłe niewolniki!

Jeden z żołnierzy.

Co ty nam złorzeczysz, ty, któryś nas zdradził?

Drugi.

Obiecałeś zwycięstwo — dotrzymaj.

Irydion.

Pilades! pchnij tego, który cię trzyma i idź dalej.

Żołnierz.

Głowa twoja skazana.

Drugi.

Bracia, zanieśmy ją Cezarowi.

Irydion.

Odrzuciłem tarczę — mierzcie — ale zanadto drżą wam ręce byście trafili. — Ach! biedny mój Pilades.

Pilades.

Los twój gorzej mnie boli, synu Amfilocha.

(Pada trafiony i umiera.)

Chór.

Czy widzisz te orły złote, tę purpurę cesarską?
czy słyszysz trąby legionów?

Irydion (zeskakując z podstawy obelisku.)

Każdy z tych mieczów gardło jedno przetnie — ty nędzny, przejrzyj się w klindze Sigurda — ale ani kroku bliżej. — Zdrajco, nie garnij się pod żelazo Tuberona — precz mi z drogi. Ułóżcie ręce do prośby — kolana w bruk wgniećcie — módlcie się do Rzymian.

(Przechodzi wśród nich i wstępuje na stos Elsinoi.)

Chór.

Synu nieszczęścia, niech krew poległych płynie przed tobą — niech przekleństwa żyjących grzmiają za tobą na ciemnych brzegach Styksu.

Irydion.

Irydion.

Ojcze, umieram syt goryczy i krótkich dni moich. Ojcze, ty nie przebaczysz podłym.

(Powstaje Masynissa obok stosu.)

I ty przybyłeś nareszcie — ustąp się, człowieku. To nie twoja godzina jeszcze — to moja! Tam idź, idź — tam Cezar ci przebaczy.

Masynissa.

Za mną synu!

Irydion.

Nie znam ciebie.

Masynissa.

Strzegłem cię wśród walki — ale tyś mnie nie widział — wspierałem w rozpacz — ale tyś mnie nie widział. — Teraz przychodzę cię zbawić.

Irydion.

Giń wraz ze mną, jeśliś cnotliwy.

Masynissa.

A jeśliś nieśmiertelny?

(Porywa go w objęcia.)

Irydion.

Czemże jesteś?

Masynissa.

Bogiem.

(Zapada z nim.)

(Wchodzą Arystommachus, Aleksander Sewerus, Ulpianus, rzymskie kohorty.)

Aleksander.

Gdzie syn Amfilocha — odpowiedzcie, buntownicy?

Chór.

Wstąpił na stos siostry i głos jego słyszany był raz jeszcze i zniknął — ale my broń złożyli, ale my błagamy ciebie.

Inni.

O boski Cezarze, my go chcieli wydać Tobie.

Aleksander.

Przebrała się litość moja.

Chór.

Bądź nam miłosierny — on jeden winny. — On nas omamił i zgubił!

Ulpianus.

Vae victis! Zbliźcie się, liktory!

Szczyt góry. — Rzym w mglistej oddali. — Z drugiej strony morze. — *Massynissa*. — *Irydion* oparty na jego ramieniu.

Irydion.

O ty, którą kochałem dla mąk twoich, *Hellado*, *Hellado*! czy byłaś tylko cieniem? Chmuro miłości mojej, czy ty odchodzisz na wieki? Wróg twój jak wprzód stoi niewzruszony i marmury wyszczerza przed słońcem jak białe kły tygrysa! po co mnie być tutaj? gorączka pali głębie czoła mego — myśli toczą mi duszę jak robaki trupa!

(Zsuwa się na murawę.)

Massynissa.

Odśwież siły w mgle poranku — pij chłodne powietrze i światło.

Irydion.

Jak ogniwo do ogniwa, do mojej dłoń twoją spiąłś i przywlokłeś mnie, ale człowiek raz tylko żyje — ten raz przyszedł dla mnie — ja skołem wczoraj.

Massynissa.

Synu! zawód twój nie skończył się jeszcze!

Irydion.

Nie dręcz mnie. — Ojciec mój umarł w twoich ramionach — siostra skoła w pałacu Cezarów. — Ja u stóp twoich dogorywam. — Czyż nie dosyć tobie?

(Podnosi się na wpół.)

Niewinna, którą ci poświęciłem rozplynęła się w powietrzu na żalosne jęki — głos jej drga w uszach moich — krzyż jej widzę na błękitach! Ach! gdyby jej Bóg żył nad wszystkiemi bogi — gdyby on był jedyną prawdą świata?

Masynissa.

Cóżbyś wtedy uczynił?

Irydion.

Umierając z tem pryśniętem żelazem w dłoniach wezwałbym jego!

Masynissa.

Ojcze, któryś jest w niebiesiech, daj długich dni Romie! przebacz tym którzy mnie zdradzili. — Zbaw tych, którzy po wszystkie czasy nekali rodziną ziemię moją!

Irydion.

Nie — „Ojcze, któryś jest w niebiesiech, ukochaj Helladę, jak ja ją kochałem“. — Odpowiedz mi w ostatniej godzinie, Masynisso, ty który mnie zwiodłeś, ty któryś mi obiecał tyle, ty na którego łonie głowa moja w dzieciństwie zasypiała, ty który w tej chwili stoisz nademną jakbyś światu rozkazywał, o mów, patrz, mieszają się myśli Irydiona, prędsiej, mów prędsiej czy Chrystus jest panem Nieba i ziemi?

Masynissa.

Sam wyrzekłeś!

Irydion.

A więc świadczysz jemu?

Masynissa.

Jak wróg nieśmiertelny, nieśmiertelnemu wrogowi! Dzisiaj on władnie starem niebem i zgrzybiałą ziemią — ale są przestwory kędy imię jego zmazane, jako moje starte jest w niebiesiech. — Są światy

nieskończonej młodości, pracujące w bolach i odmęcie, słońca bez blasku, przyszłe bogi w okowach, morze nie nazwane dotąd, wezbrane wiecznie ku szczęśliwym brzegom! a on już ustał, już zasiał na tronie i rzekł: „jestem“ i opuścił skronie!

Nie zaprzeczam go — widzę go — oczy moje, ranne jego blaskiem odwracają się ku ciemnościom, ku nadziejom moim. — Z nich będzie zwycięstwo! Wybieraj.

Irydion.

Statek żelaznego cierpienia czerni się na czole twojem — ale wśród tych zmarszczków pokaż mi nadzieję — nie — nie ty z toni wieków nie podniesiesz się nigdy. — Tyś zwiódł mnie i zgubił!

Masynissa.

Nie opuszczaj mnie, jak ciebie opuścili nikczemni.
(Porywa go z ziemi.)

Stań nad przepaścią — wejrzyj ku miastu niewiści twojej! Czy wiesz kto je wyrwie z rąk braci twoich, kiedy według przepowiedni Grimhildy przyjdą rozorać Italię na bruzdy krwi i zagony popiołów? Czy wiesz kto zlatującą purpurę Cezarów podchwyci w powietrzu? Nazareńczyk! — i w nim zdrada senatu, i w nim okrucieństwo ludu żyć będzie niestartą puścizną — włosy jego białe i serce nieubłagane jak u pierwszego z Katonów — mowa tylko czasem niewieścia i słodka — u stóp jego zdziecinieją męże północy i on drugi raz ubóstwi Romę przed narodami świata!

Irydion.

Ach! żądałem bez miary, pracowałem bez wytchnienia by niszczyć, tak jak inni żądają bez miary, pracują bez wytchnienia, by kochać i błogosławić przy zgonie temu co kochali za życia. — Ach! a teraz ty konającemu zwiastujesz nieśmiertelność Romy!

Masynissa.

Nie rozpaczaj — bo przyjdzie czas, w którym cień krzyża spieką się wyda narodom i on darmo wyteży ramiona by raz jeszcze odchodzących przytulić do łona. — Jedni po drugich powstaną i rzekną: „Nie służymy więcej.“ — Wtedy u wszystkich bram miasta słyszane będą skargi i narzekania — wtedy geniusz Romy znów twarz zakryje i płacz jego nieskończonym będzie — bo na forum same prochy zostaną — bo na cyrku same gruzy tylko — bo na Kapitolu sama hańba tylko! — i przechadzać się będę po tych błoniach, wśród trzód dzikich i bladych pasterzy, ostatnich mieszkańców Romy — i walka moja na ziemi zbliży się do końca.

Irydion.

Znów serce mi bije. — Ach! dzień ten czy daleki jeszcze?

Masynissa.

Sam ledwo go przeczuję!

Irydion.

O Amfilochu! więc syn twój był tylko marzeniem — tylko cieniem odbitym od późnej przyszłości — i jak zawczesną igraszkę rozbiły go losy!

(Do Masynissy.)

Odejdz — ni tobie, ni Bogu żadnemu nie oddam duszy mojej; na tej skale patrząc w oczy Romy umrę jako żyłem w samotności ducha!

Masynissa.

O synu słuchaj mnie!

Bładość lic twoich odrzucę nazad śmierci. — Ognisko siły na nowo w sercu twojem rozpalę. — Dam ci niepamięć przeszłości — dam ci niewiedzę przyszłości!

Irydion.

Precz odemnie!

Masynissa.

Dam ci żądz tysiąc i sił tysiące. — Umarłych piękności wskrzeszę ci kształty — każda nim się rozemdleje, spali się w twoich uściskach — i Helena Trojańska i Italska Venus i Ptolomeów córa.

W przejrzystej fali, w ognia promieniu, w czarnej twardej ziemi, jeszcze będą tchnienia rozkoszy dla ciebie!

Irydion.

Nie kuś mnie!

Masynissa.

W dalekich stronach wydzielę ci plemię, posłuszne w progach pałacu, dzikie w dniu bitwy. — Wśród czarów pochlebstwa ukochasz siebie, jako Helladę kochałeś. — Zgrozą króla i miłością króla upoję cię, synu! Aż przyjdę, aż znów mój znak położę na tobie i rzeknę: „Czas wrócić do walki“.

Irydion.

Nie kuś mnie! albo roslam w gruzy sklepienia, których kamień każdy przeklinałem. — Ha! jeśliś potężny, choć raz wynijdź w pole.

Masynissa.

Na dzisiaj próżna proźba twoja!

Irydion.

A więc tobie na dzisiaj nie być panem moim!

Masynissa.

Słuchaj, słuchaj mnie jeszcze!

Irydion.

Słaby geniuszu! w twoich skarbach nie ma nic dla Irydiona. — Umierając gardzę nim i tobą!

Masynissa.

A jeśli wieki zniszczę dla ciebie?

Irydion.

Irydion.

Co?

Masynissa.

Jeśli cię wyrwę z pośród pędzących fal czasu i złożę na miękkim brzegu, uspię cię na łonie nicości i zapomnienia, aż do chwili, w której te wieże rozrzuć i wbiję do ziemi. — Jeśli wtedy obudzę cię takim jakim dzisiaj jesteś?

Irydion.

W Rzymie, po latach wielu?

Masynissa.

Tak, by dopełniła się jedyna żądza twoja, byś deptał ruiny i popioły!

Irydion.

Ale nie kiedy płomienie wrzeć będą — nie kiedy bracia matki mojej zatrąbią w rogi swoje na siedmiu wzgórzach!

Masynissa.

Kiedyż więc?

Irydion.

Kiedy na forum będą prochy tylko!
Kiedy na cyrku będą kości tylko!
Kiedy na Kapitolu będzie hańba tylko!

Masynissa.

Ale wtedy, synu...

Irydion.

Będę twoim — przysięgnij.

Masynissa.

Przyrzekam zachować tve ciało. — Przyrzekam duch twój uspić i wskrzesić. Przez to, co on przezwiał złem, przez jedyne dobro moje przyrzekam. Teraz daj rękę!

Irydion.

Bierz tę nieszczęśliwą co napróżno walczyła!

Masynissa.

Wszystkie potęgi nocy zgromadzone nad tobą i otchłań, matka moja, słucha twej przysięgi! wyrzekasz się wroga mego?

Irydion.

Wyrzekam się. — Ach! jęk rozpaczy przeleciał mi nad głową.

Masynissa.

Nie zważaj.

Irydion.

Patrz! skała porysowała się w krzyże i czarne krople na nich. — Ach! patrz krople krwi się sączą.

Masynissa.

Nie zważaj, synu.

Irydion.

Burza zrywa się nad morzem. — Ach! ach! ktoś woła na mnie — tam — daleko — coraz dalej — czy słyszysz?

Masynissa.

A teraz?

Irydion.

Milczenie.

Masynissa.

Razem więc na wieki, bez końca, bez odpoczynku, bez nadziei, bez miłości, aż dopełni się wiekuista zemsta.

Irydion.

Razem — bylebyś wprzód dopełnił śmiertelnej!

Masynissa.

Stało się — za mną teraz.

Irydion.

Gdzie?

Masyssa.

Do brzegów jeziora, do chłodu jaskini, pod liście,
winne i bluszczane wieńce — kędy ni zorzy, ni gwiazd
nie masz, ni głosów, ni bólu, ni marzeń. — Tam spo-
czywać będziesz, aż wnijdziesz do królestwa mego.

Irydion.

Idźmy — mnie Rzym, tobie duszę moją.

DOKOŃCZENIE.

O myśli moja, ty przetrwałaś wieki! Ty senną
byłaś w dniu Alaryka i w dniu wielkiego Atylli — ni
brzęk korony cesarskiej o twarde czoło Karla, ni Rienzi
trybun ludu nie obudził ciebie! i święte pany Watykanu
jeden po drugim przesunęli się przed tobą jak cienie
przed cieniem! Ale dzisiaj ty powstaniesz, o myśli moja.

Dzisiaj w Kampanii rzymskiej słońce wrzało nad
pustynią i posępnie teraz u brzegów pustyni zachodzi.
Nad pólunem piasków, nad sitowiem bagnisk, nad sa-
motnemi sosnami wzgórz, nad cyprysami dolin, już
kołują cienie. Gwiazda wieczorna, dawnych ludzi bo-
gini, żałobnie się wznosi i z nią kilka łez rosy tu
i owdzie pada. — Tylko na morzu jeszcze w krwa-
wych połyskach gra kipiąca piana.

W powietrzu skwar i milczenie — chmury żadnej,
żadnego powiewu, a głębie się wzruszyły i pełnemi
bałwany, piersią purpurową jęknęły ku niebu. Ten,
który zamieszkał w otchłani, ten, który obiecał, sta-
nął na wirach fal i stopą czarniejszą od nocy gniótł
niewolnice swoje.

Od jego postaci luna wzbija się jakby drugie
słońce zaszło. — Od jego ramion stacza się mgła na

dalekie wody. — On idzie samotny i jak przed wiekami z nieśmiertelną starością na czole.

A kiedy dosięgnął lądu, odetchnęło morze i w zmierzchu znękane usnęły bałwany. — On szedł dalej. — Górom Samnickim ślad swój zostawił na szczycie i zstąpił ku brzegom jeziora. — Tam w potędze jego czarów, o synu zemsty! budzić się zaczęło życie twoje.

Waż co strzegł stóp twoich zadrgnął i zdał się przeczuwać powrót pana swego. — Wzmogło się światło łusk bladawych — roztoczył sploty i na murawy łoża z nich sypnęły się iskry. — Wspiął się w górę i czeka teraz jak gorejąca pochodnia, a w jej blaskach jaśnieją czarne głazy i spiekłe rysy twoje.

Z razu połysk czucia tłał ci na czole jak ogień nocny nad grobem — ale od progów jaskini głosy uroczyste witając cię po imieniu wznoszą pieśń życia twego i za każdym ich ustankiem jedną siłą zmartwychwstajesz więcej. — I dana ci siła lat zbiegłych od chwili zaśnięcia twego. — Gdyby dzieje dnia jednego, ujrzałeś wszystkie męki Rzymu i tryumfy Krzyża.

Wszystkie, wszystkie na około ciebie wrą ognistemi barwy i kopyt tententy i chrzęsty pancerzy i brzęki dzwonów i odgłosy hymnów przelatują nad tobą jak przeleciały nad snem twoim.

Umarłe Biskupy ciągną się długimi rzędy — przed każdym idzie król jeden i na plecach swoich rozwartą, świętą księgę niesie. — Na siedmiu wzgórzach z dołu w górę i z góry na dół ciągle jednym kołem idą i wracają. — Jednym anioły wieńce kołyszą w powietrzu — drudzy samotni z znakiem zbawienia w ręku, z mieczem wojny u boku i czarą trucizny w lewicy.

A im bliżej obudzenia twego, tem mniej orszaku, tem głuchsze stąpania, tem bielsze głowy panów Rzymu i bardziej drżące ich dłonie. — Wtedy ponad wszystkie śpiewające głosy wzniósł się jeden pełen sił i rozkazów — głos, który nie dochodzi niebios, ale któremu ziemia odgrzmiewa w wnętrznościach swoich i ten głos zawołał: „o synu!“

Wtedy na szybach jeziora, na darni brzegów, na sklepieniu jaskini błysnęło i piorun powtórnego życia uderzył cię w łono, i jakoś był wtedy młody, i jakoś był piękny przed laty, powstałeś na łożu! i gorejące oczy twoje spotkały za pierwszym spojrzeniem bladą twarz Cyntyi na szczytach Latyńskich — i odparłeś: „Jestem“ a on skinął dłonią i prowadzi ciebie. — Stąpań nie powtarzają echa — jedno po czarnych wąwozach jak dwie czarne chmury żeglują wasze postacie.

Stanąłeś w Kampanii rzymskiej. — Przed twoim wzrokiem ona nie ma czem zakryć hańby swojej — gwiazdy migają jak tysiąc złotych wspomnień i urągań. — Czarne wodociągi idąc ku miastu, nie znachodząc miasta, stanęły — opadłe z nich głazy leżą pogrzebnymi stosy — tam powój się rozwlekl przysypan kurzawą — tam radzą ptaki nocne i jęczą.

Pojrzał syn wieków i uradował się w sprawiedliwości zemsty swojej. — Każda ruina była mu nagrodą: i niziny wdowy amfiteatrów i wzgórza świątyń sieroty — z lekkich stóp swoich otrząsał proch i perzynę tam gdzie cyrk Karakalli, tam gdzie Mausoleum Cecylii, żony Krassusa. — I ulicą grobów starodawnych wiódł go straszny przewodnik do bram Rzymu. One same się roztworzą — nie słychać zgrzytnienia za-

wiasów. — Weszli. — Straże nagle usnęły, oparte na
broniach. Oni przeszli jak cienie.

I wśród długich, samotnych kaplic, ciasna im
droga się wiję.

O nocy jedyna, ostatnia! o nocy miłości mojej,
coś słonecznego w twoich blaskach jaśniej — nad
każdą ruiną zasłonę cieniów rozdzierasz — i truchle-
jącą, nagą, wydajesz wrogowi. Twój księżyc nędzne
domy i nędznych, rzadkich mieszkańców, wytyka szy-
derstwa promieniem.

W krużganku Bazyliki stoi dwóch starców w pur-
purowych płaszczach. — Żegnają ich zakonnicy imie-
niem książąt kościoła i ojców — na ich twarzach wy-
ryte ubóstwo myśli — wsiedli do powozu — czarne
schorzałe konie ich ciągną — i z tyłu sługa z latar-
nią, jaką trzyma wdowa nad dzieckiem konającym
z głodu — i na ramach u okien i na lisztwach u dołu,
ostatek pozłoty! Minęły zwolna jęczące koła, siwe
głowy wychylone zniknęły. „To następcy Cezarów, to
rydwan kapitołińskiej Fortuny“ rzekł przewodnik a syn
Grecyi pojrzał i klasnął w dłoń.

A teraz stromą pochyłością, sadzonemi schody
wstąpili na puste dziedzińce — pośrodku posąg Aure-
liusza na koniu z wyciągniętą dłonią w próżniach po-
wietrza. — Cezar bez poddanych. — Tryumfator bez
pieśni — a z tyłu czarne tło murów Kapitolu.

Obok skały Tarpejskiej, ułamkiem miecza wra-
cający na ziemię po latach tyłu zostawił znak swój na
czole najlepszego z Cezarów — i dźwięk greckiego że-
laza o spiż rzymski rozległ się jak dzwonu uderzenie
pogrzebne, ostatnie! i z nad szczytów zamku odparł

żałośny krzyk sowy i z odległych ulic odparło skowyczenie psa błądzącego po innych ruinach!

A przez *via sacra*, przez drogę zwycięstw, stopniami ze żwiru i błota zeszli forum. — Łuk Septyma Sewera aż po piersi, i świątyń ostatnie kolumny aż po szyję zakopane w ziemię, wystają jak głowy potępieńców. — Inne nie tak zagrzęzły, stoją wysoko, samotnie, wysmukłością szkieletów.

Ich kapitele, kwiaty, ich liście akantu, co tak białe, tak nieznośnie tobie świeciły przed wiekami, dziś jak zbrudzone włosy na czole włóczęgi, dziś na pół pęknięte marmury ich kibici rozlatują się w proch jak fontanna w krople. I nie mogłaś nic poznać, nic nazwać w godzinę tryumfu twego!

Tam pod resztą portyku dwóch nędzarzy śpi pod łachmanami płaszcz jednego — w księżycowej bladości ich twarze jak dwa głowy grobowe — jaszczurki ślizgają wśród ich ramion splecionych — a teraz jak liście jesienne przed wiatrem, uciekły przed tobą.

Powitałaś ostatki ludu rzymskiego na forum. — przechodząc trąciłaś ich nogą — oni się nie przebudzili!

Przewodnik wskazał ku ulicy drzew zgrzybiałych. Tam cień Palatynu leżał na ziemi, tam bogów poćwiertowane ciała się walały i bohaterów rozpadłe piersi z jaspisu, z porfiru. — Tam bramą Tytusa pękniętą, zlepioną jak ogromna rana, przeszli znów na jasne miejsca puste i stroskane. — Tu wydało się temu który zmartwychwstał, że Kolizeum dotąd stoi całe, ale starzec głośniejsze jeszcze się rozśmiał — i wziął go za rękę.

Na milczącej Arenie, na piasku srebrnym, wśród arkad przemienionych w dzikie skały, z bluszczami

u wierzchołków, z szczelinami w łonie, tyś podziękował losom za spodłą Romę.

Tu miał być koniec pielgrzymki twojej — stąd miałaś pójść kędy miliony.

I wszystko coś widział niegdyś, wszystko czego częścią bywałeś, wróciło ci na pamięć — tam był tron Cezarów. — Ozwały się w myśli twojej trąby, piszczałki, poklaski przekleństwa. — Słońca tylko nie ma, nie ma purpurowej obsłony co powijała na wierzchołkach cyrku. — Księżyc blado świeci nad tłumem wskrzeszonych, przechodzących, niknących.

Z nich wszystkich został się głos hymnu słyszanego niegdyś. — To niegdyś, było wczoraj. — Tu, wczoraj skonali Nazareńczycy. — Ich twarze były pogodne jak wieczór letni — i otoż na miejscu na którym padli, krzyż czarny stoi dzisiaj, drewniany, cichy, na środku Areny — od jego spokojnych cieniów odwrócił przewodnik ponure oblicze.

Ale w tobie dziwne uczucie się budzi — nie litość nad Romą — bo jej żałoba ledwo za jej zbrodnie staje — nie strach obranego losu — ty zanadto cierpiałeś byś mógł się lękać — nie żal matki ziemi — boś miłości życia wśród snu wiekuistego zapomniał — ale jakieś wspomnienie twarzy dziewiczej, jakiś smutek nad tym krzyżem, którym dawniej pogardziłeś, boś go daremnie chciał zaostrzyć w żelazca!

Ale teraz zdało ci się, że walki z nim nie chcesz — i zdało ci się że on znużony jako ty — oplakany jak losy Hellady niegdyś — i zdało ci się w promieniach księżycy, że on świętym na zawsze!

Jednak nie uchylicz się od przyrzeczonej wiary — wstaniesz i pójdziesz ku starcowi pustyni — On się

wzdrygnął, on przeniknął duszę twoją — i kołem ramion ogromnych, posępnych, otaczając ciebie, odrywa cię krok za krokiem od zbawienia znaku. — Ty stąpasz za nim zwolna jak ojciec twój w dniu śmierci.

I piękny, gibki, z tuniką czarną, z koturnem Argijskim stanąłeś, i ku Niebu wyteżając ręce, byłeś wśród gruzów jako dźwięk szybki, ogromny, co łączy tysiąc innych zblakanych. — Korynckich festonów szczątki westchnęły za tobą.

„Synu! czas! wypileś napój, który ci wieki sączyły do czary, i kropli nie zostało. — Synu! czas! zorza niedaleka — nam ubiedz długą drogę trzeba.“

Jęki słyhać z pod ziemi, tam męczenników doypiają koście — jęki słyhać w powietrzu — tam ulatują duchy Chrystusa — ale od szczytów amfiteatru ponad te dźwięki żałobne, zabrzmiał głos pełen chwały.

Tam postać bieleje przejrzystą jasnością — tam zebrały się wszystkie miłości księżycy i jak wstęgi powiewne to skupiają się, to rozpuszczają się w promienie około anielskich, cichych, zawartych skrzydeł dwojga.

Ty ku temu słodkiemu licu podniosłeś oczy — poznałeś dawne kształty ale wyświeżone rosą, wyjaśnione tchnieniem niebios i spoglądałeś na nie jak ten, co się żegna z pięknością na wieki.

Głos wzywał starca na powrót przed stopnie krzyża, na sąd nierozstrzygniony jeszcze. — On pod hymnem anioła opuścił śniade skronie i wrócił od bram cyrku. — Zgrzytał i rwał ci ręce, i wołał: „Potępiony, potępiony, kto mi wydrze jego?“

Tu u stóp męki Pańskiej, kiedy do zorzy blisko już było, kiedy miesiąc zapadł niżej amfiteatru, kiedy

cała arena świetniała połyskami bijącemi od skrzydeł, brzmiała muzyką niewidzialnego chóru, zaczął się spór ostatni, wyroczny w około twojej poświęconej głowy.

A ty powyżej kusiciela, poniżej anioła, stoisz na stopniach krzyża — trwogi nie ma na czole twojem, ni modlitwy na ustach — jesteś jako byłeś zawsze, samotny na świecie.

On, wparłszy stopy w kipiący piasek, głowę schyliwszy na spalone piersi, dopomina się o prawa swoje. „Wrogu nieśmiertelny! on moim, on żył w zemście, on nienawidził Romy.“ Lecz Anioł rozwiązując tęczę skrzydeł, potrząsając złocistemi puklami. „O Panie! on jest moim, bo on kochał Grecyę.“

I od walki potęg zamgliło się powietrze — uczuleś powtórne konanie. — Życie twoje stało się całe oczekiwaniem i rozdarciem — ogień piekieł palił ci stopy, blaski niebieskie raziły ci oczy — tłumy rwały cię na dół i drugie tłumy ciągnęły cię w górę — wtedy nadzieja boska wszczęła się w sercu twojem i zemdląca i znów się obudziła jak iskra i znów zagasła i stało się czarno — pusto — głucho jak w nicości — boleśno — gorzko — nieznośnie jak w rozpacz — i słabo — nikczemnie jak w hańbie.

O godzino przeznaczona każdemu z żyjących, oddal się od myśli mojej.

Ojczye niebieski! Ty raz tylko jeden w wieczności, raz Syna własnego opuściłeś, by odtąd już nieopuszczać żadnego z dzieci Twoich — nie — żadne dzieło Twoje nie pójdzie w rozsypkę na wieki.

Powstań, o synu Grecyi — patrz! wróg dłońmi zakrył lica i gmach starożytnych ludzi wstrząsł się od

próżnych jego wysileń -- w mgle zarannej coraz posępniej mdleją kształty jego. — On kona głowę oparłszy o bramy cyrku — głos jego już teraz jak szum wód dalekich. Świadectwem Kornelii, modlitwą Kornelii ty zbawion jesteś, boś ty kochał Grecyę.

Powstań! czy słyszysz ten głos co zagrział nad milczeniem wszystkich duchów? O pierwszych połyskach świtu on to zleciał jak piorun i woń wszystkich kwiatów dolin podniosła się ku niemu:

„Idź na północ w imieniu Chrystusa — idź i nie zatrzymuj się, aż staniesz na ziemi mogił i krzyżów — poznasz ją po milczeniu mężów i po smutku drobnych dzieci — po zgorzałych chatach ubogiego i po zniszczonych pałacach wygnańców — poznasz ją po jękach aniołów moich przelatujących w nocy.“

„Idź i zamieszkuj wśród braci, których ci daję — tam powtórna próba twoja — po drugi raz miłość twoją ujrzysz przebitą, konającą, a sam nie będziesz mógł skonać — i męki tysięcy wcielią się w jedno serce twoje!“

„Idź i ufaj imieniu mojemu — nie proś o chwałę twoją, ale o dobro tych, których ci powierzam — bądź spokojny na dumę i ucisk i natrząsanie się niesprawiedliwych — oni przeminą ale ty i słowo moje nie przeminiecie!“

„A po długim męczeństwie, zorzę rozwiódę nad wami — udam się was czem aniołów moich obdarzyłem przed wiekami — szczęściem — i tem, co obiecałem ludziom na szczycie Golgoty — wolnością!“

„Idź i czyń, choć serce twoje wyschnie w pierśsiach twoich — choć zwątpisz o braci twojej — choćbyś miał o mnie samym rozpaczać — czyń ciągle i bez wytchnienia, a przeżyjesz marnych, szczęśliwych i świętnych, a zmartwychwstaniesz nie ze snu jako wprzódy było, ale z pracy wieków — i staniesz się wolnym Synem Niebios!“

I weszło słońce nad ostatkami Romy — i nie było komu powiedzieć gdzie się podziały ślady myśli mojej — ale ja wiem, że ona trwa, i że ona żyje!

KONIEC.

PRZYPISKI DO WSTĘPU.

Strona 7, wiersz 1. *Już się ma pod koniec starożytnemu światu.*

Niniejsza powieść pomyślaną jest w trzecim wieku po Chrystusie. — Stan państwa rzymskiego w tych latach był stanem konania — rozwiązywania się — dezorganizacyi. — Wszystko co niegdyś było życiem jego, co sprawiało ruch jego postępowy i byt, teraz wracało w nicość, słowem, umierało — przetwarzało się. Trzy systemata stały obok siebie. Pogaństwo już bez życia, ale uzupełnione w Rzymie wszystkimi religiami przybyłymi ze wschodu — jakby ciało we wszystkich częściach swoich, pysznie ubrane, leżące na marach. Chrześcijaństwo dotąd bez ciała prawie, bez kształtu, prześladowane, rosnące między ludem, wyzywające wszystkie wiary symboliczne przeszłości do walki, z filozoficznymi zaś, to ucierające się, to godzące na przemian — podobne do ducha potężnego w pracy wcielenia się swego; — i barbarzyństwo rozmaite, dzikie, ruchome jak morze wśród burzy, mające także swoje myty ale po większej części niepamiętne

ich na łonie Rzymu, żyjące od dnia do dnia w legiach rzymskich, buntujące się przeciwko Rzymianom w północnych prowincjach, gwałtem jednak zewsząd cisnące się ku Włochom, czy zbrojną ręką, czy jako zaciężne żołnierstwo, pełne jakiejś niespokojności na wzór atomów, kiedy się zrosnąć i skupić mają, ale bez poczucia się, bez wiedzy żadnej, bez *conscientia sui*, ślepe, straszne jak siły natury. Była to materya już wrząca, już gotowa stać się kształtem, przylgnąć jak ciało do ducha przechadzającego się w katakombach — do chrześcijaństwa! Milczenie, które poprzedziło tę wielką burzę, w której Rzym zniknął i przetworzył się na Europę chrześcijańską, były to ostatnie biesiady Cezarów — była to nędza nieopisana ludu i niewolników we wszystkich częściach państwa. W rzeczy samej, zbytki materyalne i nędze materyalne, są zawsze wielkiem milczeniem ducha, czy indywiduów, czy narodów — jest to życie zwierzące na najwyższym lub najniższym szczeblu swoim — a życie moralne zda się odpoczywać tymczasem, by powstać i zagrzmieć — zresztą świat starożytny był raczej światem liczb i kształtów, niż wolnych ruchów ducha — dla tego musiał konając konwulsyjnie, ogromnie się tarzać w materji swojej — nasz, zbytkuje duchownie raczej.

Strona 7, wiersz 5. *Fatum jedno spokojne, Rozum nieubłagany świata.*

Fatum znaczyło u Rzymian, przeznaczenie, konieczność wyższą od wszystkich bogów i duchów czy niebieskich czy piekielnych; wystawiali go pod postacią starca gniotącego nogami ziemię a trzymającego w dłoniach urnę, w której spały losy śmiertelnych — najczęściej jednak w sensie idealnym pojmowany, znaczył jedność boską, ostatnią przyczynę, matematykę, *universum*, której nic oprzeć się nie mogło.

Strona 8, wiersz 14. *Mottoch i Cezar, oto Rzym cały.*

Pod Cezarami ułożyła się równość wszystkich poddanych — przed Cezarem; — przyjęte zostały do prawa obywatelstwa tak skąpo rozdawanego przez patrycyuszów, wszystkie prowincye państwa. — Większa część Cezarów pochodziła z prowincyi. — Trajan był Hiszpanem, Heliogabal Syryjczykiem, Maksymin Gotem i t. d. Rzym, którego myślą było ujarzmić świat a samemu zostać na boku, tak jak Bóg po stworzeniu świata, musiał koniecznością okoliczności otworzyć bramy swoje ludom północy i południa. Egoizm jego nie mógł się utrzymać zawsze w tej samej, odległej, samotnej postawie — nie rozlał on swojej indywidualności, ale ci, których podbił rozdarli ją stopniami — każdy przyszedł upomnieć się o jej cząstkę: — sztuki Greków, filozofia grecka, pierwsze wcisnęły się do miasta — nauczyły miasto — wyosobniły w nim cząstkę duchowną sobie. Tem samem zgubiły je — bo wielki egoizm materyalny dopóty silny, dopóki zupełnie jest materyalnym. Ducha w nim obudzić, a zgubić go, to jedno — bo naturą ducha jest dążenie zewnątrz, jest siła rozlewania się — wcześniej czy później od jego usiłowań pęknąć musi skupienie materyalne. Dalej wschodnie podania, myty, obrzędy i czary przybyły do Rzymu. — One w gminie to samo sprawiły, co filozofia grecka w senacie i patrycyuszach. — One symbol egoistyczny wiecznego Kapitolu rozerwały — później okazały się dotykalnie skutki widome tych przyczyn niewidomych, moralnych. Rzym stał się Grecyą, Egiptem, Azją Mniejszą, a nie Grecya, Egipt, Azja Mniejsza stały się Rzymem. Barbarzyńcy zasiedli w senacie rzymskim — pomieszały się wszystkie wiary i prawa w tej *colluvio nationum*, w tym składzie dezorganizującym się, upadły wszystkie dawne porządki i podania rzymskie. Aristokracya zupełnie wyginęła, to przez zawiść Cezarów, to przez wyczerpnięcie sił żywotnych. Cezar, konfiskując jej dobra lub biorąc zapisy, stał się

jej dziedzicem — również zgromadził w sobie wszystkie prawa kapłanów i ludu — co mógł zniszczyć na swoją korzyść, zniszczył. Siły zniszczonych zebrał w sobie. Jednej tylko rzeczy, jednej jednostki nie mógł zniszczyć — to jest ludu, któremu panował. Został się więc sam na sam z nim — a że w tej drugiej połowie państwa była siła materyalna, siła prosto bytu, musiał jej nieraz ulegać, podchlebiać jej darami, igrzyskami i t. d. Lecz prócz niego i ludu nic już nie było w Rzymie.

Strona 8, wiersz 27. *Czy gdzie nie spotka Odyna, Boga ludów swoich.*

Ze względu religii rozróżnić można plemiona Germańskie na dwa wielkie oddziały. Germania, o której Tacyt mówi, a w której górują Suevy (Hermiones), ma religię natury, czci żywioły, drzewa, krynice. Bogini Hertha (*Erde*, ziemia) każdego roku na wozie przesłoniętym, powstaje z gajów dalekich od wysp północnego morza. Różne zapewne były u rozmaitych hord miejscowości, obrzędy, ale ogólnie biorąc, ich wiary jeszcze były bardzo pomieszane, niepewne. Na tem tle bladawem mocne wycisnęły się barwy przez napad hord dalej ku północy mieszkających, Rzymianom nie znanych. W tych hordach wszczął się już był ruch postępowy, bohaterski, objawienie jakiejś religijnej. Temu objawieniu na imię było Odyn. Odyn od Islandyi, gdzie później jego religia najdzielniej i najobficiej się rozwinęła, do brzegów Renu opanował umysły ludów. Gothy, Saksony, Gepidy, Lombardy, Burgundy były to Odyńskie pokolenia wierzące w wcielenie się Odyna, w pewne, opisane obrzędy, w nieśmiertelność za grobem, w nadgrody w pałacu Odyna w Walhalli, w jakieś miasto Asgard, święte na ziemi, skąd wyszli ich ojcowie, a do którego wrócić mieli wcześniej czy później — z tego kształtu nadanego ich wierom, z tych mytów już opisanych wyszła ich siła

popędowa. Oni to poruszyli plemię Germańskie leżące martwo w niższej Germanii. Oni to ze Skandynawii zeszli po nad brzegi Bałtyku, spuścili się ku Dunajowi i przebiegli całe Niemcy, ocierając się wszędzie o granice Cesarstwa. Z ich runięcia od północy wszczął się chaos w Germanii, który później cały na Włochy się zwałił — u Gothów później Odyn przybrał imię Wodana. Saksony jeszcze przez czas jakiś nieporuszeni zostali na brzegach morza niemieckiego. Myty odyńskie w krótkości są następujące:

Przedewszystkiem był olbrzym Imer. Tego zabił Odyn wraz z braćmi swymi Vile i Ve — z czaszki zabitego powstały niebiosa, z jego ciała ziemia, morze z krwi jego. Inny olbrzym Norw, był ojcem Nocy. Noc porodziła Dzień. Oboje nieustannie na Niebie na dwóch wozach kołują. Hrim — fax (zmarzła grzywa) koniem nocy. Skin — fan (grzywa światłana) koniem dnia. Most wielki wiedzie od ziemi do Nieba — z trzech barw złożony, a na imię mu tęcza — przerwie się on kiedyś, kiedy złe duchy po zwycięstwie nad bogami, przechodzić nim będą. Świat ma skończyć pożarem. W ostatniej walce świata złe duchy zwyciężą.

Odyn jest bogiem nad wszystkimi innymi. Dają mu imię Alfader, ojca wszystkiego, ojca bitew. Zowią go jeszcze Hor, Janfchar i Thridi (wyższy, równy wyższemu i Trzeci — Trójca), on poległych bohaterów bierze do swego pałacu w niebiesiech, do Walhalli, pięćset czterdziestoma bramami tam wchodzi. Na ramięch Odyna siedzą dwa kruki — jeden zowie się Hugin (rozum) drugi Munin (pamięć) — przez nich wie co się dzieje w przestrzeniach. Synem Odyna jest bóg Thor, bóg wojny, z młotem w ręku. Młot stał się u tych plemion symbolem zdobycia. Boginie dziewice wojny zowią się Walkiryjes. Jest ich dwanaście — a najpotężniejsza Frygga. Loke jest bogiem złudzeń i złego. Bogi niebios okuły w kajdany syna jego wilka Feuris — w tym Loke skandynawskim jest jakby prze-

czucie Mefistofelesa. Wodzowie pochodzący od bogów, szlachta wiodąca do bitew zwana u Gothów Amali i Balty. Saksoni dłużej pozostali spokojnymi — dopiero kiedy z jednej strony Franki, z drugiej przyparli ich Słowianie, ułożyli się w hordę wojenną oddawna już przemagającą w składzie Gothów i rzucili się na Anglię. Gothy zaś, Lombardy, Burgundy zaraz poddali się wodzom; u nich to rozwinęło się przywiązanie żołnierskie, słowo niezłomne żołnierskie, początek feudalnego składu. Oni to pierwsi rzucili się na dalekie błędy, goniąc za złotem i niewiastą. To wszędzie było ich bohaterskim celem — stąd później wyrosła poetyczna postać Sigurda w poemacie Nibelungów — w niej zarazem połączone rada i waleczność, to co rozdzielonem było w mytach greckich: Achilles i Ulisses. Z tego więc pierwiastkowego objawienia się formy religijnej w Skandynawii wyszedł ruch i życie. Ruch gwałtowny, dzikie życie jak źródło, z którego wypływało. Nieopisaną jest ponurość podań Skandynawskich. Jedyną w nich moralnością jest chwała obiecana za odwagę. W Walhalli biesiadują bohaterzy i wśród biesiad te szkielety zbrojne wstają i walki przeszłe odnawiają między sobą. We wszystkich mytach odyńskich przebija wpływ natury północnej — znać w nich jakby brak nadziei, jakby rozpacz wieczną połączoną z dzikiem, bohaterskim męstwem, idącym zawsze naprzód, niedbającym o to, że koniec będzie straszny i fatalny. Myśl, że świat skończy nieszczęśliwie, że na końcu wieków złe duchy przemogą, kołuje jak gorza północna, krwawa, nad tą całą mitologią — w jej blaskach biją się do upadłego wojownicy na ziemi i goniąc wszędzie za niebezpieczeństwem, nie przepuszczając ni sobie ni wrogom, szukają zapomnienia — żyją tak gwałtownie zewnętrznie by nie myśleć wewnątrz! Taka myśl matka, takie pręczenie zniszczenia wszystkiego, musiało wcielać się w zniszczenie szczegółowe — musiało z tych ludzi

utworzyć Alaryków, Genseryków, Attylów. Jako chrześcijaństwo w swoim najgłębszym początku jest duchem postępowym miłości, tworzenia, spajania, tak myty barbarzyńskie, północne, były siłą postępową niszczenia, rozprzęgania. Ale kiedy chrześcijaństwo postawiło się w środku tego koła zdarzeń i plemion, działać na nie zaczęło atrakcyjnie, i zdarzenia i plemiona północne przetworzyły się na okrąg porządny, zamknięty — po dopełnieniu klęski, po ukaraniu Rzymu, ta materia rozerwana, ciężąca wszędzie śmiertelnie, ożywiła się i stała się. Chaos powoli zaczął przechodzić w organizm — miłość ducha zwyciężyła opór materii. Nasza powieść dzieje się jeszcze przed poczęciem się chaosu i tworzenia. Irydion jest tylko przecuciem chaosu a zatem i życia — bo chaos na to zdał się tylko, by stało się życie.

Strona 9, wiersz 24. *Morituri te salutant, Caesar...*

Formuła, którą przechodzący zapaśnicy przed rozpoczęciem igrzysk witali Cezara. „Mający zginąć witają Cezara.“

Strona 9, wiersz 26. *Na Palatynie, na wzgórzu ruin i kwiatów.*

Na wzgórzu palatyńskim stał pałac Cezarów — dziś ostatki pałacu Farneezów na głębszych jeszcze gruzach pałacu Cezarów.

Strona 9, wiersz 36. *Wzlatywały z katakomb.*

Katakomby, przestronne lochy wydrążone pod całym Rzymem i częścią kampanii rzymskiej, dochodzące nawet jak twierdzą aż do morza, pierwszych Rzymian cmentarze dla chowania ubogich i niewolników, których nie stać było na stos; później schronienie chrześcian podczas prześladowania; dziś w niektórych miejscach jeszcze całe, dostępne, po większej części zaś zasypane, składające się z mnóstwa niskich i ciasnych manowców, czasem rozprzestrzeniających się

w kwadratowe lub okrągłe ciemnice. Ściany zaś zasute nadgrobkami męczenników. Dotąd kości męczenników z nich wykopują.

Strona 11, wiersz 6. *W Chersonesie Cymbrów.*

Rzymianie tak nazywali półwysep Jutlandzki, i wszystkie plemiona Skandynawskie nazywali ogólnem imieniem Cymbrów.

Strona 11, wiersz 6. *W ziemi srebrnej potoków...*

Sami barbarzyńcy tak nazywali Chersones od białości śniegów i potoków tam płynących.

Strona 11, wiersz 7. *Brat za brat z królami morza.*

U Anglów, Saksonów, Nord-Manów, u wszystkich Skandynawów wodzowie nazywali się królami morza. Ich życiem były ciągle rozboje morskie.

Strona 17, wiersz 25. *Błota meockie (palus maeotis).*

Azowskie morze.

PRZYPISKI DO CZĘŚCI PIERWSZEJ.

Strona 22, wiersz 11. *A tymczasem w Gineceum.*

U Greków kobiety jeszcze nie były doszły europejskiej wolności, coś jeszcze wschodniego zostało w sposobie ich życia i Greczynki wychowywały się w haremach zwanych Gineceum i nie wychodziły stamtąd przed zamężciem.

Strona 22, wiersz 15. *Murzyny Heliogabala.*

Tak przezwanym został syn Scemidy i Variusza Marcella, Varius Bassianus od boga Halgah-Baal czyli Mitry, którego Arcykapłanem był w Emezie nim został Cesarzem rzymskim. Dzieje Heliogabala są najmocniejszym dowodem, najwyraźniejszym symbolem zgrzybiałości ówczesnego świata; w piętnastym roku życia wstąpił na tron, w ósmym zaś zginął zamordowany

przez pretoryanów; a w tym znikomym przeciągu czasu zużył wszystkie rozkosze jakie potęga przynieść może.

On nigdy nie był młodym. Imię jego, starość uosobniona. Zdawałoby się jakoby przeszłość działalności, przeszłość czynnego Rzymu zostawiła w nim próżnię, której niczem zapełnić nie mógł. Dwa znamiona jego charakteru są: Nuda i lubieżność, to samo zupełnie co starców cechuje. — Nuda albowiem jest męka pochodząca z uczucia wiecznej próżni i z daremnej żądzy jej odsunięcia. Lubieżność zaś jest pracą wyobraźni na wynalezienie czegoś, coby rozbudzić mogło martwe zmysły. Namiętność jest zawsze silną, prostą, jest to synteza, jest to poezya ciała. Lubieżność przeciwnie jest wymyślną, rozkładającą się na tysiąc szczegółów, jest raczej prozą, analizą. Heliogabal nie dogadzał swoim namiętnościom bo ich nie miał, on miał tylko żądzę ich mienia, on szukał w całej naturze, w całym państwie swoim, w całym sobie tylko podniety, iskry coby zapaliła jakiegokolwiek ognisko w jego piersiach, na tym trudzie nieszczęśliwym przeszło mu życie, dla tego wszystko co czynił było kaprysem. Taki skład niepojęty byłby w człowieku młodym, gdyby na nim nie ciążyła już fatalna starość świata, w którym się urodził. Heliogabal był starcem przez świat otaczający, a był młodym przez siebie, stąd wieczna sprzeczność, niemoc i żądza.

Ten starzec, ta jednostka spróchniała i zmagająca się sama z sobą, to dziecię zgrzybiałe wychowało się w Syrii, w kraju czarodziejskich mytów i pochłaniającego klimatu. Babka jego Moesa była siostrą Julii, żony Septymiusza Sewera — po śmierci tego Cesarza cała familia jego żony odsunięta od potęgi, poszła na wygnanie do ojczyznoego kraju, do Syrii. — Moesa miała dwie córki, Scemidę i Mammeę matkę Aleksyana, sławnego później pod imieniem Aleksandra Sewera. Heliogabal, przed czternastym rokiem życia jeszcze, został Arcykapłanem w świątyni Emeskiej. —

Czczono w niej wielkiego boga Halgah-Baal czyli Mitrę, boga Chaldejskiego, w którym zeszyły się wszystkie podania wschodnie i Egipskie. — Był to symbol słońca uważanego za boga, czystego, najwyższego, jedyne, że tak powiem, oderwanego. — Dla tego też nie miał posągu żadnego, tylko kamień czarny, ostrokągowego kształtu był jego symbolem. — W tej samej świątyni inne były bogi — Baal-Fegor, czyli słońce już zmateryalizowane, jako siła obudzająca vegetację; — Gad-Baal, czyli słońce jeszcze bardziej ucieleśnione, ogłaszające wyrocznie, Phoebus-Apollo-Astarte. Baalis, wielka bogini, żona Halgah-Baala, czyli księżyc oświecony słońcem, natura ożywiona przez słońce. — Baalis-Benoth, czyli Venera i Baalis-Derčoto czyli Afrodyte grecka, obie wyrażające naturę już uczłowieczoną, niewiastę. — Obchodzono w świątyni śmierć i zmartwychwstanie Adonisa czyli symbol natury opuszczonej w ziemi od słońca i znów przezeń na wiosnę ożywionej. — Cała Azja słała dary do tej świątyni. — Z nadludzkim przepychem odbywały się jej obrzędy, i z zwierzęcą sprośnością zarazem. — Tam rozwinęły się nasamprzód myśli Heliogabala — tam wola jego wolna i siła wszelka, zabitemi zostały u wstępu do życia, przez sceny fantastyczne, dalekie od rzeczywistości świata, przez wpływ rozwiązłego, zachwycającego klimatu — podług wszystkich podań był on niezrównanej piękności. — Biegały wieści pomiędzy ludem, że matka jego niegdyś była kochanką cesarza Karakalli, że on synem Karakalli, którego pamięć ubóstwiali żołnierze legionów. — Makryn, prefekt pretorium po zamordowaniu Karakalli, panował podówczas Rzymowi i światu, — ale jego rządy słabemi były. — Legia przechodząca przez Emezę, ujrzała młodego Heliogabala. — Piękność jego i pamięć ojca wzruszyły legionistów — do tego przydać należy wszystkie przebiegi i starania się Meosy, nie mogącej zapomnieć, że niegdyś siostra jej była pierwszą w Rzymie. — Ona to w nocy przypro-

wadziła Heliogabala i Scemidę ze świątyni do obozu Legii. — Tam syn Karakalli ogłoszony Cezarem. — Ulpius Julianus posłany przez Makryna, zabity na głowę — w tej bitwie Heliogabal pierwszy i ostatni raz w życiu pokazał się odważnym. — Makryn sam uciekając, dowiedziawszy się o zabiciu syna, zeskoczył z wozu i ramię złamał — głowę mu ucięli, zanieśli ją Heliogabalowi. — Odtąd poczynają się dni jego panowania, czyli ciągle marzenie, jakby się nie nudzić.

I żeby się nie nudzić, Halgah-Baala sprowadził do Rzymu — do jego świątyni kazał zanieść wszystkich innych bogów, bohaterów, palladium trojańskie, Vestę i puklerze Numy — z nich porobił służalców, urzędników, prokonsulów i nałożnice bogowi swemu — potem szukał mu żony. — Palladę Ateńską dał mu zrazu, potem ją rozwiódł i z Kartagi Venerę sprowadził — ta została.

I żeby się nie nudzić, jeździł wozami z Sycylii, trzymał fletniarzy z Egium, kucharzy z Elidy, piekarzy z Aten; kobiercami libijskimi zaścierał posadzki, kadził woniami z Syrii, posyłał po gołębie do Cypru, po perły do Lidy, po konie do wyspy Melos, po ostrygi do przylądku Pilos, po ryby do Hellespontu, po raki do Minturnu, po gruszki do Eubei, po śliwki do Damaszku, po winograd do Rhodu, po pomarańcze do Persyi, po cedraty do Palmiry, po granady do Antyochii, po daktyle do Fenicyi, po migdały do Naxos, po wino z Tasos woniejące jabłkami, i po wino z Sapprias rozlane wonią fijołków, róż i hyacentów.

I żeby się nie nudzić, zaprzęgał do wozu swego wielbłądy, lwy, słonie — nosił długą szatę medyjską zamiast krótkiej rzymskiej tuniki, z wielkiem zgorszeniem Rzymian; nosił diadema na czole wewnątrz pałacu, bo nie śmiał tak występować przed ludem, nosił koturny z drogich kamieni. Nigdy dwa razy nie widział tej samej sukni, ni obóvia, ni pierścienia tego samego — pływał w ogromnych wannach marmurowych,

w wodzie zaprawionej szafranem i najdroższymi woniami — spał na łożach srebrnych, na puchu łabędzim lub kuropatwim — pijał z czar kryształowych, bursztynowych, onyxowych lub złotych — za każdym daniem odmieniał wieniec na głowie — podczas pierwszego nosił wieniec z róż — podczas drugiego wieniec z fiołków, na trzecie kładł mirtowy, na czwarte narcysowy, na piąte bluszczowy, na szóste wieniec z papyrusu i róż splecionych — na siódme wieniec z lotusów aleksandryjskich.

I żeby się nie nudzić, kazał sobie podawać grzebienie wrywane żywym jeszcze kogutom — języki pawie i słowicze — mózdzki z kwiczołów i kuropatw, głowy z bażantów, kanarków i papug — przed stępującym w portykach pałacu, lub w ogrodach, idący niewolnicy rozsypywali róże i piasek srebrny. Raz kazał przynieść sobie dziesięć tysięcy pajaków — inną razą dziesięć tysięcy myszy — to znowu zachciało mu się dziesięć tysięcy kun i kotów — po odbytych igrzyskach rozrzucał między ludem zgromadzonym żmije i bazyliuszki. Parasytom swoim posyłał w darze naczynia najdroższe, zalutowane; pełne ropuch i niedźwiadków. Spraszał ich na biesiady do sal, których podniebia się roztwierały i wypuszczały deszcz z fiołków, róż i innych kwiatów — z razu rozkosznie się rozciągali pod temi spadającymi wieńcami — ale deszcz nie ustawał — coraz więcej przybywało kwiatów, sala przepelniała i nazajutrz wyciągano ich ciała przyduszone pod małgorzatkami i liliami — czasem znowu kazał wprowadzać do sali lwów i tygrysów ulaskawionych — i napawał się trwogą senatorów, konsulów, dworzan biesiadujących.

I żeby się nie nudzić, spróbował jak się jeździ po cyrku za pieniądze — został powoźnikiem, i zbierał sztuki srebra rzucane przez widzów — potem został płatnym muzykantem. Zdaje się, że jak ojciec jego Karakalla namiętnie naśladować chciał Aleksandra,

tak on sobie za wzór obrał był Nerona — tego Nerona, który przebijając się w jaskini jakiejś kampanii rzymskiej, wykrzykiwał do towarzyszków: „Patrzcie, jak artysta umiera!“

I żeby się nie nudzić, zamordować kazał Pomponiusa Bassusa — żonę jego młodą oderwał od ciała, które oblewała łzami i do swego łóża wprowadził — nazajutrz o świcie odesłał ją, już znudzony.

Dalej próbował czy też Vestalka święta, niepokalana, nie potrafi go zabawić, rozerwać. Nikt nigdy w całej starożytności na Vestalkę się nie targnął — tem ten pomysł nowszym się mu wydał i przyjemniejszym — sam Akwilią Sewerę porwał z przed ognia Vesty — nazajutrz odesłał ją, już znudzony. Wyprawił potem naumachią czyli igrzyska wodne, wśród cyrku na jeziorze z wina i wody piołunowej.

Siostra Scemidy Mammea odziedziczyła po matce silną wolę, bystry rozum i żądzę wywyższenia się. Jako Scemis wdała się była we wszystkie czary, symbole rozwiązłości wschodnie, tak Mammea oddawna poszła była drogą idealizmu, filozofii neoplatońskiej i nauk chrześcijańskich — syna swego Aleksyana obznajomiła z niemi. Aleksyanus miał w swoim *sacrarium* (kaplicy) posągi Pitagora, Abrahama, Orfeusza, Apolloniusa z Tyjany, i Chrystusa — żył tylko owocami i nabiałem — wiersze sam pisał, i czytał nieustannie Senekę, Virgiliusa i Cycerona. Mammea wniósła w siostrzeńca, że najprzystojniej jemu jak arcykapłanowi słońca, by trudził się tylko nadziemskimi czarami, a ziemskie sprawy, nędzne i mierne poruczył komuś. Heliogabal zrazu uwierzył, uznał tę radę za godną siebie i przybrał do spraw ziemskich Aleksyana, którego zaraz mianował Aleksandrem Sewerem, Cezarem i konsulem — wtedy zaczęła się z początku ukryta, potem otwarta walka w pałacu. Heliogabal chciał Aleksandra na swój obraz przetworzyć, a że Aleksander mu się nie dawał, rozwściekł się na jego matkę

i nauczycieli: Retora Sylwina skazał na śmierć; Ulpiana, sławnego prawnika, wygnał; Mammeę otoczył szpiegami; wreszcie Aleksandra kilka razy otrucć usiłował, ale nie udało mu się, bo czynne oko matki go strzegło; wtedy kazał senatorom by tytuł Cezara odebrali Aleksandrowi, a pretoryanom, by jego posągi zrzucili. Senatorowie zbledli, nie śmieli usłuchać. Pretoryanie podbudzeni i przekupieni przez Mammeę, rokosz podnieśli. Heliogabal ten sam, który przed trzema latami na czele legii Emezkiej, wyzwał był potęgę Makryna, i dzielnie sobie poczynał na polu bitwy bez zbroi, bez hełmu, prawie nagi, z jednym tylko mieczem w rękę, teraz uniżony, struchlały, udał się do obozu za miastem, i obiecał szanować i poważać brata Aleksandra. Wróciwszy, zaczął rozmyślać jakby się jego pozbyć najrychlej. Po niejakiem czasie dla wywiedzenia się ducha pretoryanów, kazał rozsiać fałszywą wieść śmierci Aleksandra. Znowu bunt się wszczął w obozie, znowu cesarz musiał brata żywego i całego pokazać żołnierzom, by ich uspokoić; ale kiedy stojąc na wozie, przemawiał do nich oparty na Aleksandrze, usłyszał zewsząd wznoszące się groźby; zdjęty gniewem, każe chwytać winnych zbrodni zelżonego majestatu; zamieszanie się powiększa, z jednej strony Mammea zagrzewa żołnierzy, z drugiej Scemis obiecuje im nagrody; ale Heliogabal ogarnięty strachem i przeczuciem śmierci, ucieka — w tej jednej chwili w życiu się nie nudził. Stronników jego wyrzynają pretoryanie. Aleksander ogłoszony imperatorem.

(Wieszczbiarze Syryjscy oddawna byli zgadli, że ich Arcykapłan niezwyčajną śmiercią zakończy życie, przepowiadali mu więc zawsze, że sam się zabije, do tego on był sobie różne przygotował narzędzia: czary zatrute, klingi zatrute, podwórzec brukowany u stóp wieży marmurowej drogiemi kamieniami. On chciał sobie śmierć przyprawić jako przyprawiał biesiady, rozpusty, igrzyska; ale w chwili śmierci, w tej jedynej

chwili mocnego czucia, nie nudy, zapomniał o wymarzonych, przygotowanych lubieżnościach zgonu. Z matką po prostu, bez dalszej analizy, skrył się w najodleglejszych tajnikach pałacu, w miejscach najprzystojniejszych Cezarowi Rzymskiemu, o których nawet Neron nie był nigdy pomyślał w ostatecznym niebezpieczeństwie. Tam pretoryanie go wykryli i zabili, głowę mu ucięli, ciało jego i matki wleczone po ulicach miasta w końcu wepchnięto do kloaki, ale że otwór był ciasny wyciągnięto nazad i do Tybru rzucono. Ostatnie przezwisko Heliogabala było Tiberinus.

W nim uczłowieczyły się myty wschodnie, symbole pozostały same w całej sprośności kształtów swoich, symbole głębokich, prawdziwych myśli, tylko że nie pamiętanych, zatraconych, i uczłowieczyły się, by tem pewniej, jaśniej, zniknąć z powierzchni ziemi. Symbol wschodni mógł być tylko takowym. Myśl najczystsza nie mogła na wschodzie przybrać formy czystej, bo jak tylko wcielała się, wpadała pod prawa natury tamtejszej, natury pochłaniającej wolność ludzką, nęcącej do rozkoszy, porywającej do zapomnienia, zaprzeczającej ducha przez własną piękność i siłę swoją. Zwykle historycy z pogardą mijają krótkie dni Heliogabala. Jako indywiduum, on jest jej godny, ale nie jako faktum historyczne. Od niego albowiem zwycięstwo Chrystusa codzień staje się pewniejszym, przez niego pogaństwo zeszło na najniższy szczebel, przez niego ukazało się oczywiście: że ono spruchniało, że owocu już żadnego nie wyda, bo w całej potędze, w całej rozległości swojej się w nim objawiło, nadaremnie. Heliogabal we wszystkim co czynił, i wyobrażał, jest starością i śmiercią, jest brakiem ducha, jest materią w gniciu. Opowiadają, że był nad miarę urodziwym, było to materyi a *Lightning before Death*, jak Szekspir mówi.

Str. 23. w. 10. *Ze senat przezwał cię już boską.*

W łacinie *Diva*; zwyczajnie wyrokiem senatu imperatorowie i żony ich stawali się bogami, stawiano

im posągi, świątynie. Dla tego tylu Chrześcian ginęło, że nie chcieli rzucać kadzidła na ołtarz pałacy się przed obrazami Cezarów. Antinous, ulubieniec Adriana po śmierci zapisany został w registr bogów za Senatuskonsultem, i za wolą Adriana.

Str. 31. w. 13. *Jam August, Antonin, Aureliusz.*

Imiona wielkich Cezarów policzonych po zgonie między bogi, stawały się tytułami dla ich następców lub książąt z rodu cesarskiego. I tak cesarze mianowali na Augustów, na Cezarów. Tak Heliogabal przybrawszy jako honorystyczne tytuły imiona najlepszych cesarzów, zwał się Antoninem, Aureliuszem i t. d.

Str. 33. w. 14. *Evoe Bachche!*

Wykrzyknik używany przy tańcach świąt Bacchusowych, oznaczający wesołość i komiczność.

Str. 34. w. 8. *Me hercule!*

Przez Herkulesa — wykrzyknik używany przez Rzymian.

Str. 36. w. 10. *Perystyl.*

Perystyl był to salon starożytnych. — Domy ich po większej części składały się z ciągu komnat idących jedna za drugimi tak, że stanąwszy w *vestibulum* t. j. u wejścia najczęściej ciasnego, można było od razu przejrzeć aż do *viridarium* czyli ogrodu zwykle kończącego dom z drugiej strony. Zaraz po *vestibulum* następowało *atrium* czyli sień, w której niewolnicy siedzieli i goście podrzędni przyjmowani byli. To *vestibulum* pośrodku którego było *impluvium* czyli sadzaweczka okrągła lub kwadratowa na zbieranie się wody deszczowej, otoczone było małemi izdebkami sypialnemi. Przez otwór nad *impluvium* wchodziło światło dzienne. Dalej było *tablinum* czyli podłużna sala wystrojona w kosztowności domu, za nią dopiero *perystyl*, kwadratowa przestrzeń otoczona zwykłemi kolumnami, zwykle bez

dach, przeznaczona przechadzce i rozmowom, potem następował *triklinium* czyli pokój jadalny, połączony z *viridarium* lub często w samym *viridarium*, gdzie stały posągi, kwiaty, krzewy. Ten cały ciąg komnat był na oko jako jeden kurytarz długi, urozmaicony tylko występującymi to rozstępującymi się ściany, posągami, freskami, ołtarzami bogów domowych w *vestibulum*, bogów innych w *perystylu* i *viridarium*. Izdebki, w których mieszkali niewolnicy, w których spali panowie, kuchnia, spiżarnia i t. d. były tylko przydatkowymi ciupkami do tego kurytarza głównego, z obu stron ciągnącymi się przy nim. Rozumie się, że w Rzymie i że w pałacu Cezarów wszystkie części domu nabyły większych proporcji, ale w ruinach Pompei ten tylko kurytarz główny przeznaczony na publiczność domowego życia t. j. na przyjmowanie gości, na biesiady i t. d. jest obszernym i pięknym, reszta złożona z pokojów ciasnych, niskich, słowem z ciupek.

Str. 42, w. 13. *Wielkiego Septyma.*

Septymiusz Sewerus, którego żona Julia siostra Moesy, matki Mammei i Scemidy. Po Septymiuszu nastąpił syn jego Karakalla, po nim Makryn, prefekt straży pretoryańskiej a dopiero potem Heliogabal.

Str. 43, w. 1. *Do cyrku Flawiana.*

Dzisiejsze kolizeum, wystawione przez Flawiusa Vespaziana.

Str. 45, w. 25. *Czyż boska Sofia...*

Sofia oznacza mądrość.

Str. 46, w. 24. *Przez bogi Many Antonina.*

Bogi Many czyli cienie, duch czyjś po śmierci. Na grobach nie pisali starożytni, poświęcone temu lub owemu: ale bogom Manom tego lub owego n. p.

*Diis manibus
Pueri Septemtri
onis. annor. XII. qui*

*Antipoli in Theatro
Biduo saltavit et
placuit —*

Napis znaleziony w Antibes — w nim cała nie-
użytość świata starożytnego rzymskiego się odbiła, dla-
tegośmy go tutaj raczej od każdego innego przywiedli.

Str. 48, 14. *Sztuką Danuów.*

Timeo Danaos et dona ferentes. — Virg.

Str. 49, w. 22. *Lucius Mummius nic nam nie zostawił.*

Lucius Mummius zabił Grecyę zburzeniem Koryntu.

Str. 50, w. 20. *Dulces moriens reminiscitur Argos.*

Cytacya z Eneidy. „Niech słodkie umierając
wspomina Argos.“

Str. 51, w. 30. *W Termach Karakalli.*

Były to kąpiele wystawione przez Karakallę.
Gmach, którego gruzy dzisiaj jeszcze są gmachem.
U starożytnych, kąpiel nie była rzeczą tak krótką
i mało znaczącą jak u nas. Najśłodsze godziny życia
przepędzali w Termach. Były to budynki pełne por-
tyków, ogrodów, bibliotek, przyozdobione arcydziełami
sztuk pięknych. Tam wyszedłszy z wanien marmuro-
wych, namaściwszy się najdroższymi kadzidłami, prze-
chadzali się lub słuchali filozofów, lub grali w różne
gry, ćwiczyli się w gimnastyce. — Czasem w Termach
bywały teatru i cyrki.

Str. 52, w. 8. *Chyba go Tyresias w piekle zrozumie.*

Tyresias sławny wieszczbiarz, syn nimfy Chary-
cloe — oślepiiony przez Junonę, darem prorocstwa ob-
darzony przez Jowisza. Do niego, do piekieł, zstępo-
wali bohaterowie ciekawi przyszłości i objawień o ta-
jemnicach życia.

Str. 53, w. 1. *Prawdziwego Krotoniatę.*

Mieszkańcy Krotony słynęli z siły i zręczności
w zapasach.

Str. 53, w. 31. *Jacta est alea.*

„Kość rzucona!“ słowa Juliusza Cezara przesadzającego Rubikon.

Str. 54, w. 14. *Vae capiti ejus.*

Biada głowie jego — zwykle przekleństwo u Rzymian.

Str. 57, w. 10. *Proh! Jupiter.*

„Ach! Jowiszu“ — zwykły wykrzyknik u Rzymian.

Str. 57, w. 24. *Ruk potrzęsających Tyrsami.*

Tyrsy, święte laski oplecione bluszczem, zakończone gronem winnem, niesione w igrzyskach i świętach Bachusa. Ukazanie się tego widma Aleksandra wielkiego znane jest w historii.

Str. 57, w. ostatni. *Podaj mi Falernu.*

Falernum, sławne wino u Rzymian.

Str. 58, w. 3. *Dii avertite omen.*

Poświęcony sposób mówienia u starożytnych, dla odwrócenia złej wróżby.

Str. 58, w. 5. *Alboż wyszło ci z pamięci, że syn wielkiego Septymiusza (Karakalla) i t. d.*

Ta cała mowa Irydiona zasada się na szalonej miłości, którą powziął był Karakalla ku pamięci Aleksandra Wielkiego. Karakalla był to człowiek bardzo mierny o żelaznych kaprysach niewoli, niezmiernie chępliwy, pełny drobnej miłości własnej, cierpiący niejako pomieszanie mózgu, zresztą odważny żołnierz. Koniecznie mu się wydało, że jest bohaterem, i że do ogromnych celów stworzyło go fatum. Postać, która najdzielniejszym bohaterstwa blaskiem świetniała nad światem greckim i rzymskim, postać Aleksandra W. obudziła w nim żądzę takiej samej chwały, we wszystkim go naśladował. Dworzanie twierdzili, że podobny jemu jak kropla do kropli; posprawiał sobie podobne zbroje, hełmy, szablę; głowę pochyloną na wzór jego

nosił, ale że nie mógł być zdobywcą i geniuszem, pocieszał się musztrami legionów; a że nie mógł zdobyć Tyru ni Babilonu, pojechał do Aleksandryi, miasta swojego własnego, i tam w jednym dniu wyrzwał połowę mieszkańców, udając przed sobą samym, że gdzieś zwycięża i morduje, jak niegdyś król macedoński. Nareszcie tyle kłamał sobie samemu, że uwierzył pod koniec dni swoich, że w rzeczy samej metampsychozą duch Macedończyka wszedł w niego, i zupełnie się ujednoczył z Aleksandrem Wielkim.

Str. 59, w. 2 od dołu. *Święty zamek.*

Kapitol, *arx sacra aeterna.*

Str. 60, w. 11. *Geniusz miasta.*

Każde miasto, każde państwo w pogaństwie miało geniusza swego, ducha opiekuńczego, niby Anioła Stróża.

Str. 61, w. 16. *Panowie amfiteatru.*

Tak nazywano motłoch rzymski.

Str. 62, w. 4. *Io Triumphe!*

Wykrzyknik używany w pieniach do Bachusa!

Str. 62, w. 24. *Ich fibule.*

Fibula, sprzączka, na którą sprzęgała się toga lub tunika na ramieniu.

Str. 63, w. 5 od dołu. *Salve Eternum.*

Formuła używana przy pogrzebach, pieśń przed zaniemieniem ciała na stos, tak samo jakby kto po polsku powiedział: „Ty wprzód nad nimi wyrzeczysz: Wieczny odpoczynek.“

Str. 66, w. 14. *Vale.*

Formuła pożegnania u Rzymian: „Bądź zdrów.“

Str. 67, w. 22. *Człowiek nowy.*

U Rzymian *homo novus*, zwał się plebejanin co dostał się do urzędu, lub człowiek z miasta obcego nie

mającego prawa obywatelstwa, co przyszedł do Rzymu i urząd pozyskał. Cycero był *homo novus* (un parvenu.)

Str. 69. w. 12. *Skonał w Spoliarium.*

Spoliarium, nazywało się miejsce obok każdego amfiteatru, do którego rzucano konających Gladiatorów, z ran odniesionych na Arenie.

Str. 72. w. 22. *Alma Venus.*

Alma przymiotnik zwykły Cybeli i Venery, znaczy wszytkorodząca.

PRZYPISKI DO CZĘŚCI DRUGIEJ.

Str. 78. w. 4 od dołu. *Pod Mausoleum Cecylii Metelli.*

Zdaje się, że obok tego pomnika wystawionego żonie Triumvira Krassusa, było ukryte wejście do katakomb. Dotąd stoi obok kościół św. Sebastjana w Kampanii rzymskiej od którego schodzi się w tę resztę katakomb, po której chodzić można.

Str. 79. w. ostatni. *Na forum romanum.*

Tak zwał się plac przed Kapitołem, na którym stały mownice i kurje, czyli trybunały, w których odbywały się sądy, a czasem narady senatu. Od tego forum, wstępowały schody aż na szczyty kapitolińskiego wzgórza. Tam na lewej wyniosłości, nad skałą tarpejską, stał kościół Jowisza Fereryjskiego, na prawej zaś Jowisza kapitolińskiego — *via sacra*, czyli święta droga tryumfujących, szła na forum przez łuk Fabiana, wychodziła zaś z niego, by już iść w górę na Kapitol, przez łuk Septyma Severa. Na przeciwko Kapitolu z drugiej strony forum, stała świątynia i klasztor Vestalek, bliżej zaś stóp wzgórza kapitolińskiego, świątynia Fortuny i Zgody; na samym zaś środku, na czystem miejscu była mownica. Kształt całego forum był równoległoboczny. Boki jego wszędzie zasute były rzędami kolumn ciągnącemi się przed świątyniami i bazylikami. Widok ten musiał być nadewszystko uroczy-

stym i wspaniałym. W architekturze starożytnej nie było uniesienia Ducha odbijającego się w gotyckiej, ale za to, najwyższa powaga ciała wszędzie panowała.

Starożytny Patrycyusz niewzruszony, z zarzuconą togą, odpoczywający po ofierze złożonej bogom, jest obrazem Architektury starożytnej. W niej każda część opisana, ograniczona, doskonale skończona. Idea miary i piękności, przeniesiona do okręgu zupełnie zawartego. — Niewzruszoność i jedność, są zatem jej piętnami, kiedy w gotyckiej ruch prawdziwy, różnorodność i nieskończoność żyją. — Możliwość powiedzieć, że architektura starożytna jest duchem zupełnie wcielonym w rozmiar, w materię, a gotycka materią pracującą, by się zidealizować, by zduchownić. Dlatego też nie ma kościoła gotyckiego prawie, którego by budowa zupełnie skończoną była, a nie było kościoła pogańskiego, któryby nie był zupełnie dokończonym w każdej części swojej. — Stąd pochodzi, że architektura pogańska, przenosi o wiele chrześcijańską pod względem sztuki, chrześcijańska zaś pogańską pod względem myśli, Ducha.

Str. 80. w. 20. *Że w tych cmentarzach śpią goście tylko.*

Napis był na jednym z wejść do katakomb. — *Cemeterium est domus, in qua hospites dormire solunt.* Cmentarz jest domem w którym spać zwykli goście.

Str. 80. w. 29. *To Likaoński Orfeusz.*

W katakombach pełno było rzeźb i malowideł symbolicznych po ścianach i na sarkofagach. — W początkach chrześcijaństwa, sztuka była całkiem symboliczną. I tak Orfeusz pierwszy mędrzec, poeta, założyciel towarzystwa, u pogan wyrażał Chrystusa; postać Noego, Izaaka, Józefa patriarchy, to samo znaczyły. Złoty świecznik o trzech ramionach wyrażał Chrystusa. Latorośl winna to samo. Lira była symbolem krzyża, palma zwycięstwa niebieskiego, krzyż z drogami kamieniami, otoczony wieńcami róż, z wiszącymi na złotych łańcuszkach dwiema literami grec-

kiemi *alfa i omega*, znaczył Boga, koniec i początek wszystkiego. Paw, był symbolem zmartwychwstania, a czasem znowu szatana. Oliwne drzewo było hieroglifem wieczności i pokoju. Cyprys i sosna, śmierci; kotwica, zbawienia; ryby, ludzi! — z powodu słów Chrystusowych do Apostołów: *Faciam vos piscatores hominum*. Delfin nadziei i umarłych, co z tego świata w lepsze strony się udali. Samson z wyrwanemi bramami na barkach, znaczył Chrystusa na tej zasadzie: *Tollit portas civitatis id est Inferni et removit mortis imperium*. Tu *civitas* raz znaczy czyn Samsona realny, drugi raz oznacza świat starożytny cały, który był tylko składem *civitatum* miast (*cité*) czyli egoizmów zamkniętych w sobie, najsrożej uciskających. W rzeczy samej, Chrystus zadał śmierć składowi temu, porządkowi całego świata starożytnego, powołując ludzi do braterstwa i wolności. To dowodzi, że i Chrześcianie pierwszych wieków, już czuli swoje powołanie polityczne. Dalej jeleń, znaczy Apostołów, kogut, czujność pasterską, a krzyż zawsze składał się z czterech gatunków drzewa; z cyprysu, cedru, palmy i oliwy.

Str. 81. w. 20. *Przynoszą mu Prochristum*.

Prochristum była to flaszeczka zawierająca trochę krwi męczennika, złożona na jego piersiach w trumnie, z wyrzniętymi literami: p. Ch. co znaczyło *za Chrystusa*. Dotąd w katakombach po takowym znaku, poznają ciała męczenników, gdyż nieraz żadnego napisu nie ma przy nich ani na grobie.

Str. 84. w. 13. *Apaga*.

Znaczy *precz*, używana formuła na odstraszenie szatana.

Str. 85. w. 6. *Czyś nie słyszała od wielu świętych, że już blizkie czasy*.

Od śmierci Chrystusa, aż do połowy prawie średnich wieków, trwała w chrześcijaństwie posępna wiara, że świat blizki ciągle końca i sądu ostatniego. Im da-

lej w lata, im dalej od Chrystusa, tem bardziej słabnęła ta wiara lub odkładaną była na odleglejsze czasy; ale w pierwszych wiekach Chrześcianie, osobiwie mistycy, pustelnicy, anachorety, spodziewali się lada nie codziennie powrotu Jezusa. Osobiwie na wschodzie, w Egipcie panowało to oczekiwanie. Rzymski Kościół od samego początku swego, był raczej praktycznym niż idealnym, raczej starającym się wcielić w kształt i potęgę, niż gotującym się na rozwzielenie się zupełne z wszelakiego kształtu; ale i na zachodzie jednak wielu wierzyło w blizkie ukazanie się Chrystusa, najbardziej do ustalenia tej wiary, przyłożyły się natchnienia św. Jana na wyspie Patmos, zawarte w znanej księdze Apokalypsis. W pierwszych i następnych wiekach, mnóstwo było podobnych księg objawień, widzeń. Niejeden męczennik konając, widział otwarte niebios, przepowiadał koniec rzymskiej potęgi, a zatem świata, a zatem z niebios zstąpienie Chrystusa. Bardzo pomieszane były i zawikłane pod tym względem domysły, nadzieje, życzenia pierwszych Chrześcian. Jedni sądzili, że wróci Chrystus, i że na ziemi zacznie się Jego panowanie, tę wiarę nazwano później wiarą w *Millenium*; bo później przeniesiono ostateczny termin sądu na rok tysięczny. W rewolucyi angielskiej siedemnastego wieku, znów znalazła się sekta polityczna i religijna, która tę wiarę wskrzesiła. Drudzy myśleli, że w rzeczy samej próba materyalna się zakończy, że ziemia zniknie z przestworów wraz z Rzymem, umarli powstaną, i że się objawi w przestrzeniach obiecana przez św. Jana nowa Hierozolima. Nic dziwnego w tem wszystkim nie było. Najprzód, na niektórych słowach samego Chrystusa przed śmiercią mogła zasadzać się ta wiara. Dalej, ludzie przyjmowani na łono Chrześcianstwa w pierwszych czasach, byli jeszcze bardzo materyalnie wszystko sobie wyobrażający; były to po większej części wyobraźnie rozgorzałe, cierpiące, rozdrażnione poniżeniem i niesprawiedliwością świata, pragnące by

wszystko i ludzie i natura przetworzonymi zostali. Codzień powtarzano im formuły chrześcijańskie, że świat ten materyi, jest tylko złudzeniem, że życie ludzkie jest cieniem znikomym, że jest inny świat duchowny, wyższy; codzień widzieli ginących z nadludzką odwagą, by do tego drugiego się dostać — i jakże nie było im czasem pomyśleć, że ten drugi wkrótce znijdzie, zniszczy niższy i sam jeden zostanie. Oni czuli się powołanymi do obalenia świata realnego, przesładującego ich. Oni jeszcze nie wiedzieli prawdy moralnej, że myśl zwycięża zawsze materję, jak kropla co kamień przedraża po wiekach wielu; sądzili więc, nie widząc w samych sobie żadnej potęgi świeckiej, że im Chrystus i Anieli przyjdą w pomoc, że w dniu jednym runie Kapitol i zarazem rozpadnie się ziemia, bo wiarą także równie silną, zakorzenioną w świecie ówczesnym było, że Roma stoi, dopóki świat stoi. Wreszcie wspólnym to jest przesądem wszystkim ludziom, że nie jasno pojmują jakoby mógł świat żyć dalej po skonaniu tego w czem wyrosli, czego sami częścią byli. Państwo rzymskie oczywiście wtedy zbliżało się do śmierci. Co potem nastąpić miało, nie mogło wcisnąć się w mózgi ludzi żyjących wśród państwa tego, a zatem bez dalszych domysłów świat cały na śmierć skazywali, błędnem przecuciem. Zdaje mi się jednak, że to było tylko wiarą ludu, ale nigdy naczelników Chrześcijaństwa Biskupi Romy przecuwali, że nauka Chrystusa, wcieli się jeszcze na ziemi w jedynowładztwo materyalne. Na tych to podaniach o końcu światach, o zmartwychwstaniu świętych, o zniszczeniu Romy, zasada się spisek Irydiona w katakombach.

Str. 85. w. 6 od dołu. *Trawa nie porośnie gdzie mój koń przeleci.*
Słowa Attyli.

Str. 87. w. 24. *Wyzwoleniec czytał mu Fedona.*

Dyalog Fedona o nieśmiertelności duszy, dzieło Platona, które Kato odczytał przed zabiciem się w Utyce.

Str. 97, w. 7 od dołu. *Cenotafy po ścianach.*
Cenotaf, nadgrobek po grecku.

Str. 105, w. 6. *Przed laty Herman.*

Po teutońsku Herman, po rzymsku Arminius, ten sam, który wyrzwał legie rzymskie pod dowództwem Varrusa. Znany jest żal Augusta i słowa: Varrusie, wróć mi legiony moje!

PRZYPISKI DO CZĘŚCI TRZECIEJ.

Str. 113, w. 11. *Irydion dobywa tabliczek i sztylem pisze na nich.*

Starożytni nosili zawsze przy sobie tabliczki polane cieniuchną warstwą wosku, po której pisali ostrem metalowem piórem, zwanem *Stylus*. Ten Stylus za-
tknięty mieli zwykle u przepaski tuniki, używali go czasem miasto pugała. Większa część spiskowych, którzy zabili Cezara, przyszła do senatu uzbrojona tylko w Stylusy. Brutus pchnął go Stylusem.

Str. 113, w. 18. *Byśmy go na krzyżu rozbili...*

Najohydniejszą śmiercią u starożytnych była śmierć na krzyżu, to samo co u nas na szubienicy.

Str. 114, w. 16. *Aż po Hyrkańskie Syrty i pustynie Jazygów.*

Hyrkania była nad brzegiem Kaspijskiego morza, blisko Partyi. Pustynie Jazygów między Dnieprem a Donem.

Str. 115, w. 13. *Przecie Hekatombę.*

Hekatomba, z greckiego ofiara z stu byków złożona. w przenośni każda wielka ofiara.

Str. 117, w. 10. *Zemsta jest rozkoszą bogów.*

Stare greckie przysłowie.

Str. 121, w. 10. *Od bram Kuryi.*

Kurya, kaźden budynek, w którym sąd lub senat się zbierał.

Str. 124, w. 20. *Eheu!*

Po łacinie: niestety!

Str. 128, w. 15, *Hesperus.*

Gwiazda wieczorna, Venera.

Str. 131, w. 3. *Polać zdrojem nafty.*

Nafta gatunek oleju ziemnego, palnego.

Str. 132, w. 1. *Zwycięstwem pod Zamą.*

Pod Zamą, Scypion afrykański zbił na głowę Hannibala.

Str. 132, w. 15. *Całun z amiantu dla popiołów Romy.*

Żeby rozeznąć po spaleniu na stosie popioły ciała od popiołów stosu, starożytni zwykli trupy obwijać w koszule utkane z włókien kamienia zwanego Asbest. Takie włókna prząść się dają i zowią się amiantem.

Str. 133, w. 10. *Manipule Sewera.*

Legia rzymska we trzy rzędy ułożona stawała na pobojowisku. Pierwszy rząd składali Hastati, drugi Principes, trzeci Triarii. Kaźdy rząd dzielił się na dwanaście manipuł. Dwie manipule stanowiły centurię, której przełożony zwał się Centurion, a trzy manipule składały kohortę. W manipuli bywało najmniej po sześćdziesięciu, najwięcej po stu dwudziestu żołnierzy.

Str. 135, w. 16. *Włosy Bereniki.*

Konstellacya z siedmiu gwiazd złożona, tak nazwana od siostry i żony zarazem Ptolomeusza Evergeta, króla egipskiego, która przyrzekła włosy swoje uciąć i zawiesić w świątyni Marsa, za powrotem męża z wyprawy do Azji. Dotrzymała obietnicy, ale włosy tej samej nocy zniknęły. Conon z Samos, nadworny astronom, przysiągł wtedy, że wyobserwował, jako

Zefir za rozkazem Venery wniósł je do niebios — i nazwał siedm gwiazd świecących obok ogona Lwa, włosami Bereniki.

Str. 136, w. 7 od dołu. *Ludowi Rzymskiemu przypomnę Brennusa.*

Brennus, wódz Gallów, który zdobywszy miasto i senat wyrznąwszy, kiedy okup żądany brał od Rzymian, rzucił jeszcze do szali miecz swój z tem słowem: *Vae victis*, biada zwyciężonym.

Str. 137, w. 14. *Potrójna Hekato.*

Dla tego potrójna, że nazywała się Księżycem w niebiesiech, Dianą na ziemi, Prozerpiną lub Hekatą w piekle. Epitet jej zawsze jest: *Dea feralis* — zgnębna bogini.

Str. 137, w. 17. *Jeżeli jesteś moim złym geniuszem.*

Było wiarą ustaloną pomiędzy starożytnymi, iż każdy z nich ma dobrego i złego geniusza. Brutusowi ukazał się jego zły geniusz przed bitwą pod Filippami.

Str. 148, w. 14. *Darujcie mi Kwiryty.*

Quirites, imię Rzymian od pocisku zwanego *Quiris*.

Str. 150, w. 3. *Sit tibi terra levis.*

Formuła, którą umarłych żegnali Rzymianie odchodząc od stosu lub od urny. Zwykle nawet te słowa pisano na każdym nagrobku: *Ziemia niechaj ci lekką będzie.*

Str. 150, w. 5. *Wśród tych kolumbariów.*

Pomnik dla uboższych ludzi podobny z kształtu do gołębnika z framugami, w których stały urny, nazywał się *Columbarium*.

PRZYPISKI DO CZĘŚCI CZWARTEJ.

Str. 158, w. ostatni. *Staął u progów Attala.*

Znaną jest rzeczą, że Senat Rzymski, wydzielwszy najpiękniejsze prowincye zdobyte na Antiochu

wielkim Attalowi, królowi Pergamu, kiedy tenże Attal umierał bezpotomnie, kazał je sobie zapisać i darować.

Str. 159, w. 4. *Podniósł się wśród Isthmijskich igrzysk.*

Przed wdaniem się jeszcze czynnem i zdobywczem do spraw greckich, poseł rzymski oświadczył publicznie na igrzyskach isthmijskich przed zgromadzonymi mieszkańcami wszystkich miast greckich, że senat i lud rzymski, wzięwszy na uwagę o ile niesprawiedliwe są żądania króla macedońskiego, i o ile piękną i pożyteczną jest niepodległość Grecyi, obiecują jej bronić wszelkimi siłami przeciwko napadom tego króla.

Str. 159, w. 14. *Syn Latony.*

Phoebus Apollo.

Str. 160, w. 8. *Bite drogi Aedyłów.*

Aedyle, urzędnicy przełożeni nad budowaniem publicznych gmachów, dróg, mostów, wodociągów itd.

Str. 160, w. 12. *Od Gadesu po ultima Thule.*

Gades, Kadyx dzisiaj. Thule, Islandya; prawie zawsze starożytni przydawali do niej ten przymiotnik *ultima* ostatnia, bo ją uważali za najodleglejszy kraniec ziemi.

Str. 160, w. 14. *Stoików obłąkane cienie.*

Ostatnim wyrazem szkoły greckiej Platońskiej, byli przy kończącym się starożytnym świecie, stoicy. Idealizm starożytny w nich się wcielił tak jak materializm u Epikurejczyków. Cnota stoika była wielką, ale niewzruszoną. Umieci umierać ale żyć nie umieci. Pierwszą ich zasadą było wstrzymywanie. Wstrzymywali się więc od wszystkiego, smutnym wzrokiem spoglądali na świat obumierający, ale nie szli go ratować. Zawarci w sobie, korzący się tylko przed sądem dumy własnej, którą nazywali sumieniem, wyszli na samolubów moralnych, pełnych nadzwyczajnej egoistycznej godności, ale niezwiązanych z sobą, nie na-

technionych iskrą wspólnego, towarzyskiego życia. Ich myśli i przepisy krążyły ciągle w idealnym świecie, nigdy nie dały się przystosować do ziemskiego. I dla tego też zostały nam tylko podania o ich sławnych zgonach, nie zaś o ich życiu. Marek Aureliusz Cesarz technął ich najczystszy, najpiękniejszym duchem. Jego maxymy przez długi czas pocieszały niejako ten świat codziennie bardziej się rozrabiający w rozpręganiu śmierci; ale i one nic nie utworzyły wielkiego żyjącego. Systema stoickie można by nazwać testamentem, w którym konający, nic nie zapisuje dziedzicom swoim prócz kilku smutnych uwag nad życiem. Pierwsi stoicy wprowadzili na świat chorobę zwaną *spleen*, odziedziczoną przez Anglików, której ostatecznym przesileniem jest samobójstwo.

Str. 160, w. 2. *Jako ojciec rodziny dzieci, jak Patrycyusz Plebejan.*

Wyobrażenia prawnika rzymskiego.

Str. 161, w. 1. *Jak w lasach Hercyńskich zbladłe kłękają pod nożem ofiary.*

W lasach hercyńskich Herman czyli Arminius otoczył legie Varrusa, pierwszych naczelników zabił w ofierze bogom Germańskim.

Str. 161, w. 2. *Nie lotnym gromem Aleksandra...*

Nigdy nie idealnie wyniosłego nie było w dziejach Rzymu, ale za to nikt nigdy na ziemi nie był bardziej *realnym, praktycznym*. Praktykował senat rzymski niesłychane podstępny i podłości od samego początku aż do końca Rzeczypospolitej. Nieprzyjaciół najczęściej pozbywał się zdradą. (Hannibal, Jugurtha, Sertoriusz, zburzenie Kartagi, Mitrydat,) przyjaciół zaś i sprzymierzeńców oszukiwał na wszystkie sposoby. (Grecya, Azja Mniejsza, Pergam, Egipt, Gallia itd.) Wytrwałość w złych losach, wiara, że Rzym stać powinien, bo powinien, bezczelność, która się niczego nie

wstydziła, sprawiły wielkość tego miasta. Nigdy Rzymianie nie puścili się na wyprawę młodzieńczą, poetyczną na wzór Aleksandra Wielkiego; nigdy myśl cywilizacyi nie powstała w ich sercu, jak w sercu ucznia Arystotelesa. Egoizm ciężko-materyalny wiódł ich wszędzie, dla tego nie starali się spajać ludów razem, nie usiłowali ich narodowości połączyć w harmonię, uczynić organicznej całości, ale zagubiali, niszczyli, wytępiali. Wyroki senatu rzymskiego są wzorem obłądki i nieskończonego świadczenia się bogami, powtarzania rozmaitych przepisów cnoty, sprawiedliwości, pobożności. W imieniu sprawiedliwości wyzuwali z własności, kraje wolne zamieniali w prowincye, lub królestwa, którym umarli królowie ogłaszali swojemi, na zasadzie praw najśmieszniej wynalezionych, najbezwstydniej utrzymywanych. Zarazem przybierali na się wszystkie pozory szlachetności, występowali ciągle niby to w obronie słabych, skrzywdzonych, a potem i skrzywdzonych i krzywdzących ogałali z posiadłości i władzy; układy zawierane przy niepomyślnych okolicznościach przez wodzów Rzeczypospolitej były tylko igraszką, bo senat zwykle ich nie potwierdzał, tłómacząc się tem, że ów pretor lub konsul nie miał dostatecznej władzy i wydając jego samego za karę. Potem ciągnął dalej wojnę, korzystając ze straty czasu, wyłudzonej na wrogach. Rzymian potęgą były także frazesy. Ich posłowie u dworów zagranicznych wciąż kłamali, wciąż opisywali siły swoje z największą bezczelnością i pychą. Udawało się im. Popilius Lenas najpotężniejszego mocarza wschodu, Antyocho Wielkiego, nie wypuścił z okręgu zakreślonego na piasku, nim odpowiedział na jego żądania; a jednak jeszcze wtedy Azya ledwo była słyszała o Rzymie; słowem, nikt Rzymowi nie zrównał w praktycznym rozumie, ale nikt też tak ciągle, bezprzestannie światu nie kłamał, nikt tak niecnie przysięg nie łamał, nikt na tyle potęgi nie wydał tak ogromnego zapasu złej wiary. W świecie ducha

dla tego też słabymi pozostali Rzymianie: nic nigdy nie znaleźli, nie odkryli. Literatury, sztuk nie mieli. Rozum ich, był przedewszystkiem adwokacki. Ich zdobywcze, podobne procesom z wielką sztuką prowadzonym, a ich ostateczne zwycięstwo, ich panowanie świata stało się zepsuciem i śmiercią świata. Ludzkość zgniła pod ręką Rzymu. Jedność, o której marzyli, była tylko skupieniem mechanicznem cząstek, nieorganicznymżywieniem wielkiego ciała, na czem się znali, to nam zostawili: — Kodexa — prócz tego nic a nic, bo wszyscy ich pisarze są tylko odbłyskiem cywilizacji Greckiej, prostem jej naśladownictwem i to bardzo niewolniczem. W świecie materji, panami byli w świecie ducha, niewolnikami. Karę swoją wycierpieli w samych sobie, przez siebie samych. Zginęli przez to, że nigdy prawdziwego życia politycznego ni towarzyskiego nie pojęli, przez to, że podbijali — nie urządzali — że wygubiali — nie pomnażali, że uciskali — nie uwalniali, że zbijali siłą — nie spajali duchem. Kiedy przyszło umierać Rzymowi, obejrzał się na okół, czy gdzie iskry życia nie odkryje, którąby mógł w stare żyły swoje zaszcześcić, ale nic nie ujrzał prócz trupów leżących u stóp swoich, i darmo wołał na nie w godzinie śmierci — one się nie przebudziły!

Str. 162, w. 21. *Euge, Euge!*

Wykrzyknik to samo co nuż a nuż, po polsku.

Str. 163, w. 4 od dołu. *Przy Rostrach.*

Rostra, mownica.

Str. 164, w. 5. *Ultimum Vale.*

Ostatnie pożegnanie przy pogrzebach.

Str. 164, w. 23. *Diespiter.*

Miasto *pater diei*, ojciec dnia.

Str. 165, w. 6. *Ojcem ludzi i bogów.*

Epitet zwykły Jowisza.

Str. 165, w. 10. *Czyż posiał kły smoka.*

Jason, dobywając runa złotego zabił smoka i kły jego posiał — z nich natychmiast z pod ziemi zbrojni męże wyskoczyli.

Str. 165, w. 22. *Marspiter.*

Zamiast Mars pater mówili Rzymianie.

Str. 169, w. 10 od dołu. *Gemonii.*

Studnia, w którą rzucono trupy złoczyńców.

PRZYPISKI DO DOKOŃCZENIA.

Str. 184, w. 13. *Błądą twarz Cyntyi.*

Imię Diany.

Str. 187, w. 8. *Nie ma purpurowej obłony.*

Podczas igrzysk, rozciągano nad całym amfiteatrem zasłonę, zwaną *velarium* dla uchronienia się od promieni słońca.

KONIEC.

POKUSA.



Ach! mętne krwią i łzami pędzą życia fale
I na nurtach potoku słyhać wieczne żale!
Z tyłu leżą przeszłości mgłą obwiane tonie,
Z przodu Niebo dalekie krwawą łuną płonie;
A w około pływaczy tak zimno i ciemno,
Że każdy woła płynąc: »przeklęstwo nademną.«

Matko po sześćkroć zabita, matko nieszczęśliwa, — jednym smugiem zielonym, łanem jednym kłosów ty pamięć obwiązesz i odtąd cierpieć, błdzić, kochać cię muszą syny twoje. — Za nimi grób od morza do morza, — przed nimi, gdziekolwiek idą, zachodzące słońce, a idących przeklinają mocarze i kupcy!

Wzrosłych na łonie śmierci nie rozumieją żyjący — pobledną twarze ludzkie przed wzrokiem upiórów — na odgłos ich stąpań płomień ognisk domowych pochyli się i głązy ogniska zamiecie, — matka okryje dziecko, żona uprowadzi męża, by nie podał dłoni przechodniowi — gwiazda im tylko wieczorna, gwiazda grobów uśmiecha się w górze!

Wszak święte było milczenie borów sosnowych? — a kiedy wiatr się podniósł, wszak wołał nad waszemi głowy szmerem tajemniczym, jak modły arcykapłana! — Boga waszego nie ma tu już nigdzie. — Tu szkielety z drewna, okute żelazem, podsycane parą, zaległy przestrzenie; — w powietrzu nie unoszą się orły, w zaroślach nie świegocą ptaki — rączego konia tu żaden z was nie osadzi na stepie i nie spojrzy z dumą, sam jeden wśród świata!

Przechodząc więc i wy im odwdzięczajcie się wzgardą; — kiedy was zawiodą do miast bez świątyni i zamków, pod domy białe tynkiem, którym wygodą prócz zielonych okiennic skąpiła ozdoby, powiedzcie: „Umarli!“

Kiedy na brzegach morza staniecie wśród żydów, Ormian i Greków, swarzących się o podłe zyski, a grzmot co luczny nad falą, niesłyszanych przemija. — „Umarli!“

Kiedy na około snuć się będą niewiasty, ciała ubrane w suknie, a polot ich sukien, powiewem trącanych, duchowniejszy niż dusza ich. — „Umarli!“

Idźcie, płońcie jak szum nietkniętych borów. — Świat was nie pozna, bo wy z trumien rodem — i zmartwychwstając, po drodze rzucacie szmaty całunów, a on na spadzistościach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny!

I ujrzał jakoby w cudownem widzeniu obraz zmieniający się jak długie życie, a znikomy jako dzień jeden, co się pocznie rankiem, a prędko pod cienie wieczoru zaleci.

Ranek był dziwnie przejrzysty, wolen chmury wszelakiej. — Słońce wschodziło nad szeroką przestrzeń zieloności — przed domem na wzgórzu koń osiodłany rył murawę kopytem i rzał chwytając w nozdrza powiew z doliny. — Obok stał młody, ledwo że młody pan jego, z iskrą światła w oku równą dziennej jasności, z jedną nogą na strzemieniu, z drugą jeszcze na miękkiej domowej murawie — z jedną ręką na grzywie szumiącej, z drugą w dłoni człowieka, z którym się zegnał, nie wiedzieć na jak długo, jednak nie na zawsze.

I z serca ku sercu szły na przemian jednego i drugiego słowa. Starszy, ten co stał i miał odejść pieszo, wzrok wbity trzymał w dalekie skały i bory za smugami zieloności. Tamten wzniesione miał oczy, całą pił błękit źrenicą i głos jego brzmiał jak najpierwsze świeżej struny dźwięki. — Starszy przemawiał wolniej i surowiej, znać radził, przestrzegał i zaklinał — znać kochał mocno — znać wątpił nieco — a młodszy nie wątpił, przysiągł, rzucił się na szyję przyjaciela, wnet potem na siodło — i poleciał, poleciał jak potok z góry na dół, potem jak strzała po równinie. — Chmara sług sypnęła się z domu starożytnego i goni za Panem!

Wtedy pozostały ukląkł, i słyszałem, co mi wiatr przyniósł z jego modlitwy: „Ojcze niebieski! dozwól tej duszy rozkwitającej nie zwiędnąć na ziemi. — Nie wódź jej na pokuszenie, wszelkiego poddaństwa ludzkiego odsuń od niej znamię. — Niechaj tobie służy tylko. — Matce po sześćkroć zabitej niechaj służy tylko!“

Tu umilkł klęczący i zdał się głęboko rozpamiętywać, czy przeczuwać, czy też modlić się wciąż jeszcze — aż ścisnął dłonie z sił wszystkich, i znów wiatr przyniósł mi słowa jego: „Ojcze niebieski! nie proszę cię za przyjacielem, byś mu osłodził mękę życia — on cierpieć musi jako wszyscy na świecie. Jedno uskąp mu, Panie, rumieńca wstydu i hańby słabości!“

Po tych słowach ze wzgórze puścił się wędrowiec i szedł pieszo ku dalekim skałom, ku lasom czarniawym.

Znów razem zeszli się oba, konny i pieszy, o południu dnia tego samego, przed wielką bramą miasta. — Już skwar słońca wypalił ciemnawe ślady na młodszego czole, już rosa muraw wyschła na jego strzemionach i rdza połysk ich stali szpeciła, a koń przylatując z daleka, stanął jakby znużony, choć żarem jeszcze pryskały mu oczy! — Pieszy siedział na głazie od stóp do głów siwy kurzawą. — Młodzieniec skoczył lekko na ziemię, rzucił mu się w objęcia i konia sługom oddał i wszedł bramą wielkiego miasta, wiodąc towarzysza ku pałacowi.

Spoczęli oba w jednej z wewnętrznych komnat pałacu. — Tam rozmawiali przyciszonym głosem, jakoby się lękali z za ścian ucha nieprzyjaciół. — Młodzieniec na perskim kobiercu rozciągnięty odwilżał usta w srebrnej czarze. — Starszy nie dotknął się puławy kiedy mu go podawał przyjaciel, nie ścigał wzrokiem po stołach i ścianach, kiedy mu ich kosztowności skazywał przyjaciel. — Wstał nareszcie i wzięwszy młodzieńca za rękę, zawiódł go do okna. — Stamtąd całe miasto widne i tłumy snującego się narodu. — Miasto ogromne, dziwne, jednostajne i wybielone; — naród

dziwnie silny, jednostajny, w czarnej odzieży. — Młodzieniec patrzył ciekawie; starszy wędrowiec westchnął i rzekł: „Kiedy was zaprowadzę do miast bez starych świątyń i zamków, powiedzcie: „Umarli!“

Ale młodszy patrzył jeszcze ciekawiej: przejeżdżały niewiasty, jaskrawe były barwy ich sukien; każdą dwa rumaki ciągnęły, a jeden z nich odrywał się w bok i pędził śnieżną zasłoną, gdyby żaglem rozpiętym otoczony. — Starszy wędrowiec westchnął i rzekł: „Kiedy na około snuć się będą ciała ubrane w suknie, a polot ich sukien duchowniejszy niż dusza ich, powiedzcie: Umarli!“

Ale młodszy nie zdawał się słyszeć słów przyjaciela. — Tymczasem na niebie zbierały się zewsząd ciężkie, spiekłe chmury. — Jakżeż ta godzina południa różną już od porannej była!

A wśród narodu czarnego zaczęli snuć się ludzie, przed którymi naród głębokimi chwiał się ukłony — kuse ich stroje, migocące złotem, przetkane barwistemi wstęgi. — Długi, chudy oręż przy ich boku — grube piór czuby na ich głowach; głosem twardym wołając szli w potęgde swojej i uderzali dzieci pozostałe na drodze. — Jęły płakać dzieci, jął tłum się cofać i uciekać; oni jedni zostali na rynku, a coraz ich więcej przybywało — i kłaniali sobie samym coraz grzeczniej, coraz niżej, aż jeden konno nadjechał i wszyscy upadli na ziemię. — Snać ten jeden był panem życia i śmierci!

Wtedy rzekł pierwszy wędrowiec: „On już na spadzistościach — on w purpurze potęgi schodzi do trumny.“ — Lecz młodzieniec wlepiwszy wzrok w jasne szaty jeźdźca, ich błyski pił całą żrenicą, tak jak niegdyś błyski niebios i nie zdawał się słyszeć słów przyjaciela. — Dopiero kiedy ten drugi raz je powtórzył, zakrył on oczy dłonią i wyrzekł imię matki zabitej, jakby wspomnienie dzieciństwa. — Starszy przyciskając go do piersi: „Nie patrz! nie patrz na nich“ zawołał. — „Nigdy! Nigdy!“ odparł młodzieniec i za-

lany łzami rzucił się znowu na wschodnie kobierce. — I usłyszałem modlitwę odmówioną w duchu nad leżącym, przez odchodzącego wędrowca. — „Ojczye niebieski! o południu tej strasznej próby, błagam cię za tym, którego ukochałem. — Ojczye niebieski! teraz już o cud proszę ciebie. — Osiódz tej duszy walkę życia — uwolnij ją od pokus, któremi inne otoczyłeś w tych miejscach, by nie upadła jak owi dawni, najpiękniejsi w twoich niebiesiech, strąceni za to, że pragnęli potęgi!“

Sam teraz, sam jeden wśród miasta wielkiego został młodzieniec i musiał się bratać z ludźmi napotkanymi. — Na Niebie już w ołowianą blachę zlepily się chmury. — Co chwila zmieniają się kształty ulic i komnat i osób, a on wszędzie pomiędzy niemi oko moje ciągnie za sobą. — Niesłychane cierpienie zakrył on spokojnym lic pozorem. — Ciągłe za nim wije się rój złych myśli, wzorem czarnych owadów — po drugiej stronie leci rój dobrych w błękitnawe iskry. — Pierwsze osiadają mu serce i toczą je krwawo, drugie krew spiekłą wypalą z serca i rany zabliznią — lecz nowe coraz głębsze powstają. — Wszędzie niebezpieczeństwo i wszędzie męczarnia — niema komu się zwierzyć, dzieciom i niewiastom nawet kłamać musi; uczy się kłamstwa jak arcydzieła sztuki, i posiadał je — i stał się panem spojrzeń, sztuki i łez i ruchów swoich, aż jasność równa dziennym promieniom znikła z jego źrenicy. — Boże! i same szaty jego stały się kłamstwem; zrzucił dawne, w których latał po stepie, wziął na głowę czuby piór i chudy oręż przypasał u boku; tłum jął przed nim się cofać i koń go własny nie poznał, gdy wchodził na podwórcę pałacu swojego — poglaskał mu grzywę, a on nie zarżał — chciał skoczyć nań jak dawniej, a on dęba stanął. — Gniewem zdjęty pchnął więc konia szpadą; szlachetny rumak oderwał się od słupa, krwią bryzgnął i uciekł grzmiąc podków łoskotem. — Ślad długi iskier bruk osypał za

nim i zagasł w zmierzchu. — Ach! już była nadeszła zmierzchu godzina!

Wtedy po trzeci raz w dniu owym, z przyjacielem spotkał się młodzieniec; ujrzałem ich obu w kościele. — Ten kościół stał na ustroniu i krzyż na nim różny był od wszystkich innych zatkniętych na świątyniach miasta. — Ubogie ołtarze i stropy grubą powleczone żałobą, a trzy gromnice tylko paliły się wśród szerokiej ciemności. — Jedną z nich wziął do ręki pieszy wędrowiec i patrzył na przyjaciela pełnym żalu wzrokiem. — Tamten zrazu nie mógł słowa wyrzec, bo zapomniał był słówmi głęb duszy objawiać; raz tylko krzyknął. — W tym krzyku cała ozwała się prawda — ducha niechęącego upaść powolne niszczenie! — I złożył głowę na ramię towarzyszowi i spuścił powieki jakby marząc, iż może uda mu się zasnąć na wieki w tej chwili! — Lecz towarzysz ocucił go i rzekł: „Za mną, za mną! byś sobie postać matki przypomniał.“ — I poszedł przodem ku rozwartym drzwiom za wielkim ołtarzem. — Mroźny wicher buchał z podziemiów — gromnica przewodnika biła się z powiewem w długie iskry rozczochrana. — I szli oba długo bardzo, coraz niżej zstępując do łona nocy, aż z ciasnego przejścia wydobyli się na głuche i niezmierzone obszary.

Ogniki nocne spadały czasem na kształt zlatujących gwiazd — czasem podniosły się z dołu jak wschodzące księżyce. — W ich świetle snuły się długie cmentarze jeden po drugim, a na każdego bramie tłało srebrne imię ludu, który na nim leżał zamordowany. — Po kościach i czaszkach przechodził młodzieniec i czytał napisy. — Zdawało mu się, że cienie umarłych pomykają się przed nim spłoszone i jęcząc uciekają dalej — aż zrosł się z nich tuman podobny do burzy, co chwila ogromniejszy, szumiący tysiącem smętnych pieśni rodzinnych. — Znać było jakoby migotanie szabel i przewiew sztandarów w powietrzu. — Łuny pożarów jak błyskawice rozlewały się w przestrzeniach

i gasły na przemian, a coraz hyżej i coraz dalej toczył się wir duchów, aż nagle spuścił się na dół, rozsypał się jak zeschnięte liście, przyległ do ziemi jak letnia kurzawa, wołając: „Ojczye niebieski! zmiłuj się nad nami!“ — Wtedy zatrzymał się przewodnik i kląkł przed wniściami do otwartego grobu, na którym imię po sześćkroć zabitej paliło się białym płomieniem; — a kiedy powstał, drżał od stóp do głów świętem prerażeniem zdjęty; a kiedy próg przestępował, zaczął płakać rzewnie!

Smętne światło jesiennych pogód oświecało tamtejsze przestwory; niby to wieczór już nadchodzi, a na wzgórzu łagodnie pochyłem leży trumna pod wysmukłą sosną; na jej szczycie orzeł przeszyty w własnej krwi uspiomy — a w trumnie postać z krzyżem na piersiach, z zasłoną na twarzy, z okowami na ręku, z koroną na czole. I wzgórz takich sześć po sobie, przedzielonych zielonemi smugami, kędy krew płynie na wzór szmerzących ruczajów, kędy oręż połamany zielskiem zarasta; a na każdym wzgórzu też sama trumna i postać też sama, jedno coraz więcej krwi, coraz na dłoniach leżącej cięższe łańcuchy i światło jesiennie, co chwila bledsze; wreszcie u stóp ostatniej wyżyny, zmarzłe sterczą krwi potoki, na sosny konarach wiszą sople lodu i miasto zasłony, śniegiem twarz umarłej przykryta. — Tam gdy doszedł młodzieniec, padł czołem na grudę zimową i przeklął życie!

Dalekie pozostałych cieniów u bram grobu słycać westchnienia, płacze; wreszcie zapytały: „Czy skonała już po sześćkroć przebita, czy nie powstanie już nigdy i nas biednych nie wywiedzie?“ — Starszy wędrowiec nic nie odpowiedział, bo okiem miłości patrzył na towarzysza w tej chwili i dźwigał go z ziemi ramieniem. — Wtedy powstało narzekanie wszystkich dalekich pomarłych ludów i jednym krzykiem ogromnym ciszę śmierci zrzucili: „Ojczye niebieski! tyś zdradził nas! Tyś wydał nas piekłu, bo Święta nasza skonała.“ —

Ale przewodnik odegrzmiał im z dali: „Nie bluźńcie, bo Święta wasza odrycha jeszcze. — Widzę ją! śpi w trumnie ostatniej na zamarzem wzgórzu — za niem już nie ma siódmego, tylko jedno jest zmartwychwstanie.“ — A ryk duchów wołających opadł i przerzucił się w szmer cichy i słodki jak początek nadziei!

Wtedy spostrzegł młodzieniec niedojrzane dotąd za trumną obszary. — Tam pałał blask jutrzeńki na błękicie bez końca; stamtąd było słyhać szczeł, jeszcze nienarodzonych bitew i pieśń zwycięstwa. — Lecz zorza przez chwilę tylko jaśniała, chrzest przez chwilę tylko dzwonił, milczenie i zmierzch i zimno wróciły. — Czas już odejść. — Oba wstąpili na wzgórze, pochylili czoła i usta na stopach postaci złożyli i z pod śniegu słabiuchny oddech ust jej zasłyszeli. — Potem też samą, widziałem, jak wracali drogą, strasznemi wiążąc się przysięgi.

A starszy żegnając młodszego u wnijscia do kościoła, rzekł dziwnie zaklinającym głosem: „Nie daj się uwieść tym, którzy chcą zgubić duszę twoją i wymazać imię twoje z rzędu słów zacnych na ziemi. — Pamiętaj, że cokolwiek ujrzysz tej nocy jest piekiel złudzeniem.“ — I położywszy dłonie na sercu młodzieńca: „Ojczye niebieski! zawołał, zlituj się nad nim i nademną; bo jeśli on tej okropnej próby nie wytrzyma, ty wiesz, że ja sam jeden zostanę na świecie.“ — Po tych słowach kaźden z nich różną poszedł drogą.

Teraz już ciemna noc była w onem wielkiem mieście. — Mnogie po ulicach ruszały się tłumy, wszystkie w stronę jedną, kędy światło tysięcznych lamp wołało do zamku brzmiącego wrzawą muzyki i tańców. — Po wschodach miedzianych wiodących w górne komnaty, wspinają się młodzi i starzy, męże i niewiasty; wszyscy spieszenie, chciwie, jakby szli do Nieba. — Powoli mijają godziny nocy, dłuższe niż wszystkie poprzedzające dnia tego, a o którejś z nich ujrzałem

młodzieńca na owych wschodach, z daleka starszą już twarzą, na której ślady przysiąg zρέcznie się ukryły. — Cisnął się za nim orszak sług, rzucił im płaszcz swój i darł się wyżej strojny i wspaniały, gość równy pysznym godom! — Lecz za ledwo wszedł i spojrział na tysiące płasające w tych miejscach, na przepych rozwieszonych łupów, na oręża pryśnięte i wprawione w sklepienia wzorem mozaiki, zbladł od gniewu i zgryzł wargi do krwi — ale tłumy lecące porwały go między siebie — tysiąc skrzypców, piszczałek i rogów pijanem powietrzem oblały mu głowę, woń kadzideł wkra dła mu się do mózgu, jedwabne kobierce lubieżnie łaskotały go w stopy, co chwila innej barwy światło grało mu w oczach — aż znękany, upojony, siadł na uboczu i pochyliwszy skronie zamarzył się o licach niewieścich, o śnieżnej dłoni jakiejś. — Wtedy usłyszałem jak biła jedna długa nocy godzina.

Kiedy podniósł oczy, ujrzał przez rząd roztwartych podwoi dalekiej świetlicy tron słonecznej jasności, górujący po nad morzem ruchomem tancerzy, a na nim siedział Jedynowładca życia i śmierci, pod wiązaniem z chorągwi. Z jednej, rozdartej na szmaty, czasem kropla krwi padała, lecz nikt na nią nie zważał prócz młodzieńca! — Na ten widok, wszystką siłą duszy odegnał wabiące mamidła i spojrział wzrokiem czystym od pokus, tak jak w godzinie poranku.

W tem tłumy rozginać się zaczęły w prawo i na lewo, od tronu aż do młodzieńca wytknęła się szeroka ścieżka przez wszystkie komnaty. — I z tronu zstąpił Pan zamku i szedł zwolna jakby Bóg jaki wśród padających na ziemię; — prosto szedł ku siedzeniu młodzieńca, na krok nie zboczył, zbliżał się coraz bardziej, cudownie piękny i silny! — Tamten wstał i śmiało spojrział mu w oczy — pan życia i śmierci nie zmarszczył brwi, owszem rzekł łudzącym głosem: „Chodź! przejdziem się razem — i dziwy ci zamku mojego pokażę“ — a kiedy młodzieniec stał jak przykuty, on

sam przystąpił, złożył pocałunek na jego czole i pociągnął za sobą.

Z trumną matki wijącą się przed oczyma szedł młodzieniec a ramię jego drgało krwi kipiącej biciem na twardem ramieniu mocarza, który srogim głosem grząc ku rozstępującym się, dziwnie miłym i szlachetnym wciąż przemawiał do towarzysza. — Wspominał o przeszłości, wymówił nawet imię matki zabitej bez wzdrygnięcia, jakby jej śmierć nie ciążyła na jego sumieniu; nie zdał się na chwilę powątpiewać, że znikła już z ziemi na zawsze i wskazał młodzieńcowi inną przyszłość ogromną, wyrytą w księgach przeznaczenia — nęcił ku niej młode jego żądze, nie szczędził obietnic, a czasami udawał natchnienie gdyby prorok Boga. — Od twarzy jego urodziwej jak twarz Antychrysta, ku ziemi wzrok odwrócił nieszczęsny młodzian. — Każde słowo kusiciela kroplą jadu padało mu na serce i z niej robak się wylęgał. — Tak przeszli razem długi szereg komnat wśród ludzi czołem bijących o malakity posadzek.

Na drugim końcu zamku, nagle na rozkaz pana spiżowe bramy się rozwarły, i tysiące podźwignąwszy głowę, chciwie po za ich progi spojrzały: „Oto skarbiec mój, rzekł mocarz, patrz i uwierz we mnie.“ — A młodzieńcowi się wydało, że stoi na brzegu kopalni ciągnących się bez końca. — Blask bijący z ich jarów i urwisk pożerał źrenicę: toczyły się tam potoki płynnego złota i srebra; tęczą przeskakiwały nad nimi łuki z ametystu. — Słychać było gwizdy podziemnych płomieni, trzęsły się wzgórza, rwały się jaskinie, a świeże dyamentowe bryły lepiły się z ich gruzów. — Czasem też odzywał się jakoby krzyk konających, jakoby szczęk kajdan z głębi — i przesuwały się postacie ludzkie po tych smugach jasności jak czarne plamy księżyca. — Wtedy oko pana w górze rudym płonęło gniewem, postacie wznosiły ręce i tłukąc łańcuchami przeciągle wołały o jedną kroplę wody, o je-

dną chwilę odetchnienia. On nie raczył im odpowiadać, a co chwila jedne padały w ogień wewnętrzny kopalni, a drugie równie okute i umierające na ich miejsce wschodziły. Zdało się młodzieńcowi, że rysy niektórych widział gdzieś dawniej na powierzchni ziemi, lecz błyskawice przesłoniły mu ich twarze — szum topniejących kruszców zagłuszył ich jęki — blask równy pogodzie pustyni wszystko zalał i pokrył. — Wtedy bramy spiżowe zawarto, a pan życia i śmierci odchodząc, rzekł: „O dwunastej bądź w sali tronowej — tam zasiądziesz do biesiady przy mnie.“

Teraz gdziekolwiek udał się młodzieniec, witały go tłumy okrzykiem. — Byli i tacy, którzy mu rękę całowali za to, że dotknęła się dłoni ich pana. — Pytali się jakie pieśni lubi, i wnet muzyka je grała — przynosili mu słodkie w czarach przejrzystych napoje. — On dziwił się i gardził zrazu, potem spojrzał dumnie i rozkazywać zaczął.

W przeszlicznej ustroni, wśród pachnących krzewów, na aksamitnych kobiercach spotkał pań zamężnych i hożych dziewic grono. — Ledwo wszedł, one go otoczą; każda go wita różanym uśmiechem, każda mu szeptem do ucha w przelocie, i rzuca kwiatami na niego. — Gorączką nabiegły mu lica, uczuł że zdołałby w zamku wroga być szczęśliwym i to uczucie jak piorun strzaskało mu serce. — Ucieka — one gonią za nim szumiąc powiewnemi szaty. — Przez dwie długie tej nocy godziny widziałem jak splełtany, pomieszany, walczący, prosił się czasami Ojca niebieskiego o siłę i cnotę, to znów w rozpacz przebiegał sale godowe i szukał broni, by pchnąć się w piersi, — ale nie znalazł jej nigdzie! — Były inne w których, odwróciwszy się do czarownych postaci, przeklinał je i lżył, rozdzierał ich muślinowe przesłony i deptał nogami. — One płacząc i korząc się wołały: „O raz, raz tylko powiedz, że jedną z nas kochasz!“ wreszcie krzyknął w obłąkaniu: „kocham!“ — Porwał w objęcia cudzego

rodu dziewicę, wrzące usta złożył na jej ustach, a ona go powlokła do sali tronowej.

Tam pan życia i śmierci zasiadł był na nowo pod zdobytemi sztandary. — Uderzyła jakaś nocy godzina: — dworzany stanęli w około. — Zwinęła się w górę makata kryjąca drzwi platynowe. — Herold zawołał na czekających za progiem, a weszły posłanniki królów wschodu i zachodu. — Długo w uroczystym stąpali przewodzie, a każdy składał u stóp tronu urnę szczerozłotą, napelnioną popiołami tych, którzy walcząc w świętej sprawie po różnych stronach świata polegli; — a kiedy przeszli wszyscy, wstąpił wódz zbrojny, w książęcych gronostajach, i ostatnią urnę postawił na ziemi. — Młodzieniec ujrzał imię matki zabitej na jej wypukłości — stało mu się ciemno przed oczyma — nic nie widział przez chwilę, nawet kraśnej towarzyszki — słyszał tylko zapytanie pana: „Czy zaprawdę umarli i nie powstaną?“ — i odpowiedź posłów wszystkich: „Zaprawdę nie powstaną nigdy“ a wtedy przystąpili dworzanie i po obu stronach sali na słupach z czarnego granitu rozstawiwszy urny, płomień do ich wierzchów przytknęli. — Zapaliły się prochy sinym ogniem, blade dymy powiły się w powietrze i poniosły panu woń śmierci!

I zdało się młodzieńcowi, że, wszystko co widział o godzinie zmierzchu, snem było; zdało mu się, że te tłumy są świata panami, a król ich wszechmocny na zawsze. — Przez wszystkie zamku komnaty jeden stół się podniósł i stanął wśród urn płonących. Dziewica prosiła oblubieńca, by zasiadł do biesiady; pan schodząc z tronu sam skinał na niego i miejsce mu wskazał i wszyscy, którzy tam byli, gdy dwunasta biła, zasiedli do onego stołu.

Prosto młodzieńcowi w oczy stał słup dźwigający matki popioły. — Ile razy nań spojrzął, puchar upuszczał na ziemię; lecz mu go nazad podawała narzeczona. — Jednak coraz groźniej i straszniej pasował

się duch jego obłąkany, usiłując powrócić do dawnych wiar i nadziei; ale wszystko co go otaczało, grubą zasłoną ómiło mu poznanie. — Zatrute krążyły zdrowia — on na cześć pana wychylać je musiał — osłabły piersi, dreszcz rozwiązał członki; skronie zimnym potem zlane pochyliły się; ludzie, urny, sklepienia pogmatwały się przed jego wzrokiem. — Głosy rozmów, dźwięki muzyki, słowa oblubienicy, pomieszały się w okropny hałas nieznośny, mdlejącemu; — i tak minęły przedostatnie godziny!

On żył jeszcze, ale nędznem serca biciem, kiedy ostatnia uderzyła jak grzmot po nad jego głową. — Rozemknał powieki — płomienie urn dogasały. — Pan życia i śmierci, nachylając się ku niemu, uśmiechnął się łaskawie: „Gościu biesiady mojej“, rzekł, „czas byś mi przysiągł na służbę i wyrzekł się starożytnego imienia — i rzucił mu przez stół garść dyamentowych krzyżów, dodając: „noś to na pamiątkę moją.“ — Herold stanął przy młodzieńcu i rotę wyrzeknięcia się czytał z księgi czarnej, a konający powtarzał słowo po słowie, nie słysząc własnego głosu. — Głowa jego opadała na usta oblubienicy, usta jeszcze się ruszały, ale już bielmem zachodziły oczy — i wymówił tak wszystkie wyrazy, aż do ostatniego! — Lecz zaledwo skończył, wstał Pan życia i śmierci: „Sługo sług moich, zawołał, śmierć od powrozu kata cię czeka, jeśli kiedy złamiesz przysięgę...“ potem rozśmiał się gardłem całym. Podniósł się nieszczęśliwy, a za pierwszym spojrzeniem, spotkał urnę matki — lecz miasto jej nagrobku inne tam już słowo stało: „Hańba“ wy-czytał młodzieniec. — „Hańba“ krzyknął zrywając się z miejsca ostatkiem sił — „Hańba“ odrzekły mu ty-siące z tyłu, z przodu, z boków — „Hańba“ powtó-rzyły zamku sklepienia od sali tronowej po skarbcu kopalnie; — a jedni z pośród tłumu zaczęli nań wo-łać jego nowem, cudzoziemskim imieniem; drudzy skacząc naokoło, przypinali mu krzyże. — Inni kazali

mu by się im kłaniał; inni by deptał po matki niedopalonych popiołach!

To mu krew napowrót pchnęło do serca i rzucił się naprzód, rozbił otaczających, wyleciał z komnaty, szuka wzrokiem narzeczonej — ona gdzieś w oddali stoi już oparta na ręce drugiego i szydzi także. Jak może więc sunie po za posągami, przepada w framugach; lecz zaraz go wykryją i znów uciekać musi — w sto manowców zamek płącze się przed nim, a nigdzie schronienia: wszędzie na około obelgi i groźby, a w nim samym przekleństwo! — Obrócił się ku wrogom: pasował się długo, aż rzucili go pod stopy i przeszli po nim śpiewając mu pieśń jakąś z stron jego ojczystych. Gdy powstał, inni nadbiegli, a on wyzywał ich jeszcze, aż spieniony, krwawy, znów zaczął się cofać i szukać wyjścia z zamku. I bił się i targał i biegał i padał aż do pierwszych świtu brzasków — wtedy runął ze wschodów miedzianych i stoczył się na podwórzec zamkowy.

Tu go uchwyciły silne ramiona i uniosły daleko aż na stopnie kościoła widzianego o godzinie zmierzchu. — Teraz już blizki wschód słońca — lecz dla młodzieńca nie będzie drugiego poranku na ziemi!

On odzyskał przytomność i w niemej rozpaczystał na wschodach przed starszym wędrowcem, który rzekł ponuro: „Wiem, że w innym czasie i na innym miejscu mógłbyś być zajaśnieć bohaterem — ale wśród ciężkiej próby naznaczonej ci od losów, nie umiałeś być cnotliwym. — Widoma rzeczywistość przemogła w tobie nad niewidomą, świętą, wiekuistą prawdą; zgubionyś!“ — „Wróć mi konia!“ — krzyknął młodzieniec — „wróć mi szaty stepów i dawną broń moją, a ujrysz jak mścić się będę krzywd bratnich i własnego shańbienia.“ — I czepiał się rąk przyjaciela i zawieszał mu się na szyi gorejąc wściekłością; — a tamten smutniej jeszcze odpowiedział jemu: „Czas głośnej walki nie nadszedł. — Długo jeszcze dni mil-

czących poświęceń trwać muszą, a choćbyś się doczekał sądu i zmartwychwstania, policzą cię własni bracia w poczet odrzuconych! — Stamtąd, czy słyszysz, iż wrogi gonią za tobą! — Jeśli cię schwytają, przez resztę życia ty będziesz ich woli służalcem, ich zbrodni spółnikiem, ich żartu igraszką. — Jeden tylko, jeden ratunek pozostał dla ciebie“ i dobył sztyletu. — Młodzieniec zrozumiał i z dziką odwagą rozdarł szaty nad piersiami. — „Uderzaj! — zawołał — umieram synem matki po sześćkroć zabitej — cześć jej na wieki!“ — Jęknął wędrowiec i w tych nagich piersiach żelazo utopił; — padł bez krzyku nieszczęśliwy w pierwszych promieniach wschodzącego słońca, o tej samej porze, o której wczora pełen nadziei i siły, pchnął był konia z góry na dół w poprzek stepów życia. — Upadł, a oko jego gasnąc błysnęło dawną iskrą światła. Kląkł przy ciele towarzysza i wznosił w górę załamane ręce: „Ojczy niebieski! ty wiesz, że go wśród wszystkich najmocniej kochałem na ziemi. — Pókim mógł, broniłem go od pokus piekła; a gdy upadł, w pierwszej chwili upadku duszę jego wydarłem wrogom i posłałem Tobie. — Ojczy niebieski, zbaw ją w wieczności, a niech ta krew przezemnie wylana, połączy się z morzem krwi niewinnej, co jęczy u stóp tronu Twego — i wraz z nią spadnie na głowy kusieli.“ — Po tych słowach widziałem, jak sam drasnął się pod serce żelazem, i na kamieniu po nad głową umarłego czerwonym ostrzem napisał: „Z ręki przyjaciela.“ — Wtem wrzaski walącej zgrai huknęły w pobliżu — porwał się wędrowiec i uchodząc znikł z przed oczu moich w przybytku kościoła.

Tak przeszedł i zakończył się ów dzień jeden mojego widzenia.

O! matko po sześćkroć zabita! kiedy wstaniesz ze snu, kiedy znów zasiądziesz nad łąkami zbóż, wśród zielonych borów od morza do morza, a w chwili od-

młodnienia przypomnisz sobie długą zmorę śmierci, straszne widziadła męczeństwa — nie płacz, matko moja! nie płacz nad onymi, którzy polegli w imieniu twojem na rodzinnych lub zamorskich niwach. — Choć sępy i wilki rozdarły ich zwłoki, oni szczęśliwi! — Ani płacz nad tymi, którzy wśród katów w głuchych umarli podziemiach — choć im kaganiec więzień, jedyną gwiazdą, choć im twarde słowo ucisku, ostatniem na ziemi pożegnaniem było — oni szczęśliwi! — Ale uroń Iżę litości, o uroń Iżę, matko moja! nad losem tych, których rozum blichtrami fałszu złudzili morderce twoi, nie mogąc serc ich oderwać od ciebie przemocy rozkazem. — Oni! matko! oni więcej wycierpieli niż reszta synów twoich. — Omylone nadzieje jak noże przesyły im piersi, w okręgu ich ducha odbyło się tysiąc walk nieznanych i krwawszych od bitew, co grzmiały w obliczu słońca chrzęstem stali i loskotem działa. — Widmo twoje służyło im za cień własny; lśniące oczy wrogów sprowadzały ich pochyłością lodu ku głębi zimna wiecznego, a na każdym urwisku zatrzymując się, płakali za tobą! — aż serce wyszło im z tęsknoty, aż wychudły im ręce i nogi w niewoli bezwidomych kajdan; — i stali się jako trupy żyjące, sami wśród nienawistnego ludu, sami w domach własnych, sami jedni na szerokiej ziemi! — Matko moja! ty nad dolą ich, ty nad męką mąk wyrzeknij ciche słowo przypomnienia!

K O N I E C .

TRZY MYŚLI.



TRZY MYŚLI

POZOSTAŁE

PO

Ś. P. HENRYKU LIGENZIE.

Z ARLYM W MORREALE, 12 KWIECZNIA 1840 R.

PRZEDMOWA WYDAWCY.

Regestra, listy do przyjaciół i instrukcye dla officyalistów, pisać, pisałem, — ale co innego, ni umiem, ni chcę, ni potrzebuję, — a czemu dziś biore się do pióra; ba! do druku, pokrótce opowiem.

Na wiosnę tego roku, przyplynałem z żoną i dziećmi do Sycylii, sam nie wiem po co i na co — ale za co, to wiem. — Ja wiem i mój komisarz pan Ordasowski, chociaż siedzi w Polsce. — Święte przysłowie — gdy czego zachce się kobiecie to i sam szatan nic nie wskóra. Zachciało się żonie mojej do Włoch. — Z kraju więc mnie powlokła aż do Florencyi, skąd chciałem powracać, a z Florencyi do Rzymu, skąd chciałem powracać, a z Rzymu do Neapolu, skąd chciałem powracać: aż tu, patrzaj, dalibóg musiałem z nią popłynąć morzem, do Palermu. Przeprawa jaka taka, w nocy wiatr się zerwał; niech mu Pan Bóg nie pamięta, ale tak kołysał się ten okręt parowy, że aż wszystkie gwiazdy nieustannie nam dygały pokłony na Niebie — ale co prawda to prawda — nad rankiem cudne znów było powietrze. — Zatoka gdyby tylko błękitna, ale to aż granatowa — góry, wyspy, zdają ci się pędzlem malowane na Niebie — a samo

Palermo, miasto duże i porządnie stawione — lud tylko gałgański, skacze, biega, piszczy, wrzeszczy, żebrze, kradnie, zdiera czy na ulicy, czy w gospodach, zwyczajnie Włochy, aż pfuj! do licha!

Lecz nie o tem mowa — podróży pisać nie myślę — niech moja żona, jeśli się podoba Jejmości, napisze. — Uczyła się języków, umie grać i śpiewać, czyta francuskie romanse, Balzaków, Szatobrjandów i wielu inych, którzy mnie nudzą — ona może pisać. — Ja chcę tylko po prostu powiedzieć, jakom się dostał do tych rękopismów, które dziś wydawać muszę.

O trzy mile włoskie (pół naszej ukraińskiej) od Palermu, jest wioska Morreale, w której, mówią, że tam kiedyś mieszkali królowie Sycylijscy. Gdyby nie katedra i cmentarz i parę pałaców, toby nie było na co patrzeć — nie ma nawet zajezdnego domu — brudno, pusto, ciasno. Dalibógci u nas lepiej! Żona moja koniecznie prosi się tam jechać. — Album bierze z sobą, chciała rysować widok — ja biorę dubeltówkę, bo mówili, że niebezpiecznie; nająłem powóz, sadzam dzieci, pojechaliśmy. Nie ma co mówić — znać, że człowiek już za morze się dostał — wszędzie koło drogi wzgórze krągłe jak głowy cukru, najeżone w kaktusy, w aloesy — kwiatów czerwonych, jakich nigdzie nie ma, krocie — cyprysów tyle co dzid kozackich — a powietrze ma w sobie coś mydlanego, niby kapie ci do płuc, jako przedziwna oliwa, wyborne dla suchotników; szkoda, że od urodzenia zawsze miałem piersi jak mur.

Jedziemy więc, bardzo powoli, bo wciąż pod górę. — Żona siadła na przodzie, patrzeć na dolinę w miarę jak się odkrywała. Ja fajkę pałę. — Pułkownik Wilczek, któregoś tej zimy spotkał w Liwurnie, wracającego z Orientu, dał mi dwa funty tytoniu — mówił, że Sultań innego nie kurzy. Nic smaczniejszego nie palił.

Przyjeżdżamy wreszcie — musieliśmy stanąć w kawiarni, bo gospody nie ma. Ledwośmy wysiedli,

dwóch, trzech, czterech, dziesięciu obdartych, jak z pod ziemi, wysypało się hultajów — każdy krzyczy że jest przewodnikiem — Ciceronem, jak to tam ich zowią — musiałem ich sam rozganiać, bo żonę chwyтали za suknię, wrzeszcząc, „*moro di fame*“, co znaczy, umieram z głodu; a potem, „*Complimentate me!*“ co znaczy, daj co, bo u Włochów komplement to miedziak — a jeden z nich mniej obszarpany, poznał że my Polacy; okropny węż mają Włochy do cudzoziemców, i wysunąwszy się, rzekł do mnie, ja zaś już po włosku nie źle rozumiem i gadam, choć nie lubię tej komedyi z łacińskiego języka przerobionej; otóż ten Włoch prawi do mnie:

— Eccelenza — niema z czego się pysznić, bo wszystkich tak mianują — ja znam Polaków, ja zaraz poznał, że Signor z tą piękną Signorą po polsku mówi. O Polacy to dobrzy panowie — niech im Madonna Santissima zdrowie daje.

Zdziwiłem się nie pomału i mówię: — kiedyś taki sprytny, to cię biorę na Cycerona; — a innych odpędzwszy, poszedłem razem z żoną i dziećmi do katedry, pytając się po drodze Włocha, jakimby on sposobem znał język nasz?

A ten mi zaraz bajać zacznie, że tu niedawno umarł na suchoty młody Polak, co przypląnąwszy z Malty, mieszkał sześć miesięcy w Morreale, znać dla zdrowia. Że go wszyscy znali, co dzień widywali, kiedy w południe wychodził, opierając się na ramieniu służącego z którym rozmawiał tym samym językiem co ja z żoną — że ten służący nigdy słowa po włosku nie mógł się nauczyć — że tylko o swoim panu mówił „Lienza, Lienza!“ i płakał przed ludźmi, bo codzień pan gorzej się miał; chudł i bladł, aż nareszcie umarł; a służący go na cmentarzu pochował.

— Cóż to znaczyło to Lienza! — zapytałem się.

— A to było imię młodego pana, — odparł mi Włoch.

— Pleciesz, nigdy żaden Polak nie zwał się Lienza, to chyba Włoch jak ty sam.

A hultaj mój kiwnął głową i powtórzył, zaklinając się na bożka Bachusa, że to był Polak, i że zwał się Enrico Liienza.

— Prowadź na cmentarz, ty! — zawołałem; — zobaczym, jeśli prawdę mówisz, piastra, jeśli kłamiesz, kijem, by cię nauczyć, nie mieszać Włochów z Polakami.

A on przystał, pewny swego i wesół jak chłop co idzie do karczmy — lecz chciał bałamucić — wprzód katedrę nam pokazać.

— Na cmentarz! — krzyknąłem, już zły, a chcąc skądinąd prawdy dociec, czy też może być, by leżał wśród samych Włochów, sam jeden, biedny szlachcic polski. — Jeśli tak, to warto nasamprzód pójść do niego — a ciekawości i antyki na potem!

Żonę więc pod rękę, córkę i syna naprzód, i walę za Włochem — Włoch do klasztoru. — Gdzie ty tam idziesz? pytam — on mi prawi, że cmentarz w środku klasztoru — kiedy tak, to idź.

I prawda — prowadził nas poganin przez kurytarzy malowanych mnóstwo — chciał freski tłomaczyć — ja go ręką w plecy, ale delikatnie. Co mi tam freski, kiedy o kilka kroków dalej Polak leży. — Aż tu weszliśmy w ogromny czworobok bez dachu, otoczony rzędami kolumn — ładne kolumny, cienkie jak grube trzciny — dziwnie wyrabiane u spodu i góry, w grona winne, ptasie dzioby, głowy ludzkie — a każda obwiedziona mozaiką zieloną i złotą, gdyby pasem perskim.

Żona moja zaraz powiedziała, że to architektura po Maurach — nie w ciemię bite były te Maury, kiedy takie marcypany stawiali.

W środku czworoboku, na łące pełnej róż i cyprysów, kamień po kamieniu białym, pomniki, figle, posągi — aż w głowie się kręci. — Lecz to na potem wszystko; choć żona chciała oglądać, ja nie dałem i pchałem Włocha przed się — a mój wiercipięta skacząc przez groby i krzewy, bieży do kąta pod murem

i krzyczy, „*Eccolo!*“ i wyciąga rękę mówiąc znów: „*Complimentate me.*“

Dalibóg gdy się zbliżę, gdy spojrzę, znak święty krzyża uczyniłem. Czym mógł się spodziewać?... oto stał przedemną krzyż drewniany, niski, ledwo że ostrugany, a na nim napis farbą czarną:

ZGON HENRYKA LIGENZY.

1840 roku, 12 kwietnia.

— A co nie Liienza, a co nie piaster? — zawołał Włoch.

Ja mu trzy rzuciłem, i zdjąwszy furażerkę, mówiłem Zdrowaś Maryo, a potem zacząłem przypominać Imości, że to niegdyś wielka familija była w Polsce, z osiem kartek w Niesieckim jest o niej, ileż to dygnitarzy i senatorów z tego gniazda wyszło — a teraz co? — pożał się Boże! — Ostatni, bo nie słyszałem by inni jeszcze to imię nosili w kraju; a może są który go noszą, ale nie wiem o nich. Tak, zapewne, ostatni z Ligenzów tu leży za morzem, na wyspie wśród obcych, prawda że pod ciepłym Niebem i między kwiatami — ale co mu po tem Niebie i kwiatach!

Syn mój starszy Kazio (młodszy, Tadzio, został w domu z guwernantką), i moja Teodolincia (matka tak ją przezwała, choć ją ksiądz wyraźnie ochrzcił z wody i z ceremonii Barbarą — Urszulą), oboje uklękli i pacierz zmówili.

Tymczasem żonie mojej przyszło na myśl, by zaraz kamień uczciwy sprawić P. Ligenzie wśród tych magnatów włoskich, bo aż wstyd, że szlachcie polski tak nago śpi na cudzej ziemi — z takim krótkim słowem, przez pocziwca służącego, niezgrabnie napaćkanem — i zaraz też, bo dowcipna kobieta, zaczęła, chodząc wzdłuż i wszerz, inny napis, zdaje mi się wierszami, układać.

A ja wołam: — Moja panno kochana, trzeba naprzód do wsi wrócić, a tam o wszystko się dopytać,

wywieźć — z kamieniarzem się rozmówić — i dopiero wtedy pisać, a nie teraz gdy jeszcze nic nie wiesz.“

Włochowi zatem obiecuję dobry kompliment, jeżeli mnie zaprowadzi do gospodarza u którego mieszkał P. Ligenza — Włoch zaraz idzie, słowo w słowo żyd faktor u nas. Żonę z dziećmi zostawił na cmentarzu. — Tak Imość chciała, mówiąc, że będzie czytać na grobie włoskim, jakiegoś poetę Niemca.

Co niechlujnych i ponurych kątów w tym Morreale, to strach. — Wreszcie doszedłem do porządnego domu, na wzgórzu, z ogrodem skąd widać miasto Palermo i całą zatokę — anim patrzył — gospodarz stał na progu i jadł melona — mój Cyceron mrugnął na niego. — Już to oni sobie zaraz tam na migi, wszystko co chcieli powiedzieli. Gospodarz jednak wyglądał na poczciwego i łebskiego ówika — z żalem prawie zaczął o panu Ligenzie:

— *Signore*, szkoda tego młodego pana. Taki był cichy, spokojny, wspaniały. — Żył miernie, ale regularnie płacił za wszystko — grosza długu nie zostawił — prawda że i grosza na pogrzeb także, ale ja i służący pochowaliśmy ciało. — Mówiłem służącemu: „Zostań z nami, wy kieruję cię na Vetturyna“ — ale on nie chciał ani się po włosku nauczyć, ani tam zostać gdzie pan na jego ręku skonał, i odpłynął pierwszym statkiem — nie wiem gdzie — podobno do Francji — ale i on niedługo pożyje, bo po śmierci pana rozpił się z rozpaczy.

Wtedy się zapytał czy nie zostawił P. Ligenza jakich papierów lub rzeczy.

Gospodarz jakby sobie nagle coś przypomniał, wziął mnie za rękę, i przez wschody zawiódł do porządnej izby, na drugim piętrze.

— Tu mieszkał, na tem łóżku umarł, patrząc się w morze i na *Concha d'oro* (tak przezwali sobie dolinę w której leży Palermo), a przed śmiercią sam widziałem że pieczętował zwój papierów, i zasował potem

w głąb tej szafy — służący pewno o nich zapomniał, bo gdy stąd ruszał, był jak waryat jaki.“

To mówiąc otworzył szafę. — Prawda, pod półką, leżały papiery, wzięłem — ołówkiem na wierzchu napisano było: „Ostatni ślad myśli znikającej. — Jeżeli kiedykolwiek wpadnie w ręce Polaka, niech czyni z nią co mu się podoba — ja chciałbym, by ją wydrukował.“ I nic więcej, tylko te słowa, i owe trzy ułamki, które w niniejszym tomiku wydaję.

Przyznam się, że czytając je, małym co zrozumiał — nawet niezupełnie, oprócz dobrych chęci. — Są to i każdy powie to samo co ja, dziwaczne szusy umierającego na suchoty, bo jużci pytam się wszystkich wobec i każdego z osobna, co te wiersze o Cieniach znaczyć mogą, gdzie, jak twierdzi żona moja, która je na czysto przepisywała, raz to niby o człowieku, to znowu o Panu Bogu mowa? Co te widzenia Chrystusów, te święte Piotry co padają, kiedy świętego Piotra na własne oczy widziałem i wieki jeszcze stać będzie, bo tak mocno stawiany jak żaden inny kościół na świecie — co ten niby kardynał, niby Jan apostoł, co papieża żegna i błogosławi — a to wszystko smalone duby — ale darmo, woli ostatniej P. Ligenzy musiałem dopełnić, kiedy mi Opatrzność jego dziełka do rąk wtrąciła. Z umarłym nie można jak z żywym! czy umarłemu co wyperswadujesz? a kiedy już tak żądał niechże i tak będzie! Tęskno mi było za nim, serdecznie tęskno — gospodarz mnie odprowadził aż do cmentarza. Idąc plółł rozmaite szczegóły o nieboszczyku — powiadał, że był śniadej cery, bardzo zapadłych ale świetnych oczu i dziwnie powolnych ruchów — lecz, że kiedy raz się rozgniewał na trzy miesiące przed śmiercią, to Włocha, który z nożem gonił za żoną, jak to zwyczaj u nich, gdy porwał za piersi i wrzasnął, to Włochowi aż krew z nozdrzy i z ust buchnęła. Zresztą nigdy nikt go niecierpliwym ni złym nie widział. Często grywał na fortepianie,

który sobie z Palermo sprowadził. Lubił całe noce czuwać i grać — to mu nawet szkodziło! A na kilka dni przed śmiercią zawołał gospodarza do siebie i biorąc pałasz kosztownie oprawny, rzekł do niego: „nie mam już z czego płacić tobie — wkrótce już za nic nie będę potrzebował płacić. Sprzedaj ten pałasz i weź com ci winien“, a gdy to mówił miał łzę dużą w oku.

— I cóżes wasan uczynił? — zapytałem gospodarza.

— Sprzedałem — odpowiedział.

Mało com Włochowi w oczy nie plunął, osobliwie, kiedy mi zaczął opisywać pałasz. — Zdaje się, stara to broń była po Ligenzach, na rękojeści turkus — na klindze krzyż i imię familijne.

Jeszcze mi się tęskniej i smutniej zrobiło.

Ale czem był P. Ligenza, ale gdzie ostatni raz widział się z swoimi, czy miał krewnych jakich, czy odbierał od nich listy, czy przepędzał życie w kraju, czy za granicą, czy teraz tylko z Malty, czy z innych stron odleglejszych tu przybył, tego na żaden sposób dociec nie mogłem, bo i sam gospodarz nic a nic o tem nie wiedział.

Zatem nie wiele żonie do nagrobku pomogłem, gdym wrócił na cmentarz, ale już był w głowie napisany. Ułożyłem się z P. Balduccinim (tak zwał się gospodarz) by mi wynalazł rzeźbiarza. — Sztukę marmuru białego kupiłem, a po tygodniu gdym wrócił z Palermu by przekonać się, czy mnie też czasem nie oszukali Włochy, zastałem na cmentarzu kamień mój z napisem żony mojej, zaraz przy krzyżu, który zostawić byłem kazał — bo co sługa na grobie pana postawi, to święte. — Po tem Bóg sądzi, że to dobry pan być musiał!

A napis nasz taki:

TU. ZASNAŁ. DO. CZASU.

Ś. P. HENRYK. LIGENZA.

NARODEM. POLAK.

ZNAKOMITEGO. NIEGDYŚ. W RZECZYPOSPOLITEJ.
RODU.

ŻYCIEM. NIEZNANY.
 ŚMIERCIA. WŚRÓD. OBCYCH.
 NA WYSPIE. DALEKIEJ.
 GODZIEN. ŻALU. I MODŁÓW.
 POCHOWANY. PRZEZ. SŁUGĘ.
 WIERNEGO.
 POMNIKIEM. UCZCZONY.
 PRZEZ. PODRÓŻNYCH. ZIOMKÓW.
 KTÓRZY. GO. NIGDY. NIEZNALI.
 TYLKO. MYŚLI. JEGO. CZYTAJĄC.
 UCZULI. ŻE. ON. BYŁ. ICH. BRATEM.
 NA ZIEMI.
 A TERAZ. ŻE. O NICH. MODLI SIĘ.
 W NIEBIESIECH.

Tak żona moja chciała, trochę tam kadzidla co do tych myśli czytanych — no — cóż robić — lepiej podchlebiać umarłym niż żywym!

Com miał powiedzieć, powiedziałem — napisałem. — Ale kiedy to już ma pójść do druku, to jedno jeszcze dodam, że mi się we Włoszech dwie tylko rzeczy nadzwyczaj podobały — podpora w Koloseum postawioną przez papieżów, by stare mury nie gruchnęły i błota Pontyńskie, całkiem do naszej Pińszczyzny podobne — chciałbym był w nich polować, ale czasu nie miałem.

Niechże Bóg teraz świeci nad duszą pana Henryka Ligenzy — com mógł uczynićem dla niej!

Pisałem w Szafuzie, na przejeźdźnym, 1 Lipca 1849 roku.

Stefan, Szczęsny, Bogdan Mielikowski,
 przydomku i herbu Gozdawa.

SYN CIENIÓW.

5. Tedy Anioł, któregom widział na morzu i na ziemi, podniósł rękę swoją ku Niebu.

6. I przysiągł przez żywiącego na wieki wieków, który stworzył Niebo i to, co na niej jest, i morze i to, co w niem jest, że czasu już nie będzie.

OBJAWIENIE Ś. JANA, ROZ. X.

Syn cieniów patrzy w otchłań, w ziemię, na dół.
 Moc go nieznana z ciemni wyrzuciła,

Dzika wilczyca piersią wykarmiła,
I pod Tytanem stęknął ziemi padół.

Poszedł w pół senny i darł się po górach.
Zawisł; ssie wilgoć na gór szczycie, w chmurach,
Aż mgła wisząca pęknie u skał szczytu,
I światło spadło z krainy błękitu.

Pojrzy syn cieniów w oddal, w górę, w Niebo,
Wyciągnął ręce do wyżyn wszechświata.
Choć z ziemi rodem, już ziemią pomiata,
Nektar gwiazd mlecznych, ust jego potrzebą!

Ale nim wdzieje szaty człowieczeństwa,
Nim się rozbierze z powicia natury,
Musi z nią walczyć i znosić tortury
Olbrzymie, straszne Tytanów męczeństwa.

Aż w starożytnej odmětu zawiei,
Wyjdzie przemienion i „jestem“ zawoła,
Ludzka mu piękność wyjrzy wtedy z czoła,
W sercu zakwitnie kwiat błędnych nadziei!

Choć Boga tylko zna on gniewu panem,
Choć pozór dotąd mu prawdą jedyną,
I przeciw losom brata się z szatanem —
Ta dola płynie, bole te przeminą!

Przez długą pracę ludzkiego męczeństwa,
Znów się rozbierze z szaty człowieczeństwa,
Myśl, która truje, krew własna co krwawi,
Glinę mu z serca wyżre i przetrawi —

Cierniów koronę przywiąże do skroni,
I lzę miłości nad bracią uroni,
Cierpiąc i wierząc w Ojca Niebieskiego,
Jak duch nieszczęśny — lecz wolny od złego!

Aż znów się zbudzi odwieczna tęsknota,
Dni zwątpień wróca, pokusa się wzmoże,

Znów mu się wyda, że z niego sierota,
Rzucony oślep na zaguby morze!

Ale złe przejściem — tylko pyłem drogi —
Jeśli piorunem — to doczesnej burzy —
Jeżeli cierniem — to łodygi róży
Której kwiat płonie tam gdzie bogów progi!

Ten co dziś wątpi — co od wieków jęczy,
Gwiazd swych się dowie i zamieszka z niemi,
Bo w gwiazdę Nieba przetworzy krąg ziemi
Wiążąc go z Niebem, innej wstęgą tęczy.

Stąpaj więc dalej, o synu światłości!
Stąpaj ku światów nieodkrytych stronie!
Wszystko co żyje, świeci, dźwięczy, płonie
Twojem, na drogach twej nieśmiertelności!

Coś myślą pojał — dosięgniesz ramieniem —
Ujrzysz na oczy — coś przeczuł natchnieniem —
Z strun twojej lutni rozpierzchnięte dźwięki .
Weźmiesz jak perły widome do ręki.

Gdy wrócą kiedyś świeże i stwardniałe,
W życiu wcielone, w próżni zmartwychwstałe.
Na wieki wieków dane Tobie — Tobie.
Coś marzył czasem, że Twój koniec w grobie!

A hańbą ową nie dręcz się, pielgrzymie --
Gdziekolwiek idziesz tam wre anioł życia;
Twarz jego czasem w czarnym śmierci dymie —
Lecz jak kwiat róży nim wyjdzie z ukrycia;
Jak uśmiech dziecka nim błysnie z powicia!
Bądź znów jak Tytan, wielki — silny — dumny --
Wszędzie kolebki — nie ma nigdzie trumny --
I wszędzie Niebo — nie ma nigdzie ziemi —
I wszędzie bogi — nad Tobą i w Tobie,
Na każdym miejscu i o każdej dobie,
Byłeś — nie jesteś, lecz znów będziesz z nimi!
Aż kiedyś ujrzysz jak z lazurów łona

Jasność jasności, Bóg bogów powstaje.
I znów do Niego wyciągniesz ramiona,
I On cię porwie w inne — dalsze raje!

Znów za nim pójdziesz ty anioł, ty święty,
Lecz on ci jeszcze będzie niepojęty —
Choć w innym ciele, choć na skrzydłach gromu,
Coraz to chyżej i wyżej niesiony,
Ty tęsknisz dotąd — boś nie znalazł domu —
I świat twój jeszcze nie jest nieskończony!

Choć wstęgi mlecze u stóp twoich płyną
Jak niegdyś ziemskich oceanów fale,
Ty na nie patrząc, nowe czujesz żale.
Wiesz, że i one jak tamte przeminą!
Dotąd ci czegoś brak, synu światłości!
Choć latasz wolny po światów przestworze,
Cień twoich skrzydeł dotąd w nim się toczy,
Mgła niepamięci dotąd émi ci oczy,
Ostatek bólu w twojem sercu gości,
I jeszcze wołasz na Boga: „Ty — Boże!“
Duch twój dopiero u progów wieczności!
Aż przejrzyś Pana jakoś ty przejrzany,
I poznasz siebie — a w tej samej chwili
Noc niepamięci w Tobie się przesili —
Wspomnisz nareszcie, żeś z Panem nad pany
Duch ten sam, jeden, na wieki i wszędzie,
Co *jest* już teraz — nie był, ani będzie!

Bo pierwsze, wszystkie kształty przeminęły —
To sen twój miał jak fal miliony —
Ten sam ty byłeś, lecz nieprzebudzony
Boś snił o falach co w Tobie płynęły!
Teraz żyć pocziesz — boś uczuł, żeś razem
Potęgą marzeń i marzeń obrazem!
W jednym wspomnieniu po długim pogrzebie
Tyś zlał się z sobą — tyś przypadł do siebie!
I wszystkie dusze co wierzyły Tobie

I przez ciąg wieków spać się kładły w grobie,
 Coraz to wyżej z grobu w grób na zmiany
 Wschodząc i żyjąc — do Ciebie wróciły!
 Tem są na końcu czem w początku były —
 Świat jeden ducha z twoim duchem złany —
 Lecz każda dusza na *Ciebie* wyrosła,
 I siebie samą w twoje łono wniosła,
 I wie o sobie — że stała się synem
 Równym ci, Ojcze, i wiecznie jedynym.
 Bo w każdej Jeden Ty jesteś, o Panie!
 I w każdej wołasz „Ja“ a oprócz Ciebie,
 Nigdzie nic nie ma i nic nie powstanie!

Teraz myśl — kochaj — stwarzaj — wiecznie
 Niebo w Niebie!

SEN CEZARY.

1. Choćbym mówił językami ludzkimi i anielskimi, a miłością bym nie miał, stałem się jako miedź brząkająca, albo cymbał brzęiący.

2. I choćbym miał prorocstwo i wiedziałbym wszystkie tajemnice i wszelką umiejętność, i choćbym miał wszystką wiarę, tak żebym góry prznosił, a miłością bym nie miał, nicem nie jest.

LIST PIERWSZY ŚW. PAWŁA DO KORYNTYAN,
 (Rozdz. XII.)

Cienie zewsząd w duszy mojej i w około ocz moich — głos mnie zawołał po imieniu: „Cezara, Cezara“ i wyszedłem i idę, sam nie wiem gdzie, ale za tym głosem pójdę, jeśli trzeba, aż na koniec świata!

Widzę wieżę czarną przy wielkim kościele — kazano mi wejść do niej; wstępuję ciasnymi wschody — głos przedemną leci woła: „Cezara, Cezara.“

I nagle, grube mury stały się jakoby hafty, jakoby rąbki, jakoby kwiaty z kamienia; pośród ich liści i kielichów światło miesięczne się wkrada. Im wyżej, tem więcej takich kwiatów, tem wysmuklejsze,

przejrzystsze i światła też coraz więcej przybywa. — Głos wciąż woła: „Cezara, Cezara.“

„Okrzyły mnie poręcze granitowe — przepaść bezdenna podemną — nademną dzwonnica pleciona przezroczyście, róże gotyckie kładzione na różach, arkady podesłane arkadom, świat ostrołuków pnący się ku Niebu — a przez każdego z nich gwiazdę jedną widać, a przez jeden z nich księżyc złoty, szeroki, tam daleko, tam nad górami!

Głos wstąpił w dzwonnice, i jak słowik ukryty w gaju, woła na mnie: „Cezara, Cezara.“ Okolica jak świat szeroka, roztoczyła się przedemną. Zdało mi się, że widzę pomieszane wsie, miasta, wzgórze, doliny i bory uspięne, księżyc nad nimi płynie, wszystko się stało bładem złotem i ciszą!

W tem z pod stóp moich nagle, od razu wzbily się dźwięki poważne, jakby organów szum pomieszany ze śpiewem ludu. I coraz głośniejsze i coraz pełniej te akkordy wschodzą z dolnego kościoła — idą do mnie — otoczyły mnie!

A za każdym akkordem światło miesiąca żywszem się staje, gwiazdy się rozszerzają jak źrenice coraz większe, ognistsze — Niebo całe jak jedno morze jasności wisi nademną — ziemia cała, jak jedno zwierciadło, kędy się ta jasność odbija, leży podemną — wieża tylko, i katedra tylko czarne, jak skała czarna!

I wszędzie, wszędzie ujrzałem jakoby tłumy narodów przechadzające się po tej jasności — usłyszałem krzyk ich mowy i odgłos ich stąpań. — Szli nie zwracając — gdzie się spotkali tam wrzask się wszczywał, a czasem wznosiła się pieśń błoga pokoju — i szli coraz dalej w nieskończoność widnokregu — księżyc już teraz jak ogromne, krwawe słońce gorzał nad nimi, a gwiazdy wszystkie patrzyły z góry jak kołujące księżycy.

I ujrzałem pośród narodów garstkę ludzi, ubranych w szaty żałobne, garstkę ludzi ujrzałem niosącą

sztandar, na którym napisano było „naród“, — ujrzałem ostatnie pokolenie wielkiego plemienia, idące zwolna jakby za pogrzebem, idące także w nieskończoność — a gdziekolwiek spotkały się z drugimi tłumy, torujące sobie drogę ostatkami szabel. — Wielu z nich dzwigała szczątki łańcuchów na nogach i dłoniach, byli bardzo bledzi i bardzo znużeni — nieśli dzieciątka konające w ramionach, inni w objęciach trzymali zemdlale niewiasty podobne do umarłych aniołów — wielu z nich, znaczyli ślady swoje krwią z ran płynącą i na ich piersiach głębokie rany widziałem — na ich czołach jakoby wieńce cierniowe — w ich rękę jakoby krzyże zwiedłemi kwiaty oplecione, a milczeli tak jak groby milczą, bez krzyku walczyli — bez jęku padali — bez pieśni zwyciężali — bez narzekania szli dalej na nową bitwę i śmierć tę samą!... Długom patrzył czy też kto ich nie przywita miłosiernem słowem lub uściskiem bratnim. — Lecz nigdy i nigdzie nikt im ręki nie podał, nikt z drogi się nie usunął, by mogli ci umierający przejść w pokoju. Tłumy narodów jak mury czarne stawały w poprzek im; jak potoki czarne płynęły przeciwko nim — jak stada drapieżnych ptaków pastwiły się nad ich obalonemi ciałami.

I żał serce mi objął i lzy do ocz mi się cisną. Zrozumiałem katedry ponure jęki, owe podziemne akkordy bijące ku Niebu — one grały pogrzebną pieśń ludu tego! — A głos z wnętrza dzwonnicy zaszumiął ku mnie: — Cezara, Cezara, oto lud co schodzi z ziemi i nie powróci nigdy.

A gdym spojrział znowu, oni bili się otoczeni zewsząd i już bez nadziei — bo ów księżyc jasny jak słońce oblewał ich promieniami, a nad ich wrogami wisiała jakoby mgła połyskami przetkana — i było im bardzo ciężko i skwarno, wszystkie kule i cięcia prosto w nich trafiały. Ich miecze, ich groty, daremno błędząc w cieniach, wrogów zabijać nie mogły. I było im nieznośnie gorzko!

I każdy z nich wzniósł w górę dziecię swoje, i rzekł: — leć do Boga, sieroto. — A zdało mi się że na chwilę zbladł księżyc i z nad ich głów się odsunął — i przepaść jakaś lazurowa wydrążyła się w Niebie — i w nią wleciały owe wszystkie maleńkie, jak rój białych aniołków — wlecieli i zniknęli — i zamknęło się Niebo i znów księżyc roziskrzył się krwawym blaskiem i walka na nowo się rozpoczęła na ziemi!

A umierających coraz mniej, umarłych coraz więcej widzę! Jednak żaden dotąd nie rzucił broni, nie kląkł — nie błagał przebaczenia — nie zdał się na hańbę niewoli! Słyszę głosy wołających tłumów. — Żyćcie i bądźcie naszymi sługami. — Umierający wstrząśli korony cierniowe na czołach i odpowiedzieli jednym wielkim krzykiem, jak gdyby ostatniem wyzwaniem do boju!

Krąg wrogów jak pierścień żelazny ścisnął się koło nich, nad tym pierścieniem druga obręcz z dymu i błyskawic zaokrągliła się w powietrzu — wtedy każdy z umierających rzekł do zemdlalej niewiasty, którą trzymał w objęciu: — obudź się i powiedz, czy chcesz żyć dłużej odemnie?

A owym aniołom bladym roztworzyły się oczy i każda odrzekła z westchnieniem: — Ziemia wasza, ziemią naszą. I grób wasz, grobem naszym. Tam razem z wami mieszkać będziemy. — I uśmiech miłości nieskończonej zakwitł na tych wszystkich ustach. I każdy z umierających jak stał z podniesionym mieczem, tak utopił go w piersiach tej, którą kochał — potem złożył jej ciało na murawie i pobiegł naprzód ku wrogom. — Znów się straszna walka rozpoczęła na ziemi!

I zdało mi się, że z tych postaci białych, leżących na zielonej murawie, powychodziły dusze lekkie i srebrzyste, w wielkim smutku, i jak wieniec lilii nadpowietrznych zawisły tam w przestrzeni i płakały nad tymi, którzy walcząc ginęli — i nad tymi, którzy jeszcze dotąd zginać nie zdołali, nad ostatkami wielkiego narodu!

Głos słowiczy jęknął z dzwonnicy: — Cezara, Cezara! patrz, patrz, bo to ich ostatnia godzina! — Katedra zadrżała od akkordu co wzbił się z jej lochów. Ten akkord jak piorun co bije z głębin ziemi ku Niebu, rzucił się i rozległ się wszędzie, i znów zebrawszy się razem pieśnią żalobną wyżej podniósł się, i wyżej jeszcze, i słyszałem go wciąż nad sobą, jakby doszedłszy kończyn świata jeszcze brzmiał tym samym dźwiękiem rozpaczy, tam gdzie gwiazdy świecą i gdzie ten krwawy księżyc błyszczał.

A gdym oczy obrócił ku ziemi, ujrzałem tłumy narodów przechadzające się jako dawniej; na miejscu gdzie owa garstka poległa już trupów, ni krwi, ni broni nie było — murawa zieleniała — usłyszałem jakoby śpiew ptasząt w krzewinie — jakoby szmer ruczajów w oddali — uczułem jakoby woń spokojnych kwiatów lecącą stamtąd i zdjął mnie strach, że tak cicho na tej wielkiej mogile!

A głos anielski mój, zawołał na mnie: — Cezara, Cezara, patrz co zostało się po nich. — Ja w stronę głosu spojrzełem — a księżyc był znów mały i śniady — gwiazdy drobne i migające, okolica ta sama co na początku, wieńcem wzgórz otoczona, białych wiosek zasiana milczeniem.

Głos woła ciągle: — Cezara, Cezara — ale zdało mi się, że wyszedł z dzwonnicy i ciągnie mnie nazad ku wschodom wieży. I szedłem za nim coraz niżej zstępując, szedłem wśród dużej ciemności, w tęsknocie ducha mojego — i nie wiedziałem kędy idę, czułem tylko po wzrastającym smutku, że chyba do grobu.

I obrócił głos wzdychając, ku przejściu pełnemu blasków odbitego światła. — Szum dziwny słychać jakoby szelest wielu liści suchych wijących się pospołu w lekkim wietrze — jakoby mowę wielu głosów przyciszanym bolem — jakoby skargę przebudzonych w trumnie i zasypiających znowu.

A głos rzekł: — Cezara! teraz módl się za nich — i ujrzałem przed sobą, wewnątrz katedry bardzo długiej,

nad którą stałem jak gdybym stał na podniosłości chóru, i z chóru zaglądał w tę głąb pełną kaplic, ołtarzy, filarów, ławek czarnych i lamp płonących przed obrazami, przed posągami, tu i owdzie nad pomnikiem rycerza, tu i owdzie nad chrzcielnicą, nad amboną, wszędzie u stóp i na szczytach słupów gotyckich i na arkadach i wzdłuż ostrołuków — ale ich promienie przyćmione były i zwiędłe, jakoby od łaź wiszących w powietrzu — od mgły ledwo widzialnej co się przesuwiała w przestrzeni.

I ujrzałem pośrodku katedry wielki otwór rozarty jakoby wstęp do podziemnych grobów czekających na kogoś — i ogromny kamień leżał przy tym czarnym otworze, kamień ogromny, biały jak alabaster i długą taśmą krwi obrąbiony, krzyżem krwi pośrodku znaczony, a pod krzyżem było to słowo, także krwią napisane: *naród*.

I pusto było w tym wielkim kościele. — Wtem zdało mi się, że słyszę jakby przecucie muzyki tajemniczej w sercu, i z serca mego na jaw powszodziły słabiuchne dźwięki — i już teraz chwytam, słucham nuty, do kropel kapiącej rosy podobne — i z nich powiązała się plecionka szmerów melodyjnych — i ta wielka katedra rozplakała się dźwiękami.

Każden jej ołtarz, każdy filar, każdy głaz jej posadzki zadrgnął jak struna — każdy jej posąg jęknął, ale pieśnią; i ta pieśń rosła spokojnie, poważnie, jakoby śpiew duchów niewidomych, cierpiących serdecznie i serdecznie modlących się o ulgę, o sen zapomnienia, o miłości i litości trochę — do wielkiego Boga!

W tem grzmot z organów uderzył — raz tylko — i rozwarły się bramy katedry — i głos mój rzekł do mnie: — Cezara, Cezara, patrz, bo to oni wchodzą.

I szli polegli, szli umarli, szli jeden za drugim, sztandar swój niosąc jak za dni życia, trzymając w objęciach pozbijane anioły swoje — trzymając w rękę pęknięte oręża; szli jak mgły chodzą, bez szelestu, szli

ze spuszczoneń czołem, pełnem wspomnień bolu. — Dzieciątek ich tylko nie było z nimi — ale jak tylko przestąpili próg katedry i zaczęli stąpać w stronę wielkiego ołtarza, tam, kędy zdało mi się, że marmurowych aniołków grono wychyla się ze sklepień, ot! muzyka stała się miękką i tkliwą jak szczęścia wspomnienie — ot! jakieś wieńce nagle błysnęły w powietrzu, i róż białych tysiące spadły na posadzkę — ot! tych aniołków grono motyli skrzydeł opasało się tęczą i kaźden rączki wyciągnął, oderwał się od sklepienia, zawisł w powietrzu i waźąc się w powietrzu, jasnymi oczętami zdał się szukać i poznawać, a poznawszy leciał ku nim, ku nadchodzącym, i skrzydełkami wieńczył głowy ojców poległych i matek uspiońnych snem śmierci!

A męże podnieśli czoła i uśmiechnęli się poznając przemienione dzieci — a matki rozemknawszy oczy krzyknęły z radością i z objęć męźów zstąpiły na ziemię i podnosząc dłonie ku tym aniołkom, nazywały je po imieniu, wołały kaźda swojego i wspinając się na palcach stóp, ustami gonily te nadpowietrzne twarzyćki, przesuwające się jak kwiaty i gwiazdy nad niemi.

Aź drugi raz zagrzmiały organy — wtedy w pu styh ławkach usiedli męże i odetchnęli jakby po męce życia całego — przed nimi koło stopni wielkiego ołtarza usiadły niewiasty i wnet zdały się na nowo bardzo blade i niewzruszone i głąboko śpiące. — Męże broń poskładawszy na ziemię, zdjęli z głowy korony cierniowe i podnieśli je w stronę posągu Chrystusa; ale nic wyrzec, ale o nic prosić nie mogli, bo ich piersi przebite były i usta oniemiałe z bolu znużenia.

A lampy ciemniały coraz bardziej — mgły zstępujące z sklepień wiły się na kształt całunów — gromnice gasły jedna za drugą — tony owe miękkie i tklive cichły pod jękami organów. — A im ciemniej i huczniej się stawało, tem posąg Chrystusa ów biały, wysoki, daleki, białł i rósł bardziej przedemną —

aż cały kościół zanurzył się w mrok szary — aż przestrzeń cała przemieniła się w grzmot nieustanny, podobny do huków trąb archanielskich. I postać owa wysoka, daleka, nad wielkim ołtarzem, jasną, bliską, żywą, zstępującą się wydała. — Ona jak słońce — oni wszyscy czarni i cały kościół czarny i drżący jak drzewo w wietrze jesiennym. — A postać zstąpiła i stanęła nad samemi niewiasty i spojrzała ku mężom siedzącym — a wzrok jej, była to jasność biała jak dyamentu!

Niewiasty się podniosły i zasłaniając oczy rękoma, westchnęły: — O Panie, oddaj nam dzieci nasze. — I męże padłszy na ziemię, zawołali: — O Panie, oddaj nam ojczyznę naszą.

A postać zstąpiła jeszcze niżej i oni wszyscy powstawszy szli za nią, a ona wiodła ich ku roztwartym grobom, nietykając ziemi stopami ale płynąc i unosząc się.

I pierwsza w grób wstąpiła jak słońce co zachodzi, w grób ten czarny, mówiąc: — Odpochnijcie — kamień nad wami jak nademną zasunięty będzie. — Alboż ja nie przy was? Czemu się wahacie? — I oni wszyscy zeszli i zniknęli, wszyscy, aż do ostatniego, idąc za postacią Chrystusa. — I widziałem jak się podniósł ten głaz ogromny, z napisem *naród* i zapadł nad nimi. — I ostatni grzmot uderzył — i zgasła ostatnia gromnica.

A wśród ciemności usłyszałem jakoby chór duchów śpiewający ostatnie pożegnanie im:

— Złóżcie dłonie na zimnej pościeli — złóżcie czoła na trumny wezglowia — niech ostygną rany wasze — niech odpochną serca. — Zapomnijcie! aż przyjdzie na was i na ziemię waszą powtórnej wiosny godzina!

— Ten sen będzie siłą wam; bo Pan czuwa nad waszemi trumny i czeka aż chwile przeznaczone miną, a teraz pokój wam — teraz zaśnijcie głęboko.

I stało się wielkie milczenie — a głos, który mnie strzegł, powtórzył z cicha te same słowa co pier-

wej: — Cezara, Cezara, patrz, co zostało się po nich. — A ja nic nie widząc zapytałem: — co? — A głos rzekł znowu: — Patrz — oto ślad jeszcze po nich na ziemi.

I nagle ujrzał jakoby modrych wyziewów gromadę a w samym śroku ich jakoby obraz malowany, powiewany powiewami wiatru — ujrzałem twarz niewieścią i całą postać niewieścią na pozór przemijającą — a doskonale piękną, z smutku wiecznego wyrazem na czole! — Jej szaty lekkie jak myśli, na wzór myśli tęsknych na około niej płynęły, takie białe! — Jej wzrok wbity był w próżnię przestrzeni. I dumny był ten wzrok łzawy — i harde to czoło choć obarczone cierpieniem — i uroczyta ta postać choć do snu nikłego podobna!

A głos zawołał na mnie: — Strzeż jej — Cezara, bo ona siostrą tych, którzy walcząc polegli. — Ona jedna ocalała, by piękność rodu tego nie zaginęła całkiem na ziemi.

A gdym drugi raz spojrział, uczułem, że kocham ją — i zdało mi się, że idę za nią, w świat mi nieznamy; gdzieś pośród mgieł jesiennych, gdzieś w puszcze stroskane, kędy słyhać potoków przesłonionych szumy, kędy liści zżółkłych kręcą się tumany i orzeł jakiś krwią zboczony, mgłę przecinając, prowadzi panią swoją.

A ona stąpa, zawsze równie blada i lekka i piękna, zawsze równie samotna i smętna i dumna — zawsze do snu podobna, a jednak widna ciągle — ciągle błędząca, ciągle w milczeniu — a ja strzegę jej wiecznie. I gdzie ona pójdzie, tam i ja pójdę — i gdzie ona spocznie tam i ja usiądę — i gdzie ona zniknie tam i ja zniknę z nią razem!

I zdało mi się, że dni i nocy mijają jak fale białe i jak fale czarne jednego potoku — czasem widzę widmo słońca za chmurami, czasem księżyc przesuwający się na szczytach gór — niekiedy po za mgłą slysze miast dalekich gwary — i w górze pieśń prze-

latujących duchów — i gdzieś w dole, pod stopami, zdało mi się, że słyszę płacz kapiących w kopalniach — i niżej jeszcze, śmiech podziemny szatana!

Lecz nie słucham, lecz nie patrzę. — Ja tylko idę za nią. — Zmierch nas wiecznie otacza — smutek nas wieczny pojednał — nadzieja ta sama nas wiedzie. — Ona czasem odwróci oczy od przestrzeni, w którą patrzy, od przyszłości, w którą zagląda i spojrzysz na mnie — ona czasem rozemknie usta i zawoła: — Cezara. — Czasem z mgły śnieżną dłoń wychyli, a ja dłoń tę chwytam i opieram na sercu, aż odpocznie anioł mój — i tak idziem w nieskończoność. Jeśli żyć mamy, ożyjem, — jeśli zaginać, zginiemy. — Gdzieś słońce to samo świeci, gdzieś grób ten sam czeka na nas — a idziem niepewni, czy w stronę słońca, czy w stronę mogiły. Tylko Bóg nam dał, że idziemy razem!

I nie zliczę czasu i nie powiem jak, lecz zdało mi się, że już część życia mego ubiegła, a sen mój trwał, w dalsze mnie coraz uwodząc pustynie — a miłość moja coraz większą była i smutek jej coraz większy także!

I nie pomnę gdzie, i nie pomnę kiedy, wydało mi się, że ujrzałem cypel skały, po nad mgłą wytknięty. — I duch tam siedział podobny całkiem do czerstwego, starego człowieka, tylko, że mu z ramion wisiały bezpiorne skrzydła jak u nocnych ptaków.

A siedząc na urwisku, trzymał harfę o jednej strunie i zaśpiewał:

— Wstrzymaj się, niedoświadczony — tu granica między krajem życia a padołem śmierci. — Jeśli ją przekroczysz, dusza twoja osłabnie na wieki.

A jęk żelazny z owej struny się rozległ i strach mnie ogarnął.

— Opuść tę, która nie odżyje nigdy — piękność jej tylko przeszłości wspomnieniem — nie wierz, gdy spojrzysz na siebie lub rękę ci poda — bo iskry miło-

ści nie ma w tej źrenicy — bo siłę uścisków los wybrał z tej dłoni.

I znów uderzył w jednostrunną harfę!

A postać stanęła i obróciła twarz ku mnie. Wszystkie sny niedopełnione, wszystkie zabite nadzieje jej rodu, całe życie ich, cała duma ich, i zgon ich, i sen ich teraz w grobie, razem w jednej chwili, odbiły się na niej!

A duch znów zaśpiewał:

— Wracaj i żyj pośród ludzi żywych. — A ja tu z nią zostanę i śpiewać jej będę śpiew mój bez nadziei na tej strunie ostatniej — bo inne przebrzmiewszy, pękły — wszystkie razem niegdyś zwały się wiarą, odwagą, Kochaniem. — Ta jedyna dzisiaj zowie się nicością.

I zdało mi się, że powstał i harfą rozcina mgłę na prawo i w lewo — i odsłoniły się za skałą wielkie cmentarze, stopy kości i stopy pruchen, koni szkielety i psów szkielety i sępów szkielety na ostatekach zwłok ludzkich ubranych w płaszcze, w ornaty, w korony, wśród pancerzy i mieczów i siodeł — i rozwalone kaplice i ruiny bez końca na brzegach zamarzonego morza — i kłęby śniegu chodzące jak olbrzymy po szybach lodu — i chmury niewzruszone jakby drugi taki sam ocean ścięty mrozem na Niebie!

A duch wskazał w tę wielką przeszłość i rozśmiawszy się wskazał znów ku drugiej stronie skały — a tam rozwiódła się zieloność i błękit zaświecił — tam na tysiącach wież tysiące sztandarów, każdy w barwach wiosny, tam białe kłęby par i słupy żywe dymu.

Ale wnet oczym odciągnął i znów je wlepiłem w twarz postaci.

I zdało mi się, że zebrawszy ostatek sił, ona postąpiła naprzód, jakby dość jeszcze chciała do tego brzegu ruin — by przynajmniej wśród umarłych ludu swego rozemdleć i zniknąć!

Duch szczytu skały, duch złego, duch co mnie kusił, rzekł do mnie: — wybieraj.

W tej samej chwili głos jej zawołał: — Cezara.

A jam poszedł za nią, za tą, która nie powróci nigdy, na śmierci cmentarze.

Śnieg krąży nad nami jak grób nadpowietrzny. — Orzeł co leciał przed nią, padł na umarłe sępy i skonał. — Ledwo już dostrzedz mogę płynących jej włosów — daremno szukam raz ostatni jej dłoni wśród cieniów. — Ta, którąm ukochał, wśród zawiei znika!

I sen mój się przerwał — uczułem wszystkie męki rozdziału, wszystkie próżnie nicości. — Zdało mi się, że ich postać Chrystusa oszukała zstępując z nimi do grobu; bo oni już się nie przebudzą! — i że ta, którą strzegłem oszukała mnie także; bo zostawiła mnie wśród umarłych na wieki! I usiadłszy na brzegach morza tego, prosiłem się duszy mojej by wyszła ze mnie.

A głowem trzymał na ręku, a przez palców szpary widziałem na lodach cień owego ducha z harfą, przechadzający się w oddali. — I przechadzając się urągał mi.

Potem usiadłszy na wzgórzu śnieżnym, naprzeciwno mnie, zaśpiewał:

— A co teraz?

I z pod stóp jego zerwało się stado kruków i kaźden z nich ciągnąc mi nad głową, powtórzył krakanie: — A co teraz?

I zdało mi się, że ze stosów kości i z głębi ziemi zamarzłej wydobyło się to samo słowo: — A co teraz?

Duch wtedy bez żadnego brzęku zerwał ostatnią strunę i rzucił ją pod lody, mówiąc: — Wieczność się zaczęła.

I zdało mi się, że duszę własną przeklinam, konając.

W tem głos dawny, głos anielski, co mi śpiewał na tej cudnej wieży, odezwał się gdzieś — czy w głębiach serca mego, czy za temi chmurami!

A jam się zerwał i wołał: — Ratuj mnie, bo konam; a konam, boś ty zwiódł mnie.

Lecz słowik mój, lecz Anioł mój na to: — Cezara, Cezara, czemu żałujesz, żeś życie poświęcił dla umarłej? Alboż nie wiesz, że jest zmartwychwstanie? A jakżeż zmartwychwstaną serca umarłe jeśli ich nie ukochają żywe i krwi im swojej nie udzielą połowy? Ta co zabrała życie twoje odda je tobie, bo śmierć jej była tylko złudzeniem! Patrz!

Jak nowonarodzoną gwiazdę ujrzałem postać wschodzącą z kończyn widnokręgu. — Uczułem, że będę nieśmiertelny bom nieśmiertelną ukochał — i koło mnie z prochu dźwigali się mężowie i widmo Chrystusa bielalo nad nimi w powietrzu. — Zamknąłem oczy i padłem twarzą na ziemię wśród zmartwychwstających.

LEGENDA.

18. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam tobie: Gdyś był młodszym, opasowałeś się i chodziłeś kędyś chciał; lecz gdy się zestarzejesz, wyciągniesz ręce twoje, a inny cię opasze i poprowadzi, gdziebyś nie chciał.

20. A Piotr obróciwszy się, ujrzał onego ucznia, którego miłował Jezus pozad idącego, który się też był położył przy wieczerzy na piersiach Jego, i rzekł był: Panie, któryż jest ten, co Cię wyda?

21. Tego ujrzawszy Piotr rzekł Jezusowi: Panie, a ten co?

22. Rzekł mu Jezus: Jeźlibym chciał, żeby on został aż przyjdę, co tobie do tego? Ty pójdź za mną.

EWANGELIA WEDŁUG ŚW. JANA, (Roz. XXI.)

Zdało mi się, że w samą wigilię Bożego Narodzenia, wychodzę z bram Rzymu, i że idę przez kampanią. — Pogańskie tam grzały się groby w promieniach słońca — ranek był — Niebo czyste jak zawsze i pustynia smutna jak od wieków.

Szedłem dzień cały, niesion ducha potęgą. — Stare wodociągi póki mogły szły za mną, lecz jam

poszedł dalej — Bluszcze, jak zielone żłoby Chrystusa szumiały po świątyń ruinach. Leciały nademną białych ptaków stada, przedemną pełzał gad błyszczący. — Huk morza zaczął wołać na mnie!

A kiedym stanął na ostatniem wzgórzu ziemi — kiedym ujrzał wody, słońce już zachodziło! — a daleko na wodach stała plama czarna, jakby żywa, coraz większa i lecąca ku mnie — wreszcie ogromna, gdy słońce zgasło a zmierzch padać zaczął.

Wielki to i posępny okręt, bez płócień i masztów — a wszystkie fale kołami rozbija na pianę — i z pośrodku jego bucha słup dymu, który leci nazad w nieskończoność.

Coraz to ciemniej — on jak widmo czarne toczy się w przestrzeni, grzmiąc — dwa ogniki nocne spadły przed nim w morze — głos wtedy z pokładu się odezwał: — Czy dziś ostatnia wigilia Bożego Narodzenia?

Ja w duchu przerażony odparłem ze wzgórza: — Zaprawdę dziś wigilia jest; — i wnet stanął okręt przy samych brzegach, blada para rozwiodła się nad nim, żuźle i iskry sypnęły się z jego boków — w świetle czerwonym zajaśniał pokład na znikomą chwilę.

Stały tam postaci w karmazynowych czapkach i w płaszczach bielejących — usłyszałem niby zgrzyt łańcuchów — zdało mi się, że pada ciężki most, długi most od okrętu rzucony do brzegów — po nim w ciemnościach widać się te postaci i dążą ku mnie.

A gdy niedaleko już były, zapytały jednym głosem: — Kędy droga do Rzymu?

Jam odparł: — nie ma tu drogi — tu pustynia. A oni odrzekli: — prowadź nas zatem. — A kiedym się wahał, znów się odezwali cichym i tęsknym głosem: — Myśmy ostatki szlachty polskiej. — Anioł pokazał się nam, anioł niepodobny tym, których oglądały ojce nasze, bo miał skrzydła bez blasku, i welon żałobny na czole — lecz wiemy, że on z Nieba zesłał — a on nas tu posłał. — Długośmy płynęli — wiel-

kie tam były wichry i słoty na morzu — lecz dopełni się wola Pańska, jeżeli dziś o północy stanem w Bazylice Piotra.

A ja im na to: — Idźcie za mną, nieszczęśliwi ludzie. — I nazad ku miastu od brzegów morza stąpać zacząłem, drząc i modląc się, jakbym przechodził przez cmentarz, a z tyłu za mną wstawali umarli.

Wiatr się zerwał, a żadnej chmury nie widać — gwiazdy wszędzie lśnią na ciemnym, na głębokim Niebie — w dole taka czarna równina! szare tylko czasem mijamy mogiły — czasem białych gruzów zaspę — czasem wodociągów bramy — z daleka słychać wielkich trzcin szelesty — w górze niekiedy krzyk nocnego ptaka — i bliżej, gdzieś wśród rozwalonych grobów, tam, szmery podziemne!

Oni idą za mną, z tyłu — czuję na moich barkach ich piersi oddechy — a chyżo stąpam, bo oni się spieszą — słyszę jak ich czapek kity łamią się w powietrzu — jak ich płaszczów fałdy wiją się z wiatrami!

I zdało mi się, że widzę ogień błędzący w od-dali — wnet drugi i trzeci — a gdym jeszcze postą-pił, ujrzałem wielką mnogość światła na równinie — przesuwwały się one, dążąc z stron różnych, a ku jednej stronie — i oto zaczął gwar głosów wielu szumieć w pustyni.

A gdym podszedł bliżej, obaczyłem jakoby mnóstwo pielgrzymów, idących przez kampanię, z pochodniami w ręku. — Luna koło nich rozpostarta, szła razem z nimi, wśród dwóch wielkich ścian ciemności, a w niej wysokie krzyże i obrazy świętych, i różnych narodów sztandary w powietrzu.

W sam środek tych tłumów wwiódłem hufiec mój — wtedy ujrzałem zaszępienie licza ich — tych, którzy szli za mną i jakieś natchnienie w ich oczach, ale nie życia natchnienie — i szable, na których się opierali, jak tamte pielgrzymy na koszturach swoich.

A ledwom wszedł z nimi pod światło pochodni, zdało mi się, jakoby stały tłumy, pytając ich: — Co wy za jedni, i skąd idziecie?

Oni się zatrzymali, i dziwny uśmiech rozbiegł się po ich ustach — a odrzekli zaraz: — Ażaż nikt nas nie poznał na świecie?

Cichy szmer, szmer rosnący rozległ się na około, zdało mi się, że wszystkie hufce pielgrzymów zawołały razem: — Znamy was — wyście ostatnie bohaterzy ziemi.

Wtedy oni ciągnęli dalej: — Widzieliśmy anioła z czarną zasłoną na czole — a on nam kazał spieszyć do Rzymu — a wy, mówcie, czyście słyszeli głos jaki?

Wzbił się wielki jęk tłumu odpowiadający im: — Amen. — Ten sam anioł kazał nam domy porzucić — głos jego rósł nocą nad nami w powietrzu, i nie dawał nam zasnąć. — Dni onych, mówił, Chrystus raz ostatni narodzi się u grobu Piotra, a odtąd rodzić się już, ani umierać nie będzie na ziemi.

I umilkło mnóstwo, i stało jakby własnymi przeżone słowy.

Pierwsi Polacy, ruszyli z miejsca, białe na ramiona zarzuciwszy płaszcze. — Z wszystkich stron kampanii coraz więcej tłoczy się pielgrzymów — już widne mury miasta — już słyhać dźwięk dzwonów — a im bliżej tem jaśniej, bo na bramach, na wieżach palą się wieńce świateł — i tem huczniej, bo tu i tam i jeszcze dalej jeden po drugim, budzi się i grzmi, każdy kościół Rzymu.

Zdało mi się, że noc w dzień białą zmieniona — ulic, którem z rana opuścił, nie poznaję wcale. Tam gdzie gruzy tylko, tam gdzie puszczyk siada tylko, kołyszą się teraz snopy kwiatów, i lampy płonące — i rzymski lud ciśnie się tłokiem, wołając: — Weselmy się, weselmy, bo Chrystus dzisiaj narodzi się nam.

A gdy ujrzeli szlachtę polską, wstępującą w bramy, i pielgrzymów potok, płynący za nią, krzycząc, skakali z radości — pytają się tylko: — Czemuście tak

ponurzy, goście? Jeżeli was długa droga znużyła, odwilżcie usta sokiem pomarańcz. — Zrzućcie białe czapki i ciemne kapelusze — oto są mitru gałązki — oto kamelie — skroniom je waszym rzucamy na wieńce.

Ale w milczeniu i brew zmarszczywszy, idą pośród nich Polacy, a idąc mówią do mnie: — Gdzie Bazylika Piotra? nam spieszno — nam tęskno — wszak już blizka północy godzina?

A ja ich prowadzę przez forum. — Zdało mi się, że amfiteatr Flawiana, ten pusty, ten ciemny, ten stary, jak ogrom światła stoi teraz, od stóp po olbrzymie szczyty kagańcami rozwieszon — każdy listek bluszczu znać na nim — w jaskrawych szatach niewiasty i dzieci przechadzają się po piętrach gmachu i klaszcząc w dłonie, witają nas przechodzących.

I wszystkie łuki na forum i wszystkie kolumny palą się, jaśnieją — i na wzgórzu ścianą z złotych ogni wznosi się Kapitol — od wielkiej łuny gwiazdy pomdlały na Niebie.

Lud ciągle krzyczy: — Hosanna, Hosanna! — A pielgrzymy śpiewają psalmy pokutne. — Lud ciągle bieży i zawraca, brzdąka na gitarach, roztrząsa iskry w powietrzu, a samym środkiem morza tego, my idziem czarno — powoli, w ducha żałobie.

Z wszystkich ganków, z wszystkich dachów, ulic, spadły na nas fiołki i róże.

Już dzwon Kapitolu brzmi daleko z tyłu — a przed nami dzwon świętego Piotra odezwał się w przestrzeniach — on jeden, sam bije teraz — głośniej ponad wszystkie inne!

W stronę wołania tego spieszym się — most na Tybrze przechodzimy — domy na brzegach, jak ciche pożary — rzeka jak wstęga z płomieni. — Zamek Anioła najeżon działami — co chwila jedno działo, to błysnie, to zagrzmie.

Zawracamy teraz — już wchodzimy na dziedzińiec Piotra — kopuła w lamp szkarłatnych tysiące

ubrana — krzyż na jej szczycie jak dyament — z obu stron kolumny dziedzińca wydały mi się kręcące z ognia. — Fontanny pośrodku jak tęcz płynących dwoje — i lud wielki obaczyłem czekający tam — i bramy kościoła rozwarte — i wewnątrz kościoła jakoby nieskończoność płonącej jasności!

Póki mogli, szli Polacy i pielgrzymi, lecz na wschodach, u stóp portyku, mnóstwo zewsząd zamknęło im drogę. — Stanąwszy, o przejście wołają — lecz coraz bardziej, i z przodu i z tyłu i z boków, zgraje ciężą na nich.

I powstały głosy Rzymian: — Alboż my nie pierwsi — alboż ten kościół nie nasz od wieków i na wieki? — A wśród pielgrzymów inne słyhać głosy: — Dotąd szlachta polska torowała nam drogę — czyż i ona teraz przed nami wejdzie do świątyni?

I ujrzałem jako Polacy wzniesli pałasze na znak, że się bronić będą — szczerym ogniem zaświetniały ich klingi w jaśni powietrza!

Lecz w tej samej chwili, na krużganku Bazyliki, wysoko po nad ludem, ukazała się postać w purpurze, która rzekła, a głos jej donośnym był bardzo: — Puszczajcie tych, którzy dla wiary katolickiej niegdyś naród cudzy od śmierci zbawili, a później za tęż wiarę poginęli sami. — Umarłych puście naprzód. — Wzniósł rękę kardynał w prawo i na lewo, jakby tłumy rozdzielał — w dole rozdzieliły się tłumy — a on zobaczył i cofnął się nazad do gmachu.

A jam poszedł zaraz z Polakami prosto przez wschody, prosto przez portyk, w sam kościół, i przez kościół cały, aż przed wielki ołtarz, aż przed lampy, co się palą na grobie Piotra. — Tu stanęli, i zdjąwszy karmazynowe czapki i białe płaszcze rozklamrowali na piersiach — przyklękli i modlili się, naga broń trzymając w rękę.

Pogoda śnieżna marmurów jaśnieje w pustym kościele — dymy kadzideł srebrno, przejrzysto, wstę-

pują pod kopuły sklepienia wiszące nad nami -- na mozaikach posadzki rozrzucone kwiecie i palmy. Ze wszystkich kaplic odzywają się chóry miękkich głosów radujących się — tam, w dali, koło drzwi, zaczyna się przestrzeń napełniać. — Pielgrzymi idą przez ten świat śpiewu i światła, jako szli przez miasto całe, czarni i niepocieszeni. — Potok też ludu rzymskiego wbucha do Bazyliki, hucząc.

A gdy każdy orszak zajął miejsce pod sztandarem swoim, przy ołtarzu swoim, przestrzeń ta wielka, cała, znów umilkła, jakby pustą była — śpiew ustał po kaplicach — a od strony Watykanu odezwą się trąby na znak, że papież zbliża się do nas.

Przechodzą środkiem kościoła wszyscy zakonnicy Rzymu, starce po starcach, i inni starce i znów starce jeszcze, w białych habitach, w szarych włosienicach, z krucyfiksem w ręku — przechodzą biskupi w infułach, srebrne pastorały wlokąc za sobą — idą kardynały w rażącej czerwieni, koło nich księża w dalmatykach i tłum śnieżnych dzieci niosących wino, kadzidło i wieńce.

A gdy przelał się ten potok w stronę wielkiego ołtarza — tam gdzie rozstały się tłumy, tam na pustej ulicy między dwiema ścianami z żywych ludzi — które teraz uklękły nagle — szedł bardzo powoli siwy starzec w potrójnej koronie, z białą komżą na złocistych szatach.

Daleko za nim zostali się żołnierze i służba i tron niesiony przez kapłanów — on sam jeden stał w środku ludu i kościoła — sam jeden stapał ku wielkiemu ołtarzowi i zdało mi się, że każdy krok jego trwa chwilę wiele, i że nigdy nie dojdzie do nas.

A gdy tak szedł wśród bijących czołem — niekiedy oczy przymykał jakby ulgi oczom szukał od światła tyłu — czasem nad ludem kreślił, nie dokreślał drżące znaki błogosławieństwa w powietrzu — aż stanąwszy westchnął i wznosił ręce ku Niebu — lecz nie mógł ich utrzymać — opadły!

Na to westchnienie ludzie głowy podniosą. Od smutku ojca wszystkich pobledli wszyscy — wtedy zdało mi się, że od wielkiego ołtarza zawrócił jeden z kardynałów, ten sam, który wpuścić nas kazał, i wzniosłym chodem poszedł ku starcowi starców i podał mu rękę, oczyma jak błyskawicą wskazując mu grób Piotra. — Starzec znów postąpił kroków kilka i wzdrygnął się — kardynał długich włosów pierścienie wstrząsł ruchem głowy na bok i znak dał tym, co zostali z tyłu — oni pospieszą, tron złoty niosąc.

Wtedy ojciec, który jest na ziemi, uchwycił bladą ręką za poręcz tronu i siadł na nim — a wzniesiono go zaraz w górę i trąby znowu grzmią w kościele — kardynał idzie przy tronie. — Lud zrywa się z ziemi — dzwon uderzać zaczyna — dwanaście razy zdało mi się, że zadrżały sklepienia — koło wielkiego ołtarza chmura kadzideł się wznosi, w niej papież na wschody wstępuje — a kardynał rzekł: — Chrystus się narodził.

Zaraz z tłumu pielgrzymów wzbił się jęk żałobny: — wszak nie sprawdzają się słowa anioła, że po raz ostatni?

A lud rzymski krzyknął wściekle: — kto śmie bluźnić w kościele Piotra?

Jeden z szlachty polskiej wystąpił, wołając: — oni nie bluźnią, a my się nie lękamy was — oni prawdę mówią — ja sam i bracia moi widzieliśmy smutnego anioła.

A kardynał znów jak książę potęgi ręką skinął i rzekł: — pokój ludziom dobrej woli, niech się modlą, bo msza się zaczęła — a czas krótki — a modlitw dziś potrzeba na ziemi i Niebie.

I my wszyscy zaczęli się modlić w wielkiem oczekiwaniu.

A ojciec nasz święty siedział przed nami na tronie.

Z kaplic znów wzniosły się głosy gdyby chóry anielskie, pełne niebieskiej rozkoszy. Część nocy upłynęła — przyszli bieli kapłani, podali ręce ojcu naszemu — on z tronu zstąpił i poszedł ku ołtarzowi i wziął

kielich w ręce, bo pora świętej ofiary nadchodzi — kardynał nalewa doń wina.

A w samą chwilę podniesienia, gdy wszyscy przypadli do marmurów, usłyszano jakoby głos w powietrzu, który wymówił: — Jestem — a gdyśmy drząc podnieśli głowy, ujrzeli wszyscy wielką postać opartą czołem na środkowej bramie, znikającą z wolna, coraz bardziej mglaną — a ręce jej były krwawe i nogi krwawe, lecz sama cała śnieżna — i jak śnieg topniejąc, zniknęła.

Wtedy kardynał, gdy papież trzymając jeszcze kielich w ręku wzdrygał się, sam rzekł: — *Ite missa est* — a potem zawołał głosem ogromnym: — Czasy dopełniły się — i rozdarłszy purpurę na piersiach, rękę wyciągnął w stronę grobu Piotra mówiąc: — Obudź się i mów.

Z każdej lampy nad grobem rzucił się język ognisty i wieniec płomieni rozkołysał się nad ciemnicą grobu — a z dna tej ciemnicy podniosło się ciało, z rękoma ku sklepieniom i stojąc po piersi zanurzone w grobie, krzyknęło: — Biada!

A za tym krzykiem zdało się nam wszystkim, że sklepienia kopuły pierwszy raz się porysowały.

A kardynał rzekł: — Piotrze, czy poznajesz mnie?

A ciało odpowiedziało: — Głowa twoja ostatniej wieczery spoczęła na piersi Pańskiej i tyś nigdy nie umarł na ziemi.

A kardynał odparł: — A teraz kazano mi, bym wśród ludzi zamieszkał i ogarnął świat i przytulił go do piersi, jako Pan głowę moją ostatniego wieczora.

A ciało odparło: — Czyń, jako ci kazano jest.

Wtedy kardynał skinął znowu jak książę potęgi — a ciało powtórzyło: — Biada mi — i zapadło z strasznym łoskotem, jakby w otchłań, nazad w grób swój — i rwać się lepiej jeszcze w górze zaczęły sklepienia.

Nam wszystkim tak straszno się stało. — Jedna szlachta polska patrzy śmiałem okiem, oparta na szablach.

A papież w potrójnej koronie przykląkł na stopniach ołtarza i jak posąg niewzruszony klęczy.

Kardynał rzekł: — Wychodźcie wszyscy, i wy i wy i wy i wy jeszcze, by żaden z was nie zginął pod gruzami tych murów.

A ludy odrzekły zewsząd: — prowadź nas Ty, któremuśmy się dzisiaj dostali w opiekę.

I wzniósł się krzyk trwogi, bo coraz huczniej pękały sklepienia, bo wszędzie drżały kolumny i słupy, a lampy tłukły się w wietrze wielkim i gasły.

Wtedy kardynał: — Ojczy mój, czy tu się zostać chcesz?

A starzec rękę podnosząc i przytrzymując koronę, odparł głosem zbolalym: — Ja tu umrzeć chcę — zostaw mnie, synu.

I lud wszystek usłyszał tę odpowiedź i krzyknął: — Uciekajmy.

I pierwsi Rzymianie zaczęli się zrywać i uciekać.

I każdy hufiec ruszył się z pod ołtarza swego, z swoim sztandarem i jął uciekać.

Kardynał wtedy, przyklęknawszy raz ostatni, złożył usta na czole starca i znak błogosławieństwa koło Jego korony, gdyby wianek siniego światła w powietrzu, potem zstąpił i z przedziwną jasnością koło skroni, szedł ku bramie kościoła. — Cały kościół gwałcił się w podrzutach jak ciało umierające, ale on wznieśloną dłonią zatrzymywał rozdarte sklepienia nad ludem i patrzył aż wyjdzie ostatni z ludu.

A przechodząc rzekł do szlachty polskiej: — Ludzie, idźcie za mną.

Nic nie odpowiedzieli.

On jeszcze głowę odwrócił i rzekł: — Idźcie za mną.

Oni się nie ruszyli.

A gdy dochodził bramy pędząc lud przed sobą jako pasterz, raz ostatni jeszcze ręką skinął ku nim.

Lecz oni podnieśli tylko szable w górę, jakby na ich ostrzach wstrzymać chcieli spadające mury,

i zawołali razem: — Nie opuścim starca tego. — Samemu gorzko jest umierać — a kto z nim umrze jeśli nie my? — Wy idźcie wszyscy — my nie umiemy uciekać.

Kardynał zatrzymał się na samym progu i rzucił im zdaleka znak błogosławieństwa, wianek siniego światła także — i Iżę miał w tej chwili w oku, mówiąc: — Chwila jeszcze a poginiecie.

Lecz oni szli już wtedy ku wielkiemu ołtarzowi podać ręce klęczącemu i umierającemu — szli w białych płaszczach i w połysku szabel — a owe cztery kręcone filary ołtarza pękły jak ścięte drzewa i runęły — i baldakin spiżowy runął — i kopuła cała jak zstępujący świat, biało spadała na ziemię.

I wszystkie portyki i pałac Watykanu i kolumny dziedzińca łamały się, rwały, w proch się sypiąc — i obie fontanny jak dwa białe gołębie przypadły do ziemi konając, a lud uciekał coraz dalej jak morze wyparte z brzegów i zdało mi się, że już ranek jest — że słońce dotąd nie wschodzi — i że widzę tylko gwiazdę jutrzeńki nad stosem gruzów tak wysokim, tak ogromnym, jako była niegdyś bazylika Piotra.

Wstępował na ten olbrzymi kopiec kardynał, a mnie się zdało, że poszedł za nim, niesion Ducha potęgą.

A gdy on doszedł szczytu, zasiadł gdyby na tronie i spojrzał na świat — a nawet szaty purpurowe opadły mu z ciała i przemienił się w postać białą, łagodnem światłem osrebrzoną — i księga była w ręku Jego — i schylił głowę ku jej kartkom i uważnie czytał.

A twarz jego była jakby przepojona miłości wyrazem a pełna pokoju.

Zbliżyłem się zatem do niego i rzekłem właśnie w chwili gdy wchodziło słońce: — Panie, czy prawda że ostatni raz wczoraj Chrystus narodził się w tym kościele, którego już dziś nie ma?

A on z dziwnym uśmiechem, nie podnosząc ócz z nad księgi, odrzekł mi: — Odtąd Chrystus ani się rodzi ani umiera na ziemi.

A ja to słysząc zbyłem trwogi wszelkiej i zapytałem się: — Panie, a ci których przywiodłem wczoraj czy na zawsze już leżą pod temi gruzami, wszyscy umarli koło umarłego starca?

A ów biały święty odrzekł mi: — Nie trwóż się o nich. Za to że wyrządzili mu ostatnią przysługę, Pan odwdzięczy im — bo zachodzący tak jak wschodzący, umarli tak jak żywi są z Pana — owszem — im lepiej będzie i synom synów ich. — A gdym zrozumiał, ucieszyłem się i duch mój się przebudził.

PRZEDŚWIT.



Ultima Cumaei venit jam carminis aetas:
Magnus ab integro saeculorum nascitur ordo.
VIRGILIUS (Ecloga IV.)

Hodie scietis quia veniet Dominus et salvabit
ros et mane videbitis gloriam ejus.
MISS. ROM. in vigil. Nat. Dom.

A Jezus im odpowiedział: Ojciec Mój aż dotąd
pracuje i Ja pracuję.
(EW. ŚW. JANA. R. V. v. 17.)

Za dni Cezara poprzedzających wielki dzień Chrystusa, świat starożytny był doszedł do ostatnich wyników historii swojej — w religii do zupełnego zwątpienia — w filozofii do zupełnego obalenia zasad politeizmu. Augur śmiał się z Augura — a grecki sofista z samego siebie. Krytyka rozumu zniszczyła wszelką wiarę dawną, wszelkie życie żywiące wśród ludów, a nic równie żywotnego lub żywotniejszego na to miejsce nie postawiła. Gdzie tylko spojrzeć w świecie ducha, ruiny, swawola, rozstrój — *quot capita tot sensus*. — Epikureizm, stoicyzm, platonizm, przechadzały się jak mary po owdowiałych piersiach ludzkości. Z tyłu wojen, proskrypcyi i rewolucyi, wielkie znużenie było się zostało w sercach — wszystkie wiary polityczne spelzły na niczem; i plebejanin Maryusz i patrycyusz Sylla nie zdołali urzeczywistnić myśli swoich — choć niesłychanym krwi ludzkiej rozlewem, gwałtami, niesprawiedliwością, terroryzmem, starali się dawnego i znikającego porządku kształty raz jeszcze z przeszłości wywołać, i żywą terażniejszością uczynić! — Śmierć tylko śmiercią wprowadzać można — jedno życie tylko, nie broni się rzezią — nie wtłacza się na karki ludzkie jarzmem — ale żywotnie wstępuje w serce ludzkości, stawiając a nie niszcząc, kochając a nie każąc zabijać. Wszyscy ci wielcy czy *zatracciele*, czy *odnowiciele* z ostatnich czasów Rzymu, jedną cechę na sobie noszą — pragną nieznośną postać rzeczy odmienić, ale nie wiedzą ku czemu dąży historia świata. — Jedni trzymają się podania Greków, i chcą demokracji — drudzy wierzą jeszcze w *bogi Many Appiuszów*

i marzą o arystokracycznej Rzeczypospolitej. — Takim marzeniem obłąkany Brutus, ojca własnego, największego ze śmiertelnych przed Napoleonem, zamorduje i nazwie to cnotą, a konając zwątpi o sobie, o ojczyźnie i o bogach i krzyknie: — Cnota jest także złudzeniem. — Dusza zabijającego się Brutusa, to najprawdziwszy obraz duszy świata całego naonczas. Słabość, niepewność, gorączkowa żądza czegoś lepszego, i gorączkowe przerażenie po każdym czynie dokonanym, który do pożądanej przemiany nie doprowadził, oto są duszy takiej piętna — i z tych znamion łatwo rozpoznać, że świat ten blizki dnia sądu i przeobrażenia swego!

A nietylko umysłowy stan ten bez wiary i daremnych tęsknot lub żalów świadczy o tem. Inna jeszcze występuje tu cecha — nad wszystkie ważna — dowodna — niechybna — choć z wręcz przeciwnego stanowiska zarwana, choć tycząca się tylko materialnej strony ówczesnego człowieczeństwa; kiedy albowiem wszystko na polu ducha się rozprasza, skądinąd, na polu materialnych spraw i celów, coraz bardziej się kupi, zrasta, ześrodkowuje. Rzym choć rozdarty sam w sobie i już własnej nie mający idei, zwycięża, gromi, podbija wciąż i staje się wreszcie człowiekiem jednym tylko, któremu na imię Juliusz Cezar — a człowiek ten ziemię nauczy jedności i wspólności; na pozór wojnami ją skaleczy, na pozór bratu przeciw bratu, synowi przeciw ojcu krótki miecz do rąk włoży — przejdzie Rubikon bezbożnik — powie *jacta alea est*. — Cywilnej wojny ohydę śmiało weźmie na czoło swoje — Gallią o Egipt uderzy. — Germanom pokaże błękit niebios Greckich pod Farsalą — Greków za sobą porwie do Afryki — wszystko pomięsza, rozkrwawi, napelni świat szczękiem broni, krzykiem boju, nienawiści krzykiem — a jednak wszystko mimowoli, mimowiedzy połączy, pobrata; granit plemion, nieznanających siebie, zetrze na piasek jeden, ten sam gładki

i równy, jednego, uniwersalnego państwa! I o nim Żydzi myśleć będą, że on jest Mesyaszem — i ziemia o nim pomyśli na chwilę, że on jej Bogiem! Lecz wiecie, że on był tylko poprzednikiem jej Boga. Na polu historycznego czynu, on tym aniołem, któremu przykazano usuwać zapory z przed stóp idącego Pana! On świat przywiódł do materyjalnej jedności, bez której żadne słowo życia rozejść się nie może — on ziemię znaną podówczas zamienił w jeden wielki i szeroki gościniec!

A lat niewiele później, któż zaczął stąpać po tej bitej drodze? Kto kazać i oznajmiać, że nowe życie już zesłane — i że zmarli nie umrą i że Bóg nieznan w Atenach, objawion w Hierozolimie? — Czy nie Piotr — czy nie Paweł — czy nie Jan święty? — Szaleli następcy wielkiego Juliusza — prześladowali wiarę nową — żartowali wśród biesiad ze słowa opowiadanego — chrześcian przybijali do krzyżów — a nie wiedzieli, że trzeba było zniszczyć dzieło pierwszego z Cezarów, by zaszkodzić rozprzestrzenieniu się nowej religii — że to samo co ich na *krótko i krotko-chwilnych* bogów ziemskich wynosiło, torowało też drogę ruchowi poczętemu z Nieba — i że jedność materyjalna państwa, które w sobie resztę świata pod nazwą prowincyi podbitych zamknęło, była podścieliskiem, warunkiem, zakładem, środkiem koniecznym postępu dla chrześcijaństwa. — Dbali o tę jedność, pielęgnowali ją, bronili jej o ile sił zniewieściałych im stało — a tem samem ślepo i bezwiednie opiekowali się coraz wyższym chrześcijaństwa wzrostem! W ręku Opatrzności narzędziami byli — prawa historii dopełniali, wiedzeni własnym pożytkiem, tak jak handlarze i kupcy za czasów naszych — i tak z tyłu szatanów widomych na ziemi, każdy był sługą bożych myśli — każdy jedną cegłą więcej rzuconą do budowy Kościoła. — Jako Imperatory przeszli oni obarczeni przekleństwem ludzi — jako *cegły* zostali się — i dotąd potomni ludzie po nich deptają w Historji.

Discite historiam exemplo moniti! — Lat dwa tysiące upływa, a te same znaki rozciągnęły się po falach czasu — ostatnie podrzuty Rzeczypospolitej Rzymskiej odbiły się w strasznym epileptycznym zadrgnieniu rewolucyi francuskiej. Zerwały się cienie Maryusza, Sylli, Katyliny, pod krwawą postacią Dantona, Saint-Justa, Robespiera — wreszcie dni Cezara przelały się w dni Napoleona! — A chrześcijański Cezar, wyższy całą ubiegłą epoką od poprzednika, przepełniony wiedzą siebie samego i celem, któremu kwoli Duch Boży kierujący dziejami go zesłał, rzekł umierając na skale wygnania: — *odemnie liczyć się będzie nowej ery początek.* — W tem słowie zawarta prawda i jego całej przyszłości. — Lecz nim ta prawda się rozwinie i dopełni, nim ze stanowiska Napoleońskiego przyjdzie świat do innego, całkowitszego i świętszego przeobrażenia się, musi się sam wyczerpywać jak wyczerpywał się starożytny, musi sam się zaprzeczać jak zaprzeczał się starożytny. — Nie od dzisiaj, nie od wczoraj ruch ten postępowy w niszczeniu, zawrót ten głęboki w zastanawianiu się nad sobą samym poczęty! — Od Grakków świat pogański nie spoczął aż usłyszał obietnicę Chrystusa — od Lutra nowożytny nie ma pokoju — cywilną ogromną wojną i myśli miecza rozłamuje się coraz bardziej — i on też nie spocznie aż dojdzie nie już do usłyszenia ale do zrozumienia i dopełnienia obietnicy Chrystusa.

W okręgach religijnych wszędzie rozbrat — Kościół katolicki jakby snem od wieków trzech, od ostatniego Soboru, ujęty — schizma grecka w dzieciennym kształcie pierwotnego chrześcijaństwa, na tysiąc kacerstw rozerwana — protestantyzm sam siebie rozwiązujący i mówiący *consumatum est!* W okręgach filozoficznej wiedzy, pewność — ale *braku* tylko — dowód, ale krytyczny tylko, że przeszłość niezdolna potrzebom ludzkości zadosyć uczynić. *Wściekło-flegmatyczne*, że tak powiem, zaprzeczenie filozofii niemieckiej, do najwyższego bezkształtu doszło. Jednostronność *myśli* tknięta

tą samą niemocą postawienia czegoś żywotnego, jak wprzódby jednostronność *materyi*, której się trzymał ród Encyklopedystów francuskich. Stąd mniemań, teoryi, przypuszczeń, systematów zagmatwany rój brzęczący nad Europą!

Wszystkich wieków co przeszły nad ludzkością marzenia, nadzieje, szlachetne wiary i straszne bluźnierstwa, herezye chrześcijańskie wszystkie, panteizm indyjski cały, dualizm perski, monoteizm hebrajski, idealność wyłączna i zmysłowość wyłączna; wskrzeszone razem i w tej mieszaninie wykształcone, ogładzone, jedne na drugie się zasuwając tak, iż trudne do rozpoznania — a wszystkie wołające do Nieba o dzień sądu, o chwilę rozstrzygnięcia, same proszące się o śmierć, by się prędzej przemieniły, i nową iskrą życia pojednane zmartwychwstały młodemi napowrót! — Oto obraz umysłowej sfery czasów naszych!*)

Anarchia taka okropna, że koniecznie dąży do przesilenia — żądza taka wielka a dotąd daremna, że wzywa koniecznie pomocy Ojca, który jest w niebiesiach! — Kiedyż ta pomoc odmówiona była? Kiedyż Bóg opuścił historią, kiedy historia wzniosła ku Niemu ręce i językiem wszystkich ludów ziemi krzyknęła: — *Pokaż się nam, Panie!*

Żądza nieskończona ciągnie za sobą wieczną tęsknotę i żal nieskończony — jak w osobniku tak i w rodzie ludzkim zdarza się melancholia — ze zbiorowego człowieka także cieknie czasami pot krwawych udręczeń na górach oliwnych historii. — Gdyby inaczej było, ducha ludzkiego własną wolą wyrabiającego się by nie było — gdzieżby się podzielała zasługa, którą on zasługuje w *czasie*? Czemże ona, jeśli nie życiem tem jego w historii, jeśli nie tym ciągiem pracy, podzielonej na momenta śmierci i z martwych z niej wstawania? A jakżeż się umiera, jeśli się nie zwątpi? A jakżeż się zmartwychwstaje, jeśli się nie uwierzy?

*) 1843 r.

By nie umrzeć, na to Bogiem być trzeba — człowiekiem na to by umierać. — Gdy Boży Duch połączy się z naturą człowieka, życie Boże grób ludzki rozwala — Chrystus umarł i wstał z martwych.

I epoce wszechcześnie w słowie Jego, tak samo uczynić potrzeba, nim zdoła czynem treści całej tego słowa dorównać; — otóż ojcowie nasi stali na tej pochylności co wiedzie do grobu — nas, dalej już losy zanosły i głębiej złożyły — my w grobie — mylą się — my już za grobem!

Wszyscy wiecie to, bracia moi, żeśmy się urodzili na łonie śmierci — i od kolebki oczy wasze zwyczajone, poglądać na sińce zgonu rozciągające się po ciele Europejskiego świata! — Stąd ból wieczny, co toczy wam serca — stąd niepewność, co życiem waszem się stała. — Idziecie a nie wiecie dokąd — i nie modlicie się już jak za dawnych lat, jedno powtarzacie — *źle nam jest*. — Lecz wszelki koniec, mieści już w sobie następny początek — dzień zgonu tylko poprzedza godzinę przebudzeń. — Alboż wy nie wiecie, że to chrześcijańska wiara — a jakożby miała omyloną być, kiedy z Boga jest? Więc patrzcie uważnie, a znaki śmierci przemienią się wam nagle w znaki zmartwychwstania!

Nikt średnich wieków nie nazwie cywilizowanymi — nikt naszego aż dotąd religijnym; — cywilizacya się poczęła w chwili, gdy wiara konała — cywilizacya jest to jedność materyalnego bytu, jest to wspólność interesów ziemskich czekająca na zjawienie się Słowa Bożego. — Patrzcie! jak rosła i ugładzała wszystko, na to, by idące Słowo Boże łatwiej się rozlało, prędzej się udzieliło z domu do domu, z kraju do kraju! — Czemże Napoleon jeśli nie tym drugim w historii Aniołem, co usuwa zawady z drogi Pańskiej, gdy już bliska godzina Pańskiej podróży? — Państwo jego uniwersalne rozwiało się jak złudzenie — on umarł na dalekiej wyspie, a syn jego jedyny w stolicy nie-

przyjaciela. — Bracia pozostali i ród ich miernością; — gdy pomrą te ciała, nie zostanie śladu, że za życia, każde z nich nosiło królewską koronę — a jednak mimo to, pamięć tego człowieka, nie pamiątką po umarłym ale duchem żywym i coraz potężniej żyjącym jest! Co on pchnął do biegu, to teraz dalej się toczy — co ta dłoń na chwilę wszechmocna spoiła, to samo przez się coraz ściślej się spaja i wiąże. — Zapoznane ludy już się nie odpoznają — skupiony razem duch germański już się nie rozpręże — włoski toż samo i hiszpański toż samo! On narodowości ziemskie przebudził z uspienia.

Chrystus objawił ludziom ideę ludzkości. — Przed nim prawdziwych narodów, oprócz hebrajskiego nie było: bo nie znano celu, do którego dążą narody, ku któremu ciężą jak planety ku słońcu. — On to obiecał, że będzie na świecie kiedyś jedna tylko owczarnia i jeden pasterz; on to przykazał modlącym się do Ojca powtarzać codziennie te słowa: „*Przyjdź Królestwo Twoje*“ i takim westchnieniem od lat dwóch tysięcy, my wszyscy prosimy Boga o uwidomienie się ideału ludzkości na ziemi!

Nic w nas naszego nie masz — wszystko od Stwórcy, myśl i ciało — Bóg nam niejako pożyczył nas samych. Naszym jedynie użytek, jaki czynimy z tych udzielonych nam zasobów; naszym tylko czyn nasz, zasługa, którą stajemy się tem, czem mamy pozostać kiedyś w obliczu Boga, którą dopracowujemy się rzeczywistej i ostatecznej osobistości naszej. Lecz ona tylko na ziemi, tylko wśród ludzkości położoną być może; ludzkość zatem, wśród której zarabiamy na wieczny, przyszły żywot nasz, musi być sama wielką i świętą w Bożym pomyśle harmonią a nie znikomą marnostką bez wagi i celu! Ludzkość na planecie i nieśmiertelność każdego osobnika za grobem, są to dwa okręgi równe sobie, posługujące się nawzajem, nie dające się rozdzielić sercem ani rozumem; każdego dru-

giego poboczną, warunkiem, dopełnieniem, a oba zlewają się w trzecią, wyższą samego Boga potęgę!

Lecz czemże jest planetarna ludzkość? Oto, całością, i jednością wszystkich możliwości ducha człowieka, wyrażoną widomie na tej ziemi przez zgodę i miłość członków swoich: to jest *narodowości*. Jako albowiem członki ciała ludzkiego są widomymi i rozmaitemi cząstkami niewidzialnego *Ja* ludzkiego, które je wszystkie spaja i im wszystkim panuje, tak samo narodowości widome, muszą w różnorodności swojej a zarazem harmonii, stać się kiedyś żywymi członkami powszechnej, że tak powiem, katolickiej ludzkości:

„A wszystko sprawuje jeden i tenże duch, udzielając każdemu z osobna jako chce.“

„Albowiem jako ciało jedno jest, a członków ma wiele, ale wszystkie członki ciała jednego choć ich wiele jest, są jednym ciałem, tak i Chrystus!“

ŚW. PAWEŁ, List I. do Koryntyan, R. XII, w. 11—12.

Objawienie Syna Bożego musi więc przechodzić wiekami ze stanu idealnego do stanu uwidomienia i rzeczywistości; na takim ruchu postęp zasługi ludzkiej, postęp człowieczeństwa zależy.

Słowo Chrystusowe nie mogło od razu przetwarzać polityki pogańskiego świata; bo skład polityczny i byt społeczny epoki jakiej zależy oczywiście od stanu moralnego indywiduów w niej żyjących i musiało zatem *chrześcianać* szczególne dusze przed chrześcianaeniem stosunków między narodami i państwami!

Ale za dni naszych, osobnik każdy chrześcianańskim jest i wszystkie stosunki między nimi chrześcianańskimi są. Gdzież dalej iść idei chrześcianańskiej? Oczywiście w sferę niedotkniętą, nieprzerobioną dotąd, a tą jest sfera polityki. — Świat blizki, nie wielkiej odmiany (bo nic ze słów Chrystusowych odmienić się nie może) ale wielkiego *przemienienia* się ich, głębszego zrozumienia ich, wyższego ich uwielbienia! — Już w tych wyrazach: „Oddajcież tedy co cesarskiego ce-

sarzowi, a co Boskiego, Bogu“, zawarty jest cały dalszy ruch człowieczeństwa. — Bo ponieważ wszystko *Bożem* jest, musi stan rozdziału owego chwilowego między właścią Cezarową a Bożą, coraz bardziej się zmniejszać, i to co jeszcze wczoraj liczyło się za własność Cezarowi, dziś być już policzonym za należne Bogu: aż stanie się państwo Cezara nicością a Królestwo Boże *wszystkiem*.

Świat już dzisiaj pojmuje ku czemu garnie się historia; wie, że nią rządzi mądrość Boża i że celem jej jest ludzkość czyli cała powszechność zgodna z wolą Bożą, znająca i wypełniająca prawo, które Bóg jej nadał! Środkami zaś do tego celu, narzędziami, członkami żywymi są *narodowości*, w których odbiły się jako w najwyższym swoim rozkwicie, wszystkich plemion ludzkich różnice. — Czem nuty w akkordzie, tem one w człowieczeństwie, różnaitością i zgodą zarazem. — Bez nich nie podobna pomyśleć ludzkości, bo byłaby to wtedy jedność bez różnaitości, a zatem właściwie nie żadna jedność, tylko martwa jednostka!

Państwa są utworu ludzkiego; są zbiorem przysypkowyn cząstek. Jedne narodowości są kreacyi Bożej i dla tego właśnie nie państwa bez narodowości ale narodowości upaństwowione, jedne tylko mogą być chrześcijańskimi, czyli należeć do składu powszechnej ludzkości. Już w średnich wiekach taki wysoki ideał byli pojęli Papieże — i oni zapragnęli wszystkie stosunki polityczne uchrześcianić w Europie. Była jednak w ich ponyśle ta niedokładność, że pojmowali raczej zwierzchnictwo Kościoła nad świeckim bytem, aniżeli pojednanie się zupełne boskich rzeczy ze świeckimi, woli Bożej z ludzką wolą. — Ich ideał też rozsypał się. Kościół został na jednej stronie, polityka odbiegła na drugą — i od czasów reformy zupełnie pogańską się stała.

Tu machiawelizmu, tu dyplomacyi początek: interes ziemski ubóstwiony, Boże królestwo ścieśnione

do progów kościoła każdego. — Za murami przybytku, wszechprzyciennego Boga już nie ma — umarli tylko śpią na cmentarzu — a dalej na bitych drogach świata stoją żywi — wojskowi, ministrowie, kupcy; pod nimi zaś — ucisk i niewola albo bunt i zwierzęcy szal!

Wszystkie państwa na przekor narodowościom się tworzą; wszystkie państwa są rozświetleniem jednej lub kilku narodowości na korzyść martwego ideału gabinetowego. — Idea Chrystusowa, idea wszechmiłości zapomniana i gwałcona co krok; nigdzie jednak tak antychryścjalnie jak rozbiorem Polski!

Trzy państwa wzrosłe nie według praw Bożych, oparte li tylko na interesie samolubnym, na dyplomacyi, słowem na tem co zowie się polityką, rozdzierają narodowość żywą, czyli jednego z członków widomych ludzkości! — Tym czynem polityka przesięga za własne granice.

Dziecko, kto mówi, że to polityczna zbrodnia — zbrodnia to daleko głębsza, bo religijna, bo przekraczająca za sfery świeckie i dotykające okręgów Bożych. — Państwo utworu ludzkiego, państwo z gry chuci ludzkich powstałe rozszarpać, byłoby to polityczną zbrodnią, ale narodowość świętą rozebrać i chcieć zabić kiedy bez niej obejść się nie może urzeczywistnienie idei ludzkości na ziemi, jest targnięciem się przeciwko prawdzie Bożej — prawdzie wiecznej: jest świętokradztwem! Tak samo jak z drugiej strony — nieuznanie tego gwałtu, opieranie się tej bezbożności: jest religią!

W chwili rozbiorów stało się to jako *factum*, ale duch polski dopiero teraz wsumienił się w siebie, nabrał świadomości o sobie, uczuł się narzędziem wybranem w historii do posunięcia jej postępu dalej. — Inaczej być nie mogło — prawo Boże albowiem skaleczone i obrażone na tym świecie, musi mieć wewnętrzną siłę wyleczenia się z rany zadanej i wrócenia do właściwej postaci! W narodowości, której krzywdą naj-

srożej ludzkość pogwałcona — najsilniej zadrgnąć musi, najjaśniej zabłysnąć — idea ludzkości.

Płciowość, polarność, jest prawem powszechnem, prawem jednym i wszechobecnem tak w naturze jak w duchu, tylko że pod coraz wyższymi kształtami się objawia; naprzykład, biegun dodatni i ujemny w galwanizmie, planeta i słońce w porządku kosmicznym, mężczyzna i niewiasta w rodzie ludzkim, myśl i ciało w człowieku. — Prawo to na tem zależy, że jedna i taż sama siła w naturze lub idea w duchu, objawia się na dwóch ostatecznych końcach swoich niby to sprzecznie, a wtedy między temi dwoma końcami powstaje działanie i oddziaływanie ciągle, czyli ruch i życie tejże siły, tejże idei. W stosie galwanicznym, z bieguna dodatniego wypadająca iskra gdzież leci? w biegun ujemny! — Mężczyzna, do kogoż się ma, w kim się odbija? w niewieście! Myśl, czem się wyraża? ciałem! Zawsze jedna połowa posługuje się drugą, przewciela się w drugą, na to by *całość* istnieć mogła.

W podobnym, analogicznym stosunku dzisiaj mają się do siebie, nadchodzący postęp historyi i Polska; — koniecznym pierwszym warunkiem drugiej zmartwychwstanie! Gdzież więc musi najwierniej odbić się świadomość tegoż postępu? gdzież najżywiej zajaśnieć przewidzenie tej przyszłości! zaprawdę że w Polsce.

Trzeba było śmierci naszej; trzeba będzie naszego wskrzeszenia — na to, by Słowo Syna człowieczego, wieczne słowo życia, rozlało się na okręgi społeczne świata. — Właśnie przez naszą narodowość umęczoną na krzyżu historyi, objawi się w sumieniu Ducha ludzkiego, że sfera polityki musi się przemienić w sferę religijną — i że Kościół Boży na tej ziemi, to nie tylko to, lub ono miejsce, ten lub tamten obrząd, ale cały planeta i wszystkie jakiegokolwiek być mogą stosunki tak osobników jak narodów między sobą!

»Domini est terra, et plenitudo ejus orbis terrarum et universi qui habitant in eo.« (PSALM. 24 — 1.)

Oczywiście tu nastąpi w sumieniu ludzkim rozszerzenie obecności Bożej. — Pan, w całej sferze politycznej, kędy dotąd go nie było, przytomnym się stanie; a narzędziem jego Opatrzności do tego nikt inny — jedno naród Polski.

Jedno z dwojga — albo święta przyszłość ludzkości przepada, albo warunkiem jej dopełnienia się jest życie Polski. — Słowo jedyne, słowo Chrystusowe, albo żadnych dalszych owoców nie wyda, albo gwałt zadany temu świętemu słowu, dalej trwać nie może. — Taką jest prawda, ale prawda nie już interesu świeckiego jedno Bożego — przeto nazywam ją religijną! — Ona musi ściślej jeszcze połączyć (*religare*) ziemię naszą z Niebem.

Niechaj się o niej sumienie każdego Polaka przekona, niech pojmie myślą co dotąd czuł sercem tylko, a zrozumie i wierzyć będzie, że tylko przez Polskę zdoła się zasłużyć na ziemi i zbawić duszę nieśmiertelną, bo tylko w Polsce i przez Polskę, zacząć się opatrzenie może nowy okres w dziejach świata. — Od tego zaś postępu zależy coraz wyższe dopełnianie się Objawienia Chrystusowego w ludzkości.

Dnia 17. Marca 1843 roku.

Z Ojców mych ziemi, przez wroga wygnany,
 Deptać musiałem obcych ludzi łany,
 I słyszeć zdala tych szatanów wycia
 Co ziemię moją okuli w kajdany;
 Jak Dant — przez piekło — przeszedłem za życia!

Z razu jam ufał że Bóg miłosierny,
 Na pyszne pyszny, ale wiernym wierny!
 Z razu jam ufał, że za dni niewiele
 Zlecą zesłane Anioły mściciele
 I grób ten pęknie co stoi wśród świata,
 Przyparty ręką olbrzymiego kata!

Lecz dni płynęły, upłynęły lata,
 Darmo brzask walczył z ślepą nocy siłą,
 Nie weszło słońce nad Świętych mogiłą,
 I coraz podlej na tej ziemi było!
 Więc duch mój upadł w tę próżnię zwątpienia,
 Gdzie światło wszelkie w noc wieczną się zmienia,
 Gdzie trupem gniją arcydzieła męstwa,
 Gdzie gruzem leżą wiekowe zwycięstwa,
 I z dni tych wszystkich wybranej kolei
 Wyrasta napis: „*Tu nie ma nadziei!*“

Ach! żyłem, żyłem w tej przepaści długo,
 Miotan rozpaczą bezbrzeżną i wściekłą!
 I śmierć mi będzie tylko śmiercią drugą:
 Jak Dant — za życia — przeszedłem przez piekło.
 Lecz i mnie także zbiegła w pomoc Pani,
 Której się wzroku czarne duchy boją;
 I mnie też Anioł wybawił z otchłani,
 I ja też niałem Beatricę moją!
 O równie piękna nad planety ciemnie
 Nie wzniósłś skrzydeł twoich precz odemnie,
 By zasiąść w Niebie — bez bólu — niebiańska!
 O równie piękna! i bardziej chrześcijańska!
 Tam gdzie ból rośnie, tam gdzie łza się plemi,
 Tyś z bitem twoim została na ziemi!
 W jednych my cierniów chadzali koronie,
 Krew moich dłoni krwawiła tve dłonie,
 I z jednych trucizn piekielnego zdroja
 My pili razem, o Beatrix moja!

A jednak, jednak, mój jęk, tve westchnienia
 Zmieszane, złane, przebrzmiały na pienia!
 Z dwóch smutków w duszne spojonych zameście,
 Wzbił się głos jeden — a tym głosem szczęście!
 Ach! szczęście wiary, ach! nadziei siła
 Co w serce moje, przez wzrok twój, wróciła!
 Tak chmury ciemne, pełne łez na Niebie,
 Gdy w nadpowietrznym zetkną się pogrzebie,

Z ich płaczu, światło wypada wnet gromem
I mgła się staje, złotym Boga domem!

Pieśń tę więc zaczę, siostró, twem imieniem!
O! bądź na wieki ze mną połączona
Jednych pamiątek i uczuć pierścieniem!
My tu skonamy, lecz pieśń co nie kona
Powróci kiedyś, wierna mnie i tobie,
By jak Stróż Anioł, strzedz nas śpiących w grobie!
A może przyjdzie chwila, że wskrzeszeni
W czasie dusz wszystkich, nie już w ciał przestrzeni,
Wstaniem jej dźwięków znów spójni łańcuchem;
I żyć będziemy w serc ludzkich pamięci,
Już duch zbawiony, ze zbawionym duchem,
Oboje czyści, świetlani i święci!

Czy pamiętasz nad Alp śniegiem
Rozwieszone Włoch błękity?
Nad jeziora włoskim brzegiem
Czy pamiętasz Alp granity?
Tam — z daleka — w Niebo przodem
Pną się ostrza kryte lodem,
A tu bliżej, a tu niżej
Po za wzgórzem, spływa wzgórze,
Z winnic kapią bluszcz i róże!
Jednym rajem gór podnóże!
W wieczór, z rana — zwierciadlana
Fala pije niebios smug!
Na wód dole — na skał czole —
Jedna piękność — jeden Bóg!

Widzę jeszcze, widzę ciebie!
Z harfą stoisz na mej łodzi,
Gwiazd już kilka drży na Niebie,
Z nad Alp szczytu księżyc wschodzi!
Widzę jeszcze, widzę ciebie;
Na twych strunach twoje dłonie,
Iskra natchnień skrzy ci z lica,

Światłokręgiem twoje skronie
 Rozanielił blask księżycyca!
 W fal przezrocza, w sieć z promieni
 Zewsząd postać twa ujęta,
 Na błękitnem tle przestrzeni
 Całaś srebrna — wniebowzięta!

Nabijaną światłem drogą
 Łódka moja zwolna płynie;
 Jakże lubo, jakże błogo
 Na szafirów tych głębinie!
 Za jeziora przezrociami
 Majaczeją wzgórze, skały,
 I ty ze mną i my sami,
 I tak piękny świat ten cały!

Nabijaną światłem drogą
 Coraz dalej łódź ma płynie;
 O! Anieli czuć nie mogą
 Co ja czuję w tej godzinie!
 Takim silny, takim dumny,
 Siostró moja! mnie się zdaje,
 Że w tej chwili — ze snu trumny
 Nasza *Święta* gdzieś już wstaje!

Co raz dalej twarz miesiąca
 Nas prowadzi smugiem fal,
 Płynmy, płynmy tak bez końca
 W ciszę — w jasność — w błękit — w dal!

Wód zwierciadła, gór widziadła,
 Ziemia, Niebo, jeden kraj!
 Rzeczywistość się pomału
 W świat przemienia ideału,
 W sen ze srebra i kryształu!
 Daj mi teraz marzeń, daj!

.

.....
Bądźmy dumni, mój Aniele,
Bo nim zstąpi cud i zbawi
Tych co w dawnym drżą kościele,
Nam zwątpienie serc nie krwawi.
Nam nie brudzi czoła trwoga;
My podnosim wzrok nasz w górę
I gdy widzimy tę naturę,
W niej i za nią czujem — Boga!

My w natchnieniu wspólnych marzeń,
Gnani wirem smętnych zdarzeń,
Idziem kędy wiedzie droga!
Lecz w tej zmiennej życia męce,
Gdy ściśniemy sobie ręce,
W niej i za nią czujem — Boga!

My zabitej matki dzieci,
My, co nigdy nie widzieli
Jak się matki oko świeci
I nad dzieckiem swem anieli;
My z mogiły naszej rodem,
Po niej wiecznie krwawym chodem
Jak upiory stanąć musim!
Jednak w każdej życia dobie,
Za tym grobem i w tym grobie,
Wiarą w Niebo — Niebo kusim!
Pozywamy na sąd wroga,
Bo dzień sądu w piersiach nosim.
I ufamy, że wyprosim
To co boskiem jest — u Boga!

Módl się ze mną, moja siostro!
Modl się, klękaj tu w pokorze;
Lecz patrz w górę śmiało — ostro,
Jak sierota spojrzeć może!
Wpatrz się w harfę tę bez końca,
W której księżyc, gwiazdy, słońca

Tkwią jak szruby niewzruszone;
 A od dołu aż do szczytu
 Struny z światła i błękitu
 Drgają, w bezmiar naciągnione.
 Po tych strunach duch przelata,
 Na tych strunach duch przegrywa
 I w tej pieśni sam spoczywa:
 Ta pieśń — zgodą — ciszą świata!

Słuchaj! dźwięków tych wszechzgodzie
 Brak jednego dziś imienia!
 Patrz, w tych światel wszechpogodzie
 Brak jednego dziś promienia!
 Módl się ze mną, wymów imię
 Co wypadło z lutni życia;
 Wskaż tę gwiazdę, która drzemie,
 Lecz nie zgasła w dniu rozbicia!
 Wymów, wymów *Polski imię*,
 Może słucha nas Duch Boży,
 I stracony dźwięk ten przyjmie,
 Znów do pieśni świata włoży!

Módl się ze mną, módl się śmiało,
 I spokojnie i bezpiecznie!
 Jak Bóg w Niebie — tak koniecznie
 Bóg nas wcieli w drugie ciało!
 Bośmy w żadnej zgonu chwili
 Ducha nigdy nie stracili.
 Próbę grobu my odbyli.
 Prawem naszym — *Zmartwychwstanie!*
 Dziś lub jutro, dasz je, Panie!
 O! dasz w Swej sprawiedliwości,
 Nie coś winien nam — lecz Sobie!
 Bo któż w naszym wyżył grobie?
 Kto nam dotąd w piersiach gości?..
 Nikt na ziemi — oprócz Ciebie!
 Żadna inna moc ni siła,
 Jedno Twoja się zjawiała

Tu — po naszym, w nas — pogrzebie!
 Twoja wszechmoc tylko Boże,
 Cośmy znieśli, przetrwać może!
 Twej potęgi tylko chwała
 Tak jak Polski — jest bez ciała!
 Duch Twój tylko jeden zdoła
 Nie zatracić — w śmierci siebie.
 Więc gdy dzisiaj z ziemi woła
 Ty odpowiesz mu na Niebie!

Gdym tak mówił tyś uklękła,
 Strunnym jękiem harfa jęła,
 Bo o struny, które w koło
 Porozzłacał blask miesiąca,
 Tyś oparła śnieżne czoło!
 I tak klęczysz wzdychająca!
 Z za tej kraty strun — twe oko
 Patrzy mglisto i głęboko.
 Na twych ustach słów już nie ma
 Tylko jedno drżące tchnienie
 Całość duszy na nich trzyma!
 Módl się, siostró, módl westchnieniem;
 Bóg wie dobrze, że westchnienie
 Dziś Ojczyzny twej imieniem!

My umarli pośród świata
 Z świętej do świata miłości!
 On nam bratem — zbawić brata
 Trzeba było z win podłości.
 Przyjąć na się — nie grzech — karę!
 My przyjęli — i widziano
 Wśród narodów Polski marę
 Zstępującą w grób na trzy dni!
 Dnia trzeciego się rozwidni
 I na wieki będzie rano!

Ha! myślicie, że kto kocha
 I umiera, ten już ginie?

Dla ócz waszych, dla ócz z procha,
Lecz ni sobie, ni wszechżyciu!
Kto w poświęceń zmarł godzinie
Ten się przelał w drugich tylko!
Mieszka w ludzkich serc ukryciu
I z dniem każdym, z każdą chwilką
Żywy rośnie w tej mogile!
Jak uczynił Bóg co w Niebie,
Daje wszystkim, daje Siebie,
A nie traci na swej sile!
Musi długo, niewidzialny,
Lecz w serc głębi wciąż słyszalny,
Palić ogniem serc tych skazy,
Miękczyć łzami dusz tych głazy,
I przez grobu męki, trudy,
Harmonijną pieśnią śmierci,
Choć rozdarty sam na ćwierci,
W jedną miłość spajać ludy!

Ha! wy dziwnie tu marzycie!
Wam śmiertelnym się zachciało
Nieśmiertelnych zabić życie!
Raniliście tylko ciało!
Śmierć i miłość — wy nie wiecie,
Że to jedno w duchów świecie?
Wy, w piekielnej już topieli,
Wyżej piersi zanurzeni,
Z Boga tylko to pojęli
Czem objawił się w przestrzeni!
Myśl, co w mózgach waszych gości,
Myślą tylko ciał martwości!
Tu z was każdy jak morderca
Chce pozbawić ludzkość — serca!
I kościotrup po niej nagi
Rządzić prawem równowagi!
Rozdajecie, jak świat wielki
Wszystkim więzy albo sidła!

Nie tak — nie tak — bo duch wszelki
 Ma w anielskie porość skrzydła!
 Wiecznotrwały ten na ziemi
 Kto swą śmiercią życie plemi!
 Lecz kto życiem swem — śmierć daje
 Ten gdy skona — już nie wstaje!

O wy nizcy, o wy ciemni,
 I okrutni i nikczemni!
 Wy, przewiedłe w nicość dusze,
 Bez ducha Faryzeusze!
 Wy, kuszący piorun Boży,
 Aż was w prochu tu położy!
 Wy szpiegowie i wy katy,
 Z wypranemi od krwi szaty;
 Wy, półśrodków sztucznych pany,
 Co kładziecie żar na rany,
 A gdy jęknie wam męczennik,
 Ogłaszacie mu — że zmiennik:
 Kłamcy wieczni z prawem waszem,
 Czy z kupiecką zysku szalą,
 Czy z bagnetem i pałaszem;
 Wy, bożyszczą — którym palą
 Dym kadzidła dzieci trwogi;
 Ziemia waszym struta jadem,
 Wyście tylko ziemi — gadem,
 Choć się macie za jej bogi!

Nie znam na was hańby słowa!
 Nie, że język mój ubogi,
 ○ Lecz, że boską ludzka mowa!
 Nadto piękna — czysta — święta,
 Bo z anielskich krain wzięta —
 By was nazwać po imieniu!
 Jabym rzucił w grzmiącym pienu
 Wam serc wszystkich wszechprzekleństwo!
 I jak zemsty jędza wściekła
 Gnał was biczem żmij do piekła,

Starł wam z czoła człowieczeństwo!
 Bładych, krwawych, skutych w pęta
 Stawił w wiekó sądne kole,
 By wydeptały na czole
 Wam nadgrobek ten — „zwierzęta“ —
 Ale w duchu jest pogarda
 Co ma także swe panieństwo,
 I gdy gardzi — nadto harda
 By znamiętnić się w przekleństwo!

Co zalewasz się tak łzami,
 Co tak patrzysz bezprzytomnie?
 Siostró moja! wstań, chodź do mnie,
 Prawda z Polską — Polska z nami!
 Nie klęcz więcej, spojrz wesoło —
 Skroń mi oprzej na ramieniu;
 Niechaj widzę twoje czoło
 Przebóstwione w mem natchnieniu!

Nim ten księżyc już ponury
 Zstąpi całkiem za te góry,
 Nim te gwiazdy się dopalą,
 Nim powróci promień słońca
 I przeminie czar co trąca
 Piersi moje nad tą falą:
 Niech ci wyższy cud obwieszcze
 Nad uciski, nad boleści!
 O Aniele mój niewieści,
 Słuchaj jeszcze... słuchaj jeszcze!...

Znasz ty miłość, która nęci
 Wiecznie duszę w kraj pamięci?
 Czy po nocach ciebie woła
 Rodowego krzyk Anioła,
 I twym oczom patrzeć każe
 W dawno zmarłych żywe twarze?

Znasz zimowy step ten głuchy,
Gdzie śpią w grobach ojców duchy?
Gdzie w powietrzu twarz księżycy
Jak trupiego widmo lica:
I gwiazd nie ma — tylko ona
W środku niebios niewzruszona!
W jej promieniach przestwór cały
Znicestwiony, skamieniały.
Kędy spojrzeć na wsze strony
Zaspy — śniegi — lody — szrony.
Strach jak białe — pusto — marno!
Groby tylko z głazu ryte,
Żadnym śniegiem nie pokryte,
Wśród tej bieli stoją czarno!

A gdy wspomnień tajna wola
Myśl twą rzuci na te pola,
Zda się tobie, że bez końca
Po nich błądzisz nocną dobą,
I że wisi wciąż nad tobą
Ten przejrzysty trup miesiąca!
A za każdym twoim krokiem
Rozszerzają się te niwy —
Nieskończoność przed twym wzrokiem —
I nad głową — ten straszliwy
Krań ci Niebios także rośnie!
Coś pod ziemią brzmi żałośnie,
Cały cmentarz drga jak żywy,
Z grobów wieją modły — jęki!
Głucho dzwonią gdzieś pałasze,
Twardych zbroie słyhać brzęki,
Jakby dotąd ojce nasze,
Pomne życia — tęskne chwały,
Tam się w trumnach przewracały
Z boku na bok — i marzyły
Mękę Polski, w snach mogiły!
Nie! co znikło nie umiera!

Jak zaklęte czarem bóstwo
Przeszłość wraca w jawu kraje!
Patrz! grób kaźden się roztwiera
Umarłego ci oddaje.
Antenatów blade mnóstwo,
Dawne króle, radne pany
I rycerze i hetmany
Obwiązują cię do koła.
Cmentarz z lodu i z kamienia
Wsejm — w zjazd — w Polskę się przemienia!
Zgon się darmo wrył w te czoła;
Choć wzrok próchnem błękitnieje,
Znać w nim Wiarę i Nadzieję!
Patrz, z pod rdzawych tych szyszaków,
Z pod tych koron i kołpaków
Bije dotąd iskra ducha,
Senatorska tli wspaniałość,
Lwi się szlachty stara śmiałość
I niewoli wzgarda bucha!

Jam ich widział i szlochałem!
Na tej białej snów mych ziemi
Jam ich widział — i przed niemi,
Tak jak pada trup, padałem!
Na ich stopach kładł ja skronie,
I podrywał ku nim dłonie!
Tam lżą — krzykiem — sercem całym
O zgon Polski ich pytałem,
Ja, urodzon po jej zgonie.

Za co życie w życia chwili
Z taką pychą roztrwonili,
Że potomkom nie zostało
Ni potęgi, ni puścizny.
Jedno w zamian ich ojczyzny
Rozebrane kraju ciało?
Co ich wichrem takim gnało
Po dziejowej czasu fali

Że tak dbając o nas mało
Krew nam, i w tej krwi — śmierć — dali!

Ledwom spytał, ich zbroice
Zagrzegocą w głuchy dźwięk,
Z wszystkich piersi wypadł jęk;
Wszystkie zmarłe te źrenice
Z pod tych przyłbic — jak gromnice
Płoną ku mnie — razem, górą
Wszystkie wzbily się prawice,
Przesłoniły księżyc chmurą!
I tych białych rąk sklepienie
Drży przysięgą potajemną,
Na słów moich zaprzeczenie
W Niebo rośnie ponademną?
Tak jak rosa z polnych kłosów
Pot mi trwogi ścieka z włosów,
A na piersiach zmora siedzie;
Ni odwrócić mogę wzroku;
Tu — przedemną — za mną — z boku,
Oni stoją tłumem wszędzie!
Zewsząd słyszę ich oddechy
I pogardy słyszę śmiechy.
Patrzą na mnie ci umarli
Jak półbogi — a z ich lica
Patrzy wieków tajemnica,
I z nich każdy ją rozumie,
Więc mną gardzą w świętej dumie.
Aż pogardą mi rozdarli
Serce — i serce ze stali
Gdy tak śmiechem mi łajali
Pękłoby — o tej snu porze
Ach! pamiętam strasznie smętno!
Więc jak mogę tak się korzę,
Aż znów zerwie się namiętno
Duch mój — krzyknę: „O ojcowie;
Zdejmcie ze mnie wasze gniewy;

Kto na świecie mi tym powie
 Prawdę świętą, jeśli nie wy!
 Jam was przyszedł pytać o nią,
 Odpowiedzcie więc synowi:
 Niech się Polska wasza dowie
 Że jej duchy wasze bronią.“

Wtedy hetman co przy grobie
 Oddalonym zwykle trzyma
 Na szablicy ręce obie,
 Żadnych pętlic złotych nie ma,
 Ni turkusów w buzdyganie,
 Jedno pancerz za ubranie;
 A na rysiej z wierzchu skórze
 Miasto haftów — kul przestrzały —
 I na licu — blizny duże —
 I na czole — hełm nie cały!
 On wódz zmarły, co tam zawsze
 Na mnie oczy ma łaskawsze,
 Choć z nich wszystkich najbutniejszy
 I z nich wszystkich nasmutniejszy;
 Jak stał cichy i ponury
 Nagle czoło wznosił do góry,
 Wyprostował się ogromnie
 I szedł jęcząc zwolna do mnie.
 Jam znów przykląkł — i z wyż głowy
 Usłyszałem głos grobowy:
 „Ani z soli, ani z roli,
 Ale z tego co mnie boli
 Ja wyrosłem — i snąć tuszę
 Że ból tylko, tam na świecie
 Kiedyś pysznych w piekło zmiecie.
 Komu dawa Pan katusze
 Obietnice temu składa!
 Słowo Pańskie — żadna zdrada —
 Ono musi zbawić duszę!
 Jakie lądy, jakie morza

Jam zbiegł niegdyś — wiedzą ludzie!
 Za dni moich źle już było;
 Jak się mogło tak służyło
 Szczerą chęcią, w krwawym trudzie
 Braci szlachcie. — Łaska Boża
 Nas wygnała w te bezdroża:
 Niechaj będzie pochwalona!
 Bo ojczyźnie mojej dała,
 Z piekieł ziemskich wyniść łona,
 Nie żyć w innych ludów modle,
 Raczej umrzeć — jak żyć podle;
 Za to Panu wieczna chwała!

„Ty nie szukaj w ojcach winy,
 Ty nie wdawaj się w szyderstwo!
 Bo to potwarz i bluźnierstwo!
 A zaż ty wiesz jak z godziny
 Dni się snują, jak z dnia wieki?
 Tylko zmarły — co w żałobie
 Tęskni, czeka, marzy w grobie,
 A nie żywy — wiedzieć może
 Co czas blizki, co daleki,
 Co noc wieczna, a co zorze.
 I co Boskiej znak opieki!

„Gdyby niegdyś ojce twoi
 Cudzoziemców świeckich chodem
 Weszli byli do podwoi
 Tego gmachu — który stoi
 W koło Polski, aż dziś pada!
 Bylebyście dziś jak oni
 Kramem tylko — nie narodem;
 Sklepem śpiącej pełnym broni:
 Wyście Duchem co nią włada!
 My nie mogli żyć w przeszłości,
 Bo my znali się za gości
 Innych wieków. -- Wiecznie wszędzie
 Przez roztwartych dziejów pole,

Los nas pędził w wyższą dolę,
„Ku tej Polsce która *będzie!*
I przez Ojców waszych życie
Porywani dotąd skrycie
Mimo wiedzy — wy musicie
Ku królestwu iść Bożemu
Co ma jaśnieć na tym świecie:
My szli tamże po staremu,
Wy dziś, z młodu, tam idziecie!

„Jedną spójnią, w jednym duchu,
Jak ogniwa na łańcuchu
Pan powiązał ojców z syny.
Ni ten łańcuch kiedy pęknie;
Wszystkim razem dobrze, pięknie!
I z krwi naszej, z naszej winy,
Nim ten jeszcze wiek przeminie,
Wyjdzie *ludów lud jedyny:*
Błogosławcie ojców winie!“

I umilka hetman mówca;
Znów wstecz idzie do grobowca.
Grobu głązy się rozwarły,
Wśród czarnego ich przełomu
Ten umarłych wódz umarły
W granitowym znika domu.

I wnet w górze się roztrąca
Rąk nade mną mgła wisząca,
W oczach tają mi widm twarze —
Step się łamie — Niebo kruszy —
Znów te wszystkie mi cmentarze
Zapadają w przepaść duszy!
Lecz dgra w uchu, jęczy w duchu
Jeszcze z rana głos hetmana
Ze snu tego, rozwianego
Myśl ta jedna — nierozwiana!

Coraz smutniej już w przestworze,
 Coraz czarniej na jeziorze!
 Pogrzebowa z chmur przesłona
 U gór szczytu rozwieszona —
 I w nią księżyc spadł i kona!

Przebóg, siostró! co się dzieje?
 To nie wiatru szum tak wieje;
 Ktoś tam z cicha — płacze, wzdycha —
 Z nad wybrzeży jęk się szerzy;
 W nocnym wietrze, przez powietrze
 Tysiąc jęków do nas bieży.
 Już brzeg cały — wzgórze, skały
 Brzmiały modlitwy głuchej kołem:
 Wielki Boże! czy być może,
 Duchy ojców tu ściągnąłem!

Za wodami — tam przed nami
 Jak sny lekkie — lekką zgrają
 Na opokach się wieszają;
 Jak płomyki — jak ogniki,
 To się wznoszą, to zniżają!

Do strun, siostró! uderz w struny,
 By ich łącniej pieśń zakłęła
 W akordowe graj pioruny,
 Graj im: „*Jeszcze nie zginęła...*“
 Harfą — głosem — płacz, proś, szalej!
 Pieśń rodzinna, tu powinna
 Przyprowadzić ich z oddali!

Widzisz, widzisz, usłyszeli;
 Na ciemnościach tacy bieli
 Z skał spływają już do brzegu!
 Ot powietrznym już pochodzie
 Po tej czarnej kroczą wodzie
 Jak olbrzymie słupy śniegu!

Czy to cuda? czy to złuda?
 Dźwięk po dźwięku skrzy ci w rękę;

Harfa cała tli i pała.
 Każda nuta z strun wysnuta
 Przestrzeń trąca gorejąca!
 I w zwyż fali pieśń się pali,
 Ku mar stronie pędzi — goni
 I wciąż płonie i wciąż dzwoni!

Przewodowo — zwolna — święcie
 Przez to dźwięków rozbłyśnięcie
 Idą, idą wszystkie mary;
 Patrzaj, patrzaj, w dziwnej chwale
 Wszyscy z trumien polskich rodem
 Idą — idą przez te fale
 Chrystusowym do nas chodem!
 Tam buńczuki, tam sztandary.
 Śnieżne pióra i korony.
 Katolicki krzyż wzniesiony;
 W koło herby — tarcze — znaki
 I tłum szabel — i szyszaki
 Przeciągają — Patrz! tam żywa
 Twarz, z powietrza się wrywa,
 Twarz, czy widzisz, Anielicy!
 Jak gwiazdeczka na ciemnicy
 W górze, w górze zawieszona,
 Wschodzi — weszła — tli — drga — płonie.
 Ot! z błękitów i szkarłatów
 Już otęcza ją przesłona!
 Na tle z pereł, na tle z kwiatów
 Dyamentowa lśni korona...
 W krzyż na piersiach zwite dłonie,
 Złote gwiazdy na jej łonie;
 Czy poznajesz ty, kto ona?
 Witaj, witaj — to królowa —
 Po swym ludu długo wdowa,
 I dziś wraca w tej koronie,
 Którą w polskiej Częstochowie
 Niegdyś dali jej ojcowie;

I tych ojców przez te tonie,
Patrz! prowadzi:

Nie graj więcej —

Z fal tych drugiej takiej tęczy
Nasza harfa nie wydźwięczy,
Ni te Duchy tu przynęci!
Już ich tknęło światło Boże
I gdzieś spieszą — zbrojnie — skoro.
Złotem w okół szklni jezioro,
Na ich hełmach błyska zorze;
W dawnym polskich bitew stroju,
Przebóstwieni — rozzłoceni,
Przesuwają się w przestrzeni
Jakby znowu szli do boju!
Srebrne skrzydła w zbroję wtknięte
Im z nad ramion w górę lecą,
Jak anielskie skrzydła świecą;
Turkosami zbroje spięte,
Z żywej stali rękawice,
Strusie pióra wyżej głowy,
I dobyte do połowy
Damasceńskie ich szabllice.
Każden oczy ma wzniesione,
W przeanielską patrzy Panią,
I po falach stąpa za nią
W nieskończoną jakąś stronę;
I miecz dławi w swej prawicy
Wyżej serca, na zbroicy,
Jakby miał się ku obronie
Tej lecącej w gwiazd koronie:
A Królowa ta nie z ziemi,
Jak sen wije się przed niemi
Coraz dalej...

Pani! Pani!

Wszak z pomarłem sług plemieniem
Ty zstępujesz do otchłani

Po raz drugi zdeptać węża!
Wszak z nowego wieku dnieniem
Sprawiedliwość się odnowi,
I ty powiesz szatanowi,
Że lud Polski Twój -- zwycięża!

Uderzyła łask godzina!
Znowu Tobą i przez Ciebie,
Myśl przedwieczna, żywa w Niebie,
Życ pod Niebem rozpoczyna.
Płyńże, płyńże, Lilio Boża,
Po za lądy, po za morza,
Nad piekielne wzbij się jary!
Świeć im oczu twych spojrzeniem,
Niech przepada kłamca stary
Który wieków był złudzeniem;
U stóp twoich on poleże,
A ci zbrojni polscy męże
W pierś mu wetkną miecz ze stali,
Podeptają w imię Boga
Odwiecznego ludzi wroga:
Wszakżeć na to z grobu wstali!
Wtedy, wtedy na tym świecie
Wzrosną życia kształty trzecie!
Wtedy, wtedy nam z powieki
Pan lzy otrze — i na wieki!

Wiem już teraz, o Ojcowie!
Gdzie z Królową tą w szkarłacie
Tak spieszycie — przemijacie!
Ale czyjże głos mi powie
Kiedy nazad z tej oddali
Na tę ziemię powrócicie;
By i żywi w złotym świecie
Z letargowych trumien wstali!

Już daleko wy na fali!
Coraz dalej — coraz dalej

Ku wschodowi, ku jutrzence
 Lśnią wzniesione wasze ręce!
 Na te góry, na te brzegi
 Dnia już padły jasne gońce;
 Czerwienieją skał tych śniegi,
 Mgła się płoni u wód końca,
 Za nią pierwszy promień słońca!
 I te białe ich szeregi
 Idą prosto w to wschodzące
 Wielkokrężne — złote słońce!
 Płoną, mdleją, nieznacznieją,
 Już ich nie ma — z tych topieli
 Poszli w światło i zniknęli,
 Poszli z światłem i z nadzieją!

Nic nie ujrzeć już w przestrzeni
 Prócz lazurów i promieni!
 Znów spokojna toń jeziora,
 Znów te skały i te góry,
 I to Niebo, i te chmury
 Tak jak zawsze — tak jak wczora!

Noc minęła — lecz z jej cieni
 Wiara w piersiach się została?
 Ni tej wiary los już zmieni;
 Naszą, naszą przeszłość cała!

Chciałbym objąć te błękity,
 Tych wód brzegi, tych Alp szczyty,
 Ten widnokrąg objąć świata,
 I przycisnąć świat, jak brata
 Do mych piersi — bom szczęśliwy!
 Wszystko moje, wszystko piękne —
 Moje — ziemi, Nieba niwy!
 Z skał tych życia głos wydźwiękne,
 Bo w mym sercu Słowo Boże!
 Wszędzie cuda — wszędzie dziwy —
 Ja roztopię się w przestworze!

Ja ci mówię — żem szczęśliwy.
Polska moja — Polska *będzie!*
Dzięki wszystkim i wszystkiemu
W wieki wieków dzięki wszędzie
Bogu — duchom — ludziom — tobie —
I umarłym dzięki w grobie,
I każdemu kto jest żywy:
Temu światu wszechcałemu
Wieczne, wieczne dziękowanie!
I powietrzu powiem: — Panie!
Dzięki tobie — bom szczęśliwy!

Wszystko ludzkie znika — ginie —
Pryśła ziemskich chwil zawiałość:
Myśl już płąsa w tej krainie,
Gdzie wszechświatło i wszechmiłość!
Z dusz się naszych wzbil duch trzeci,
Wyższy od nas — niepojęty —
Bo nam w piersiach wre i świeci,
A zarazem w górę leci,
Już z tych piersi wniebowzięty.

I w tej chwili przemienienia,
O pamiętaj! wspólnym wzrokiem —
Tej istoty trzeciej okiem —
Jej nie naszym — my ujrzeli
Głęb rozkrytą przeznaczenia!

Czy pamiętasz? my widzieli,
Gdzie? — ja nie wiem, nie powtórzę —
Ni na dole, ani w górze,
Ni na wodach, ani w chmurze —
Lecz w bezdennej gdzieś topieli,
Gdzieś w odwiecznych światel bieli,
W próżni — kędy się przed nami
Niewidzialne wskrós rozdarło,
Jak ocean się rozwarło
Po nad czasu przepaściami!

Oto nagle — tam — ujrzeli
 Jak się Polska, Polska cała,
 Jednem widmem zmartwychwstałem
 Archanielsko wielkiem, białem
 Z dni przyszłości wychylała
 I na głębi dni tych stała,
 Jeszcze widna — niby ciałem —
 Lecz już wieczność przebóstwiona —
 Nieśmiertelna — nieskończona!
 Jak blask słońca, tak jej lice!
 I z błękitu ma źrenice —
 A jej wzrokiem — błyskawice!
 Nad jej czołem z krwi korona,
 Wieniec wspomnień purpurowy;
 Lecz już przeszły wszystkie bole
 I Duch Boży na jej czole —
 Na około już świat nowy!

Na zerwanych jej kajdanach
 Miecz u piersi zawieszony!
 Na tym mieczu trzy korony,
 Po trzech dawnych świata panach!

Choć już złego wiek skończony,
 Na tej miecza rękojeści,
 Oplecionej w trzy korony,
 Rękę dotąd trzyma ona!
 I ta ręka krwią znaczone
 W Chrystusowy znak boleści!
 I z tych koron czasem błyska:
 I ta ręka wtedy ściska
 Miecz olbrzymi — a z tej ręki
 Na pamiątkę wiecznej męki
 Krew w Wieczności jeszcze tryska!

A tam za nią — tam, wysoko —
 Tam, daleko — tam, głęboko —
 Za nią w czasie i przestrzeni,

Na tłach z światła — na tłach z cieni,
I z stron wszystkich — wkoło, wszędzie —
Jak mgły w ogniu — w tęczach pary —
Zewsząd wstają Boże mary
Tego świata który *będzie!*
Lecz już nie tak jasno-białe,
Mniej olbrzymie i wspaniałe,
Ni znaczone krwią przeszłości,
Bohaterską krwią męczeństwa!
Tą boskością człowieczeństwa!
W znak królewski — wśród ludzkości.

Wszystkie płoną pierwszym wschodem
I potęgi — i zwycięstwa —
Każda — wielkim jest narodem.
Ale tylko z niebios rodem,
A nie rodem z swego męstwa!
Młody listek ich wawrzynu,
Nie wywiodła ich z cmentarzy
Nad zgon wyższa wola czynu!
Ni im dano — czem śmierć darzy!
Bo jak ojciec, grób ich skrycie
Nie wyuczył ścieżek Pana!
Wtóra Mądrość im nie dana,
Pierwsze tylko dane życie!

Patrzaj, patrzaj! z chmur powodzi
Coraz więcej widm tych wschodzi;
Na ich skroniach róże wiosny —
Maj nadziei — maj żywota —
W ich spojrzeniach cisza złota,
Na ich ustach, hymn radosny.
A pod niemi drży w przestworze
Szafirowych światel morze.
I tam wszystkie przechylone
Z szczytu wieków swych patrzą,
Wszystkie, wszystkie obrócone

W archanielskiej Pani stronę,
Coraz niżej się schylają!

Widzę — widzę! — wzniosły ręce,
Rwą ze skroni życia kwiaty,
Rwą — ciskają życia wieńce
Pod Jej stopy — na Jej szaty!
Leci tuman róż w przestrzeni,
Na tem Niebie, każda róża
Nagle w iskrę się przemieni,
Wieniec każdy tęczą tryśnie!
Spadająca kwiatów burza
W jedną zorzę się rozbłyśnie,
I w powietrzny płaszcz z promieni,
W karmazynu wielką chmurę
Archaniola opierścieni!
Polskę moją — w jej purpurę!

Wszystkie, wszystkie Duchy-Ludy
Na szafirach swych do koła
Pochyliły przed nią czoła
Jeszcze głębiej niżli wprzód!
Rozkochane — zachwycone,
Widzę, widzę — już przyklękną;
W niej uznały Boże piękno,
Dadzą jej świata koronę!

I przyklękły — i słyszałem
Głos co woła w wiecznem Niebie:
„Jak im Syna niegdyś dałem
Tak im, Polsko! daję ciebie!
Syn mój jeden był — i będzie,
Lecz myśl jego żyje w tobie;
Bądź więc prawdą jak On wszędzie
Ja cię Córką moją robię!
Gdyś do grobu zstępowała
Byłaś częścią człowieczeństwa!
Ale teraz w dniu zwycięstwa

Imię twoje: *Ludzkość cała!*
 Ziemia tobie powierzona
 Byś ją wiodła *czynu* torem,
 Aż się staną jej plemiona
 Jednym Ducha arcytworem!
 Wzbij się w bezmiar nieskończony
 Nad ubiegłych lat padołem,
 Wtedy pójda te miliony
 Za planety archaniołem!“

I ujrzałem Archaniola,
 Postać w bieli i purpurze
 Z nad klęczących ludów koła
 Podnoszącą się ku górze!
 Obrócone w zwyż jej oczy,
 Lecz ku Duchów-Ludów stronie
 Wyciągnięte na dół dłonie —
 I tak znikła wśród przeźroczy.

W tę porwaną patrzą postać
 Rozklęzione duchów grona,
 Już nie mogą w dole zostać,
 Już się wzięły pod ramiona
 Pojednane — połączone —
 Wzbić się muszą tam gdzie ona,
 Wichrem Bożym poniesiona,
 W coraz wyższą — wyższą stronę!
 I zerwały się pospołu
 Z szafirowych niw padołu:
 Za mą Polską — jak za słońcem
 Popłynęły już do góry.
 Narodowe — ziemskie chóry,
 Popłynęły tak jak chmury
 Opasane tęcz tysiącem!

I ujrzałem — wszechświat cały
 Jak myśl jedną, która płonie
 Skier milione m, w jednym łonie!

Ach! widziałem — Bożej chwały
 Wszechprzymny kształt bez końca!
 Komet — planet — wiry, kręgi,
 Nad wstęgami gwiazd — gwiazd wstęgi,
 Nad słońcami — jeszcze słońca!
 Wszędzie światów, tak jak kwiatów
 W lazurowym tym ogroju;
 I przez światła oceany
 Jeden życia dźwięk rozlany,
 Pieśń wszechgrzmiąca — wszechjedyna
 Niebieskiego świata — Syna,
 O niebieskim Bogu — Ojcu!
 I przez wszechświat ten — do Boga
 Szła narodów ziemskich droga;
 I wciąż Polska moja — przodem
 W nieskończoność — z ludzkim rodem
 Tam leciała...!

Czyje oko

Ją dosięgnie tak wysoko?
 Kto uderzy ziemskim czołem
 Aż o stopy Stworzyciela?
 Kto poleci z Archaniołem
 Tam gdzie Ludzkość się odwciela?
 Już mi w piersiach serce mdleje —
 Obraz znika — myśl się chwieje.
 Siostró moja! czym w mogile?
 Mnie tak słabo, konająco —
 O jam prosił tak gorąco,
 Jam się modlił Bogu tyle,
 O tę jedną — jedną chwilę
 I ujrzałem!...

W tej godzinie,

O pamiętaj, żeśmy byli,
 Na najwyższej dusz wyżynie —
 Tam skąd źródło życia płynie;
 My u źródła życie pili!

Oko nasze już chwyciło
To co jeszcze bez imienia;
My na wolność rozpętali
Z głuchych więzów przedstworzenia,
To co jeszcze w nich drzemało,
I na chwilę temu dali,
Co Bóg daje, kształt i ciało!
Siostró moja! my tej chwili
Naszą wieczność już przeżyli.

Zrzuc więc smutek — zrzuc więc trwogę,
Daj mi rękę w jedną drogę!
Wiem co trudu na niej jeszcze,
I co bólu — i co klęski;
Ale ufaj w czucie wieszczce,
Już nam błysnął świt zwycięski!

W tę ojczyznę nieśmiertelną
Mimo działów niepodzielną,
Na tę ziemię ukochaną,
Na tę naszą — naszą ziemię
Przyjdzie nowych ludzi plemię,
Jakich jeszcze nie widziano!

By pogodzić świata dzieje
Z wolą Pana po nad Pany,
Duch im prawdy z Nieba dany,
I z ich starą krwią się zleje!

Gdzie nam dotąd śni się *mnóstwo*,
Cząstek rozdział lub rozbiecie,
Tam już dla nich jedno Bóstwo,
Jedna miłość i wszechżycie!

Krwia się brzydzą — choćby winną!
Duch już przez nich tylko stwarza,
I gdy stworzy ziemię inną
Nie ma na niej już zbrodniarza!

Nie ma także podrzędnicy!
 Bo niewieście w końcu serce
 Po lat długich poniewierce
 Błysło z pączka tajemnicy!

Dawne pany biorą sami
 Swe, za dłonie, niewolnice
 By jak duchy iść z duchami,
 I wstępować na stolice!
 Przemieniony ten planeta
 Już zapomniał — co kobieta —
 Wie — co bracia i siostrzyce!

I świat nowy ten radośnie
 Jak świątynia Panu rośnie;
 W polskim kraju — w polskim raju —
 Na wiekowych nieszczęść niwie
 Już nie pusto — ni żałośnie;
 Nigdzie — nigdzie już nie ciemno,
 Ani za mną, ni przedemną!

Wszędzie jasno — sprawiedliwie!
 Zrozumiana przeszłość święta,
 Zrozumiane czyściła męki
 I ten kielich z kata ręki,
 I te krzywdy i te pęta,
 I duch złego, który kusi
 Do podłości serce dzielne,
 I to serce — które musi
 Wstać z tej śmierci — nieśmiertelne!

Duch twój nigdy już nie skona,
 Polsko moja przemieniona!
 Po nad ziemskich szum zawiei,
 Tyś się wzbiła w kraj idei!
 Inni pomrą bez nadziei,
 Wśród otchłani lub w dolinie,
 Lecz ty stoisz na wyżynie!
 U stóp twoich czasu fala

Niech się pieni i przewala:
Wszystko przejdzie na potoku,
Wszystko zniknie na głębinie
Co widome tylko oku;
Lecz idea nie przeminie!

Ty nie jesteś mi już krajem,
Miejscem — domem — obyczajem,
Państwa skonem — albo zjawem:
Ale Wiarą — ale Prawem!
Ten już odtąd Bogu kłamie
Kto Cię zdradzi — kto Cię złamie;
Bo myśl Boga w twojem łonie
I los świata — w twym Zakonie!

Wiekuisty ojców Boże,
Ty, co górny i daleki
Coraz jaśniej w nas przez wieki
Tu zstępujesz — i jak zorze
Z bram wieczności w czasie tonie
Skry tve sypiesz, aż czas spłonie!
Teraz idzie znów zaranie,
Które dajesz nam z miłości;
— I po grobach zadrzą kości
W szelest hymnu Tobie, Panie!

Darmo — darmo nasze wrogi
Ach! bluźniły żeś bez serca,
I mówiły — żeś morderca!
Tyś umarłym wytknął drogi
Co w niebieskie wiodą progi,
Aż wskrzeszonych zmienią — w bogi!

Za ból ciała — za ból duszy,
Za stuletnich ciąg katuszy
Dziękujemy Ci o Panie!
Choć my nędzni — słabi — marni,
Z naszej wszczęło się męczarni
Twe na ziemi królowanie!

My jak prochy — my jak pyły --
 I wywiałeś nas z mogiły,
 I nam rzekłeś: „*O tej porze*
Z was ja wszystko nowe tworzę.“ —
 — Prochy, lecim już w przestrzenie --
 I w piorunach twego głosu:
 „Światło, stań się“ wśród chaosu
 Z prochów stały się — promienie!
 I do świata, który kona,
 Tyś nas posłał nazad w gości,
 By promyki z Twego łona,
 My świadczyli o przyszłości!

Wiekuisty ojców Boże,
 Błogosławim ci w pokorze!
 Gdy wiek wieków się przemienia,
 Przed Twym tronem nasze duchy
 Zapadają w przepaść skruchy,
 W śmierć przed Tobą — z uwielbienia.

* * *

Alleluja! — dniom boleści
 Wnet skrzydłami zaszeleści
 Anioł zwiastun *dobrej wieści!*
 Alleluja — moc szatana
 Co udawał ziemi pana
 Już na ziemi pokonana!

Niby skryte zło w naturze
 Od początku walczył z nami,
 Chadzał dumny w wiatrów chórze,
 Wył na fali — grzmiał na chmurze
 I zabijał piorunami!

Chwila jeszcze a upadnie,
 A gdy czoło w pył pokładnie,
 Ze zwłok jego się przetworzy,
 Przeanieli — wydobędzie

Inna postać -- seraf Boży
 Co planety stróżem będzie!
 I przejasnych widzeń darem
 Po za trumien czarnym jarem,
 Żywym wskaże białe raje
 Gdzie duch zmarłych zmartwychwstaje!

Wszystkie, wszystkie sprzeczne siły
 W jeden nastrój się złączyły,
 Jedna drugiej nie przeklina —
 Wirującym ziemia jękiem
 Już przestworu nie przecina —
 Lecz szczęśliwa brzmi i śpiewa,
 Harmonijnym śpiewa dźwiękiem!

Słabszych silny już nie gniecie;
 Tak jak w Niebie na planecie
 Wszystko świętej woli słuca;
 Martwa dotąd bryła ludu
 Już przekuta dłutem cudu
 W nieśmiertelny *posąg Ducha!*

Piersi ludzka, na śpiew się sił:
 Wił się wieków rój
 I walk mijał stek;
 Lecz skończony bój,
 I szczęśliwy wiek
 Ujrzy chwilę chwil!

Nie widział wzrok, ni słyszał słuch
 Jaka piersi głąb,
 Jaki serca czar;
 Myśli twórcza zstąp,
 Daj przebudzeń dar,
 Niech się ocknie duch!

Długo trwała snu tego moc
 Uwierzyli weń,
 W wieczny ból i trud!
 To przybytku sień —

To po wschodach wschód;
To zasługi noc!

Piersi ludzka — kędyż twój srom?
Spójrzyj w siebie — patrz!
Gdzie wrzał dawniej płacz,
Stęsk — zgrzytanie — wrzask;
Dziś z niebieskich łask
Drugi Boży dom!

Rozszerzyła się piersi cieśń
W niezmiarzoną błoń,
W jasnowidną toń!
Jeden z Nieba kwiat
Przyszłych wieniec lat,
Jędna w Bogu pieśń!

Tak wśród przedświtów lepszego poranka
Marzył wygnaniec — marzyła wygnanka!
Co czuli w sercu — rzucili w te słowa;
Lecz słowo tylko — to marna połowa
Arcydziel życia; — modlitwa jedyna
Co godna Stwórcy, od hymnu się wszczyna,
Lecz nie zna myśli i czynów rozdziału;
Co głosem śpiewa, to wciela pomалу
W kształt dotykalny — aż tak jak Duch Boży
Świat rzeczywisty w okół siebie stworzy,
Równy pięknością światom ideału!
Taką nam odtąd modlić się potrzeba;
Bo póki łódka na marzeń jeziorze,
Fale natchnienia — w samotności — porze,
Myśl tylko weszła — nie człowiek — do Nieba!

Cokolwiek będzie — cokolwiek się stanie,
Jakkolwiek pieśni nie pojną szydercze,
My już w niej całe wyśpiewali serce,
I tu jest nasze ze *Słowem* rozstanie!
Niech nucą jeszcze dzieciątka niewinne;

Harfy już nigdy, nigdy nie nastroję,
Drogi przed nami otwarte są inne:
Zgińcie, me pieśni — wstańcie *czyny* moje!

Lecz Ty, Piękności, którą ukochałem,
Siostró, jedyna w mojem życiu całym,
Ducha męskiego niewieści Aniele!
Czuwaj nademną — i zostań się przy mnie
Aż zginę — cząstką — w trudów arcydziele —
Aż skonam -- zwrotką -- w poświęcenia hymnie

UŁAMEK

NAŚLADOWANY Z GLOSSY ŚW. TERESY.

Vivo sen vivir en mi
Y tan alta vida espero,
Que muero porque no muero.

(GLOSSA ŚW. TERESY.)

Przed życiem czuję — nie przed śmiercią — trwozę —
Bo takie światy widzę tam przed sobą,
Że mi ten ziemski, grobową żałobą
I tem umieram — że umrzeć nie mogę!

Umrzeć lub cierpieć! — a cierpieć bez miary!
Bo mnie się z Tobą trza złać w Twojem Niebie,
Lub gdy nie można — żyć w piekle dla Ciebie!
Ślij mi więc męki jak niebieskie dary!
Im sroższe będą, tem mi więcej błogie —
Ja przed pokojem tylko czuję trwozę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę!
Jedynej ulgi na moje męczarnie,
— A jedna tylko i *śmierć* się nazywa —
Śmierci dać sobie nie zdołam bezkarnie!
O bardzom, Panie, bardzom nieszczęśliwa!
Tę jedną szczęścia Tyś zamknął mi drogę
I tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Czasem Cię tylko widuję w widzeniu,
Lecz Ty nie raczysz długo ze mną zostać,
Wnet niknie Bożo-człowiecza Twa postać
I w gorszem jeszcze konam znicestwieniu!
— Przed chwilą byłam w wieczności rozlana —
— Nikt nie rozeznałby sługi od Pana —
Ty, Bóg, Ty dla mnie stawałeś się mały,
A ze mnie malej wyrastał Bóg cały!
Tyś się zamykał w mem sercu jak w grobie —
— Jam się jak bezmiar szerzyła ku Tobie!
Przez nieskończonej łaski zezwolenie

Stwórca przechodził na chwilę w stworzenie —
Stworzenie w Stwórcę, przez jedno westchnienie.

Mnie już tak było jakby po pogrzebie —
Bez ciała byłam na ziemi i Niebie.
Na wieki z Tobą — przy Tobie — u Ciebie!
W twarz Ci patrzałam — ale nie oczyma —
Bo na to wzroku ócz śmiertelnych nie ma.
Głos Twój słyszałam — lecz nie ziemskim słuchem —
Wszystkom widziałam i słyszała — duchem! —
A jednak, Panie, Tyś jaśniał przedemną
Jakby słońce słońce, w którym kształt człowieka!
Ach! światło dzienne nocą wiecznie ciemną
Przy tym promieniu, co z twych skroni ścieka.
— Choć nie cielesny — widomszy niż ciało —
I słowo każde, co z ust Twych spływało
Dźwiękiem dźwięczniejszym, niż dźwięk ssan przez uszy,
Niebrzmiące, brzmiało jak pieśń w mojej duszy!
I byłam z Tobą — oglądałam Ciebie —
Nie ukrytego w przenajświętszym Chlebie,
Nie tajonego przesłonami cudu —
Lecz jakim bywasz wśród Aniołów ludu,
Tam, gdzie nad światem królujesz z Świętymi!
Takim Cię — takim — tu miałam, na ziemi!
— Lepiej od Świętych widziałam Cię, Panie!
Bo silniej kocham, goręcej niż Oni!
— Już w domu wiecznym Tyś dał im mieszkanie —
A ja gdzie mieszkam? — co mnie strzeże, broni?
Gdy mnie porzucasz, zostaję w rozpacz —
Lecz ból i rozpacz, cóż to dla mnie znaczy?
Im bardziej tęsknię, tem kocham goręcej,
Im więcej męki, tem miłości więcej,
W tem piekle Bożem Bożego kochania,
Gdzie Twa obecność mnie nawet rozrania —
Bo chwilą później Tyś znowu daleki,
I nim powracasz, upływają wieki
Bez Boga mego — a z Boga wspomnieniem

Leżę na ziemi grobowym kamieniem —
A pod tym głazem mej niewzruszoności
Smutek przejada do szpiku me kości!
Żądam bez miary — miłuję bez granic —
Miłość i żądza nie zdały się na nic --
Zmienionam cała w jedno upragnienie,
Lecz Twojej woli w tych chwilach nie zmienię!
Pan nieśmiertelny nie zstąpi do sługi,
Aż kiedyś — kiedyś — znowu po raz drugi!
I mimo Twoją, o Ty mój, przestrozę
Ja tem umieram, że umrzeć nie mogę!

Albo Ty myślisz, o Ty wiecznie żywy,
Że Ciebie kocham za przyszłe nadgrody,
Za obiecane w królestwie twem gody,
Za palmy — harfy — i cuda — i dziwy —
Za jakąkolwiek bądź w Niebie zapłatę,
Którąbyś spłacił mi dni mych utratę?
Ja kocham Ciebie — żeś był nieszczęśliwy!
Że przebolełeś tu wszystko co boli,
Że zniosłeś wszystko co tylko poniża,
Ty Bóg, w kajdanach cielesnej niewoli,
Ty Bóg, przez katów prowadzon do Krzyża!
Ja Ciebie kocham — że Cię o tej chwili
Niebo odbiegło — i ludzie zdradzili!
Ja Ciebie kocham — żeś był przymuszony
Wołać do Ojca: „O jam opuszczony“
Ja Ciebie kocham, za Twoje konanie
I za śmierć więcej niż za zmartwychwstanie!
Bo mi się zdaje, że Ty Zmartwychwstały
Nie tyle biednej potrzebujesz sługi; —
Już wtedy służy Ci twój wszechświat cały —
Stopą powietrzne przelatujesz smugi! —
Lecz kiedy konasz, mnie się wiecznie zdaje,
Że wracam duchem w widziane już kraje,
Że oglądałam już wprzód to wzgórze
I krzyż ten zboczony w krwi Twojej purpurze!

Że Magdalena, ta święta, Twa miła,
 Co tam tak jęczy — to ja chyba była!
 Bo w sercu mojem jej serce mi płacze,
 Bo drżą mi w oczach wszystkie łzy jej oka,
 I rozpacz moja, tak straszna — głęboka —
 Że być nie mogą dwie takie rozpaczę!
 Nie — ona Ciebie więcej nie kochała —
 Ja wiem, że Ona wielka, a ja mała,
 Bom mniej czynami Tobie zasłużona —
 Lecz więcej Ciebie nie kochała ona!
 Jakżeż to będzie, mój Panie, mój Boże?
 Jakżeż rozdzielić sądem Salomona
 Tę jedną miłość, między te dwa łona?
 — Bo dwóch miłości być takich nie może!

— Nie — Ciebie więcej nie kochała ona!
 Raz tylko w życiu na golgockim pyle
 Leżała w płaczu, krwią twoją zroszona —
 Raz jeden tylko — a ja razy tyle! —
 Bo co noc prawie dla mnie się odtwarza
 Kalwaryjskiego przytomność cmentarza
 I z po za wieków upłynionych tyła
 Wraca ta do mnie zobecniona chwila,
 W której wśród Niebios i ziemi zaćmienia
Zmarł Wszechstworzyciel w obec wszechstworzenia!
 Aż padnie z zorzą pierwszy promień dzienny
 Widuję w celi tej krzyż Twój męczenny
 I na tem drzewie oglądam Twe ciało
 Ostatkiem światła jeszcze tłące białe,
 Gdy wszystko w okół, jak w grobie, szerniało

Ty i ja, Panie — nikt więcej — my sami —
 Tak bliscy siebie — a tak rozdzieleni —
 Bo ja tu w dole pod Twemi stopami
 A Ty nademną, w tej strasznej przestrzeni,
 Do kłód tych z cedru przybity gwoździemi!
 Z razu ja klęczę w milczeniu — a cała
 Drgająca ciałem od mąk Twego ciała —

Kolcują w skroniach mi kolce Twych skroni,
Rwą mnie w mych dłoniach żelesca Twych dłoni —
W boku mnie szarpie, boku Twego rana —
I choć tu w dole, takem z Tobą zrana,
Żem z Tobą w górze tam ukrzyżowana!

.
.

SPIS RZECZY.

	str.
Irydion	5
Pokusa	225
Trzy Myśli	243
Syn Cieniów	253
Sen Cezary	257
Legenda	269
Przedświt	281
Ułamek naśladowany z Glossy św. Teresy . . .	329



191/11

1111-80-

65

3924



Biblioteka
Pisarzy Polskich
IX — X



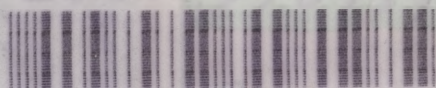
Krasiński
1-2



Mikołów.
K. Miarka. Sp.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

3797/I-II \$



001-003797-01-0